

Murakami

HARUKI

Mężczyźni bez kobiet

Ciemne i gęste cienie marynarzy
rozsypują dokoła ostre pinezki metafor.



MURAKAMI
HARUKI

Mężczyźni bez kobiet

przełożyła z japońskiego Anna Zielińska-Elliott

Warszawskie Wydawnictwo Literackie
MUZA SA

WSTĘP

Drive My Car

Yesterday

Niezależny organ

Szeherezada

Kino

Zakochany Samsa

Mężczyźni bez kobiet

Przypisy

Nigdy nie piszę wstępów do przekładów Harukiego Murakamiego. Na ogół jego książki nie wymagają dodatkowych wyjaśnień od tłumacza, a jeśli wymagają, mogę umieścić je w przypisach. Tym razem jednak zdecydowałam się napisać o tym, jak po długich wahaniach zastosowałam w jednym z opowiadań w tym zbiorze dość nietypowy zabieg.

Bohaterami *Yesterday* są dwaj chłopcy, z których jeden, nazwiskiem Kitaru, mówi dialektem z Kansai, regionu Japonii, gdzie położone są Osaka, Kioto i Kobe. Fakt, że mówi dialektem, jest jednym z ważniejszych wątków utworu. Stanowi to dla tłumacza poważne wyzwanie.

Wiem, że kilkoro autorów innych przekładów, które się do tej pory ukazały, zdecydowało się wprowadzić jedynie drobne zmiany w wypowiedziach Kitaru mające sugerować, że mówi on nieco inaczej. Uzasadnione jest to zapewne tym, że dialekt bardzo trudno przełożyć. Wielu badaczy teorii przekładu jest zdania, że lepiej w ogóle tego unikać, gdyż rezultaty są najczęściej komiczne i zniekształcają charakter oryginału. Wyobraźmy sobie na przykład Scarlett O'Hare mówiącą jak ktoś ze Śląska.

Jednak w wypadku tego opowiadania miałam wrażenie, że Kitaru nie może mówić zwyczajnie po polsku, jak jego kolega, ponieważ po japońsku ich wypowiedzi brzmią zupełnie inaczej. Podjęłam więc dość ryzykowną decyzję, a mianowicie postanowiłam, że Kitaru będzie mówił gwarą poznańską.

Dlaczego wybrałam tę gwarę? Od dzieciństwa bywałam w Poznaniu, gdyż mam tam krewnych, i przywykłam nieco do melodii tamtejszej mowy, nieco różnej od warszawskiej. Wydawało mi się, choć trudno to racjonalnie wytłumaczyć, że nastrojem i intonacją nieco przypomina dialekt Kitaru.

Gwara poznańska odbiega od standardowej polszczyzny, a dialekt z Kansai od standardowej japońszczyzny, ale w nieco różny sposób. W dialekcie z Kansai zmieniają się końcówki czasowników i przymiotników, lecz ich rdzenie oraz większość rzeczowników pozostaje ta sama. W gwarze poznańskiej natomiast znacznie zmienia się słownictwo, tak że czytelnik w ogóle jej nieznający nie ma szansy zgadnąć, co znaczy „wycpnąć bejmy w glajde” (wyrzucić pieniądze w błoto). Jest to oczywiście wielka różnica, gdyż czytelnik japoński, nawet nieobeznany z dialektem z Kansai, czytając opowiadanie *Yesterday*, zrozumie wszystko, co mówi Kitaru. Czytelnik polski mający przed sobą mój przekład może mieć pewne trudności, choć starałam się tłumaczyć tak, żeby z odpowiedzi rozmówcy Kitaru (który rozumie dialekt z Kansai) wynikało, co zostało wcześniej powiedziane gwarą. Mam nadzieję, że udało mi się osiągnąć zamierzony efekt: gdy Kitaru po raz pierwszy się odezwie, polski czytelnik będzie kompletnie zaskoczony, tak samo jak zaskoczony był czytelnik japoński.

Proces tworzenia języka Kitaru składał się z kilku etapów. Najpierw przetłumaczyłam jego wypowiedzi, dodając „nie” na końcu niektórych zdań. Uznałam jednak, że to nie wystarczy, i zaczęłam szukać inspiracji w internecie, gdzie trafiłam na „blubry Starego Marycha”. Po dokładnej lekturze miałam gotową listę niektórych słów i charakterystycznych zmian fonetyczno-gramatycznych. Wysłałam je do mieszkającego w Poznaniu kuzyna, Igora Kraszewskiego. Spędził nad opowiadaniem sporo czasu, by uczynić mowę Kitaru bardziej gwarową, ale powiedział, że konieczne są dalsze poprawki. Wprowadziła je pani Danuta Mikołajewska, pisarka również rodem z Poznania. To ona nadała wypowiedziom Kitaru ostateczny kształt i cierpliwie odpowiadała na niezliczone pytania. Polskie wcielenie Kitaru jest więc głównie zasługą tych dwóch osób.

Zdaję sobie sprawę, że zapewne „moja” gwara poznańska nie jest bezbłędna. Wiem, że prawdziwy poznaniak lub dialektolog może zakwestionować prawidłowość jakiegoś wyrażenia czy formy

gramatycznej. Postanowiłam jednak podjąć to ryzyko, gdyż wydaje mi się, że dzięki gwarze opowiadanie w polskiej wersji ożyło. Mam nadzieję, że Czytelnicy polubią stylizowanego na poznaniaka Kitaru. Chciałabym, żeby potraktowali ten zabieg jako umowny i mający podkreślić alienację bohatera, a nie nabrali przekonania, że dialekt osakańczyków brzmi tak samo jak gwara poznaniaków.

I na koniec jedna ciekawostka. Być może niektórzy Czytelnicy zauważą, że Misaki, bohaterka opowiadania *Drive My Car*, pochodzi z miejscowości Górne Dwanaście Wodospadów na wyspie Hokkaido, która pojawiła się wcześniej w *Przygodzie z owcą*. W pierwszej wersji tego opowiadania, drukowanej w magazynie literackim, Misaki pochodziła z zupełnie innego naprawdę istniejącego miasteczka na tej samej wyspie. Jego mieszkańcy poczuli się dotknięci żartobliwym komentarzem narratora o wyrzucaniu papierosów przez okno samochodu, więc w wersji książkowej Haruki Murakami zmienił nazwę rodzinnego miasteczka Misaki. Dodaje to tekstowi uroku, gdyż jest odwołaniem do wcześniejszego utworu pisarza, który jakby puszcza tutaj oko do Czytelnika. Zresztą, w tym zbiorze takich odwołań jest kilka: są w nim miejsca i postaci, które pojawiają się w więcej niż jednym opowiadaniu. Mam nadzieję, że Czytelnicy z przyjemnością ich poszukają.

Na zakończenie chciałabym serdecznie podziękować osobom, które bardzo pomogły mi przy różnych aspektach tego tłumaczenia. Należą do nich Danuta Mikołajewska, Igor Kraszewski, Sławomir Szulc, Shinko Sasaki-Haściłowicz oraz Sonoko i Kazuto Oshio.

Anna Zielińska-Elliott

Często miał okazję jeździć samochodami prowadzonymi przez kobiety i z jego obserwacji wynikało, że kobiety zasadniczo należą do jednego z dwóch typów kierowców: albo jeżdżą trochę za agresywnie, albo trochę za ostrożnie. Tych drugich jest znacznie więcej – za co powinniśmy być wdzięczni. Ogólnie rzecz biorąc, kobiety jeżdżą ostrożniej i są bardziej uprzejme od mężczyzn. Oczywiście nie można narzekać na uprzejmość i ostrożną jazdę. A mimo to taki sposób prowadzenia samochodu może czasami irytować innych kierowców.

Większość kobiet należących do szkoły „agresywnej” wierzy, że jeździ świetnie. Wyśmiewają te jeżdżące zbyt ostrożnie i są dumne, że same tak nie prowadzą. Kiedy jednak bezceremonialnie zmieniają pas, nie zauważają chyba, że inni kierowcy zmuszeni są gwałtownie hamować i że wzdychają ciężko albo mamroczą niecenzuralne słowa.

Oczywiście są i takie nienależące do żadnej z tych grup: kobiety, które jeżdżą zupełnie *zwyczajnie*, ani zbyt agresywnie, ani zbyt ostrożnie. Niektóre z nich są zupełnie dobrymi kierowcami. Kafuku zawsze wyczuwał w nich jednak jakieś napięcie. Nie potrafił konkretnie powiedzieć, na czym to polegało, ale siedząc na miejscu pasażera, wiedział, że w atmosferze „brak harmonii”, i nie mógł się odprężyć. Czuł czasami nieprzyjemną suchość w gardle albo zaczynał jakąś niepotrzebną i nudną rozmowę, żeby tylko wypełnić czymś ciszę.

Oczywiście wśród mężczyzn też są dobrzy i kiepscy kierowcy. Ale ich sposób prowadzenia samochodu zazwyczaj nie wywoływał w Kafuku takiego napięcia. Nie chodziło o to, że mężczyźni wydają się przy prowadzeniu zrelaksowani. W rzeczywistości pewnie niektórzy są spięci. Ale jakoś naturalnie udaje im się – pewnie podświadomie – to napięcie ukryć. Zupełnie normalnie się zachowują i rozmawiają. Jakby jedno z drugim nie miało nic wspólnego. Kafuku nie rozumiał, skąd biorą się takie różnice.

Zwykle nie myślał w oddzielnych kategoriach o mężczyznach i kobietach, nie odczuwał też prawie nigdy, że kobiety mają inne możliwości intelektualne. Z powodu swojego zawodu stykał się z mniej więcej taką samą liczbą kobiet i mężczyzn, lecz czuł się bardziej odprężony, pracując z kobietami. Bardziej zwracały uwagę na szczegóły, umiały uważnie słuchać rozmówcy. Ale kiedy siedział u boku kobiety za kierownicą, nie mógł przestać myśleć o tym, że to ona prowadzi. Nikomu nie mówił o tym, że tak to odbiera. Zdawało mu się, że byłoby to niewłaściwe.

Dlatego, kiedy właściciel warsztatu, Ōba, polecił mu młodą kobietę, usłyszawszy, że Kafuku poszukuje prywatnego kierowcy, Kafuku był niezbyt zadowolony, chociaż starał się to ukryć. Ōba, widząc jego minę, lekko się uśmiechnął, jakby mówił: „Wiem, co pan myśli”.

– Ale ta dziewczyna świetnie jeździ. Ja to panu stuprocentowo gwarantuję. Może zgodzi się pan chociaż z nią spotkać?

– Dobrze. Skoro pan tak ją zachwala – odparł Kafuku. Potrzebował kierowcy jak najszybciej, a Ōba był człowiekiem godnym zaufania. Znali się już od piętnastu lat. Miał włosy sztywne jak druty i choć z wyglądu przypominał diabełka, w kwestii samochodów można było na nim w pełni polegać.

– Chciałbym na wszelki wypadek sprawdzić geometrię kół, a także inne rzeczy, i jeśli wszystko będzie w porządku, samochód będzie gotów pojutrze o drugiej. Poproszę ją, żeby tu wtedy przyszła. Może pan jej kazać przewieźć się po okolicy. Jeśli się panu nie spodoba, proszę wprost powiedzieć. Nie musi się pan wobec mnie krępować.

– Ile ma lat?

– Myślę, że ze dwadzieścia pięć. Specjalnie jej nie pytałem – powiedział Ōba. Potem lekko się skrzywił. – Tak jak panu mówiłem, co do jazdy nie można jej nic zarzucić, ale...

– Ale?

– Ale jest trochę nietypowa.

– W jakim sensie?

– Szorstka, małomówna i pali jak smok – wyjaśnił Ōba. – Sam pan zobaczy, kiedy ją pan pozna. To nie jest typowa miła dziewczyna. Prawie się nie uśmiecha. I prawdę mówiąc, jest dość brzydka.

– To mi nie przeszkadza. Jakby była ładna, czułbym się nieswojo, poza tym mogłyby się pojawić jakieś dziwne plotki.

– No to może będzie dla pana w sam raz.

– Mówi pan, że świetnie jeździ, tak?

– Bez zarzutu. Nie tylko dobrze *jak na kobietę*, ale po prostu doskonale.

– A gdzie teraz pracuje?

– Hm... tego to i ja za dobrze nie wiem, ale dorabia chyba jako kasjerka w sklepie całodobowym, dostarcza przesyłki kurierskie. I jakoś żyje z takich prac dorywczych. To takie prace, że mogłaby je od razu rzucić, gdyby znalazła coś lepszego. Przyszła do mnie z polecenia znajomego, ale u nas też teraz interes niezbyt dobrze idzie, więc nie mogę sobie pozwolić na zatrudnianie nowych ludzi. Daję jej znać, kiedy jest potrzebna. Ale myślę, że to bardzo rozsądna dziewczyna. No i nie bierze do ust alkoholu.

Na wzmiankę o piciu alkoholu Kafuku się zachmurzył. Mimowolnie położył palce prawej dłoni na wargach.

– No to spotkam się z nią pojutrze o drugiej – powiedział. Zainteresowała go ta szorstka, małomówna i niezbyt miła dziewczyna.

Dwa dni później, o drugiej, naprawiony żółty saab 900 kabriolet czekał na niego. Wgnieciony prawy błotnik został wyklepany i polakierowany tak, że prawie nie było widać, gdzie się zaczyna nowa warstwa lakieru, silnik został sprawdzony i wyregulowany, skrzynia biegów też wyregulowana, klocki hamulcowe i pióra wycieraczek wymienione. Samochód umyto, wywoskowano i wypolerowano. Robota Oby była jak zwykle bez zarzutu. Kafuku jeździł tym saabem już od dwunastu lat, na liczniku miał ponad sto tysięcy kilometrów. Na płóciennym dachu widać było oznaki zużycia. Kafuku martwiło, że w deszczowe dni przeciekał. Ale w tej chwili nie zamierzał kupować nowego samochodu. Jak dotąd nie miał ze swoim saabem większych problemów, a przede wszystkim był do niego bardzo przywiązany. I latem, i zimą lubił jeździć z opuszczonym dachem. Zimą wkładał gruby płaszcz i owijał szyję szalikiem, a latem nosił czapkę i ciemne okulary przeciwsłoneczne. Jeżdżąc ulicami miasta, z przyjemnością zmieniał biegi, a gdy czekał na zmianę świateł, gapił się w niebo. Obserwował płynące chmury albo ptaki siedzące na drutach elektrycznych. Nie potrafił sobie wyobrazić, że miałby zmienić ten styl życia.

Kafuku obszedł saaba dookoła, sprawdzając różne szczegóły, jak dżokej, który ocenia stan konia przed wyścigiem.

Kiedy kupił ten samochód, jego żona jeszcze żyła. To ona wybrała żółty kolor karoserii. Przez pierwszych kilka lat często we dwoje gdzieś jeździli. Żona nie prowadziła, więc zawsze on był kierowcą. Byli na wielu wycieczkach. Jeździli na półwysep Izu, w góry Hakone, do Nasu. Przez ostatnich dziesięć lat prawie zawsze jeździł sam. Po śmierci żony spotykał się z kilkoma kobietami, ale jakoś nigdy

nie miał okazji wozić ich swoim samochodem. Nigdy też nie wybierał się poza miasto z wyjątkiem wyjazdów służbowych.

– Tu i tam widać pierwsze oznaki zużycia, ale jeszcze długo pociągnie – mówił Ōba, klepiąc deskę rozdzielczą, jakby klepał po karku dużego psa. – Można na nim polegać. Kilkanaście lat temu te szwedzkie samochody były bardzo porządnie robione. Trzeba dbać o instalację elektryczną, ale z mechaniką nie ma żadnych problemów. Utrzymuje go pan w dobrym stanie.

Dziewczyna przyszła, kiedy Kafuku podpisywał dokumenty, a Ōba wyjaśniał mu kolejne pozycje na fakturze. Miała około metra sześćdziesięciu pięciu, nie była gruba, ale krępa i szeroka w ramionach. Po prawej stronie szyi miała fioletowe owalne znamię wielkości oliwki, ale chyba nie próbowała go specjalnie ukryć. Gęste kruczoczarne włosy związała z tyłu, żeby jej nie przeszkadzały. Raczej nikt nie mógłby jej uznać za piękność, tak jak mówił Ōba. Miała chłodny wyraz twarzy. Na policzkach zostały jej blizny po trądziku. Przez to bardzo duże oczy wydawały się ciemniejsze, a wyraźnie widoczne źrenice nadawały jej spojrzeniu podejrzliwości. Uszy – duże i odstające – wyglądały jak jakieś urządzenia odbiorcze zainstalowane na dalekiej prowincji.

Miała na sobie męską marynarkę w jodełkę trochę za ciężką na maj, brązowe bawełniane spodnie i czarne trampki Converse. Pod marynarką biały podkoszulek z długimi rękawami, piersi dość duże.

Ōba przedstawił jej Kafuku. Dziewczyna powiedziała, że nazywa się Watari. Misaki Watari.

– Misaki pisane fonetycznie, nie chińskimi znakami. Jeżeli pan sobie życzy, przygotuję życiorys – dodała lekko wyzywającym tonem.

Kafuku potrząsnął głową.

– W tej chwili życiorys mi niepotrzebny. Umiesz prowadzić samochód z ręczną skrzynią biegów, tak?

– Lubię zmieniać biegi – powiedziała chłodno. Zupełnie jak zagorzała wegetarianka, którą zapytano, czy je sałatę.

– To stary samochód, więc nie ma nawigacji.

– Nie trzeba. Przez pewien czas dostarczałam przesyłki, więc plan miasta mam w głowie.

– To może przewieziesz mnie na próbę po okolicy? Pogoda jest ładna, możemy opuścić dach.

– Dokąd pojedziemy?

Kafuku zamyślił się na chwilę. Byli niedaleko Shinohashi.

– Skręcisz w prawo koło Tengenji, wjedziesz na podziemny parking pod sklepem Meijiya, tam zrobię niewielkie zakupy, potem skarpą w górę w stronę parku Arisugawa, przejedziemy obok ambasady francuskiej do ulicy Meiji i wrócimy tutaj.

– Dobrze – zgodziła się.

Nie powtórzyła trasy. Wzięła od Ōby kluczyki, wsiadła, szybko ustawiła siedzenie i lusterka, wiedziała dobrze, co gdzie jest i do czego służy. Wcisnęła sprzęgło i wrzuciła kolejno biegi. Wyciągnęła z kieszeni na piersi zielone okulary przeciwsłoneczne Ray Ban i włożyła. Potem odwróciła się do Kafuku i lekko skinęła głową na znak, że jest gotowa.

– Magnetofon kasetowy – powiedziała jakby do siebie, spojrzawszy na radio samochodowe.

– Lubię kasety – rzekł Kafuku. – Są łatwiejsze w obsłudze niż płyty kompaktowe. I mogę przy nich powtarzać rolę.

– Dawno takiego nie widziałam.

– Kiedy zacząłem jeździć samochodem, taśmy były jeszcze ośmiościeżkowe.

Misaki nic nie powiedziała, ale sądząc z jej wyrazu twarzy, nie wiedziała, co to znaczy „ośmiościeżkowe”.

Tak jak zapewniał Ōba, była znakomitą kierowcą. Prowadziła płynnie, bez żadnych gwałtownych ruchów. Na ulicy było dużo samochodów, często musieli czekać na zmianę świateł, lecz ona starała się utrzymać obroty silnika na tym samym poziomie. Kafuku zauważył to, bo często spoglądała na obrotomierz. Ale kiedy zmrużył powieki, prawie nie czuł, że nieustannie zmienia biegi. Dopiero gdy wsłuchał się w głos silnika, wiedział, że wrzuciła inny bieg. Przyśpieszała i hamowała miękko i uważnie. Ale najbardziej podobało mu się, że dziewczyna przez cały czas prowadziła w pełni odprężona. Chyba w czasie jazdy przestawała być spięta. Chłodny wyraz jej twarzy łagodniał, oczy nabierały nieco cieplejszego wyrazu, ale nadal była małowówna. Nie odzywała się niepytana.

Jednak Kafuku specjalnie się tym nie przejmował. On też na co dzień nie przepadał za pogawędkami. Nie miał nic przeciwko poważnym rozmowom z dobrymi znajomymi, ale w innych wypadkach wolał milczeć. Teraz rozsiadł się wygodnie na siedzeniu pasażera i patrzył nieruchomo na przesuwane się za oknem sceny uliczne. Zwykle sam prowadził, więc widoki miasta widziane z pozycji pasażera wydały mu się świeże i nowe.

Na ruchliwej ulicy Gaiennishi kilka razy poprosił dziewczynę, żeby zaparkowała równolegle, co wykonała efektywnie i precyzyjnie. Miała wycucie. I świetny refleks. Czekali długo na zmianę świateł, więc zapaliła papierosa. Wyglądało na to, że lubi marlboro. Gdy tylko światło się zmieniło, zgasła go. Nie paliła podczas jazdy. Na niedopałku nie było śladów szminki. Paznokcie też bez lakieru. Chyba w ogóle się nie malowała.

– Mam do ciebie kilka pytań – powiedział Kafuku w okolicy parku Arisugawa.

– Słucham.

– Gdzie się nauczyłaś jeździć samochodem?

– Wychowałam się w górach na Hokkaido. Jeżdżę od piętnastego roku życia. To takie miejsce, że bez samochodu nie da się żyć. Miasteczko położone w dolinie, słońce prawie nie dochodzi. Przez pół roku drogi są oblodzone. Więc nawet choćby człowiek nie chciał, nauczy się dobrze jeździć.

– Ale na górskich drogach nie da się chyba ćwiczyć równoległego parkowania?

Nie odpowiedziała. Widocznie uznała, że to pytanie nie wymaga odpowiedzi.

– Słyszałaś od pana Ōby, dlaczego nagle potrzebuję kierowcy?

Misaki odpowiedziała głosem pozbawionym modulacji, patrząc prosto przed siebie:

– Jest pan aktorem i gra pan teraz sześć dni w tygodniu. Do pracy dojeżdża pan samochodem. Nie lubi pan metra ani taksówek. Bo lubi pan powtarzać w samochodzie rolę. Ale niedawno miał pan stłuczkę i zabrano panu prawo jazdy. Bo był pan pod niewielkim wpływem alkoholu i ma pan problemy ze wzrokiem.

Kafuku przytaknął. Zdawało mu się, że słucha opowieści o śnie, który się przyśnił komuś innemu.

– Poszedłem do okulisty wskazanego przez policję i okazało się, że mam lekkie objawy jaskry. Podobno mam ograniczone pole widzenia. Z boku po prawej. Nigdy wcześniej się nie zorientowałem.

Co do jazdy pod wpływem alkoholu, jego ilość była tak mała, że udało mu się całą sprawę zatuszować i nic nie wyciekło do prasy. Ale jego agencja nie mogła zignorować kwestii ograniczonego pola widzenia. W obecnym stanie mógł nie zauważyć samochodu zbliżającego się od tyłu z prawej strony.

Poproszono go, żeby pod żadnym pozorem nie prowadził, póki wyniki badań nie wykażą poprawy.

– Proszę pana – zaczęła Misaki. – Jak mam się do pana zwracać? Czy Kafuku[1] to pana prawdziwe nazwisko?

– Tak, to prawdziwe nazwisko. Powinno przynosić szczęście, ale zdaje się, że nic nie daje. Żaden z moich krewnych nie jest bogaty.

Przez pewien czas panowało milczenie. Następnie Kafuku wymienił sumę, jaką mógłby jej płacić miesięcznie jako prywatnemu kierowcy – niezbyt wysoką, ale jego agencja tylko tyle była skłonna zapłacić. Kafuku był dość znany, jednak nie należał do aktorów grywających główne role w filmach i serialach, a zarobki w teatrze były mimo wszystko ograniczone. Dla aktora jego klasy zatrudnienie prywatnego kierowcy, nawet na parę miesięcy, było naprawdę wyjątkowym luksusem.

– Twój czas pracy zależałby od mojego rozkładu zajęć, ale w tej chwili gram głównie w teatrze, więc w zasadzie przed południem byś nie pracowała. Mogłabyś spać do dwunastej. Wieczorem starałbym się skończyć przed jedenastą. Gdybym potrzebował transportu po jedenastej, wezmę taksówkę. Postarałbym się dać ci jeden wolny dzień w tygodniu.

– To mi odpowiada – powiedziała zwięźle Misaki.

– Myślę, że sama praca nie będzie ciężka. Trudne pewnie będzie to bezczynne czekanie.

Misaki milczała. Zaciśnęła tylko usta. Miała taką minę, jakby chciała powiedzieć, że miała dotąd mnóstwo znacznie trudniejszych doświadczeń.

– Nie przeszkadza mi palenie przy opuszczonym dachu, ale prosiłbym, żebyś nie paliła, kiedy dach będzie zamknięty – powiedział Kafuku.

– Dobrze.

– Czy masz jakieś życzenia?

– Nie, specjalnie nie mam.

Zmrużyła oczy, wzięła głęboki oddech i zredukowała bieg. A potem oznajmiła:

– Podoba mi się ten samochód.

Przez resztę czasu milczeli. Wrócili do warsztatu, Kafuku poprosił Ōbę na stronę i oznajmił:

– Postanowiłem ją zatrudnić.

Od następnego dnia Misaki została prywatnym kierowcą Kafuku. O pół do czwartej przyjeżdżała do mieszkania Kafuku w Ebisu, wyprowadzała żółtego saaba z podziemnego parkingu i odwoziła Kafuku do teatru w Ginzie. Jeżeli nie padało, dach był otwarty. W drodze do teatru Kafuku zawsze powtarzał rolę przy akompaniamencie nagrań z kasety. Był to *Wujaszek Wania* Czechowa przeniesiony w realia Japonii z końca dziewiętnastego wieku. Kafuku grał wujaszka Wanię. Znał całą rolę na pamięć, ale codziennie powtarzał ją głośno, żeby opanować tremę. Od dawna miał taki zwyczaj.

W drodze powrotnej często słuchał kwartetów smyczkowych Beethovena. Lubił jego kwartety smyczkowe, ponieważ go nie nudziły, a poza tym można było przy nich o czymś rozmyślać albo o niczym nie myśleć. Kiedy miał ochotę na coś lżejszego, słuchał starego amerykańskiego rocka – Beach Boysów, Rascalsów, Creedence'ów, Temptations – muzyki, która była popularna w czasach jego młodości. Misaki nie wypowiadała się na temat utworów, których słuchał. Nie potrafił ocenić, czy jej się podobają, czy ją irytują, czy też może w ogóle ich nie słyszy. Ta dziewczyna nie okazywała uczuć.

Zwykle byliby zbyt speszony, by powtarzac przy kimis role, ale obecnośc Misaki mu nie przeszkadzala. Pod tym wzgledem jej beznamienna obojetośc ogromnie mu odpowiadala. Nawet ješli bardzo glosno cwiczyl swoje kwestie, Misaki zachowywala sie tak, jakby nic nie slyszala. A moze rzeczywiscie nie slyszala. Zawsze skupiala sie na prowadzeniu. Czasem wydawala sie nieomal pograzona w medytacji zen.

Wlasciwie nie mial tez pojecia, co o nim sadzi. Nie wiedzial, czy choc troche go lubi, czy w ogole jej nie interesuje i nie obchodzi, czy tez czuje do niego obrzydzenie, ale musi sie przemoc, poniewaz zalezy jej na tej pracy. Bylo mu jednak obojetne, co o nim myšli. Podobalo mu sie, ze plynnie i pewnie prowadzi samochod, nie gada bez potrzeby, a nawet to, ze nie okazuje uczuc.

Po zakonczeniu sztuki od razu zmywal charakteryzacje, przebieral sie i szybko wychodzil z teatru. Nie lubil sie grzebac. Prawie nie utrzymywal stosunkow towarzyskich z innymi aktorami. Dzwonil z komorki do Misaki i prosil, zeby podjechała do wyjścia dla aktorów. Kiedy wychodzil, zolty saab kabriolet juz na niego czekal. O pol do jedenastej byl z powrotem w mieszkaniu w Ebisu. Powtarzalo sie to prawie kazdego dnia.

Miewal tez inne angaze. Raz w tygodniu musial jezdzic do stacji telewizyjnej w centrum na nagranie serialu. Byl to zwykly serial policyjny, ale mial duza ogladalnosc i dobrze mu placili. Dostal role wróżbity, który ratuje glówną bohaterkę policjantkę. Zeby dobrze wczuc sie w role, kilka razy ucharakteryzowal sie na prawdziwego wróżbitę i na ulicy przepowiadal przechodniom przyszlosc. Zyskal nawet pewna slawe, bo jego przepowiednie czesto sie sprawdzaly. Po nagraniu poznym popoludniem musial sie spieszyc prosto do teatru w Ginzie. To byl najbardziej nerwowy dzien w tygodniu. W weekendy po popoludniowym przedstawieniu prowadzil wieczorne zajecia dla studentow aktorstwa. Lubil uczyc mlodzię. Misaki wozila go i przywozila. Bez zadnego problemu dostarczala go punktualnie tam, gdzie trzeba, a on przywykl do jezdenia z nia saabem na siedzeniu pasazera. Czasami nawet glęboko zasypial.

Kiedy sie ocieplilo, Misaki zamienila meska marynarkę w jodełkę na cieńszą, letnią. Samochód zawsze prowadziła ubrana w jedną z nich. Pewnie uważala, ze to uniform kierowcy. Z nadejściem pory deszczowej czesto jezdzili z zamknietym dachem.

Siedzac na miejscu pasazera, Kafuku czesto myslal o zmarłej żonie. Od kiedy Misaki zaczela go wozic, z jakiegoś powodu czesciej wspominal zone. Ona tez byla aktorka, dwa lata mlodsza od niego, o pięknej twarzy. Kafuku byl zasadniczo „aktorem charakterystycznym” i gral w wiekszości charakterystyczne role drugoplanowe. Mial troche za dluga i zbyt szczupla twarz i juz w mlodości przeredzily mu sie wlosy. Nie nadawal sie do glównych rol. W odróżnieniu od niego zona byla prawdziwą pięknością, a jej role i zarobki to odzwierciedlaly. Choc z uplywem lat to on zaczął być bardziej ceniony jako aktor o duzej indywidualności, oboje nawzajem doceniali swoja pozycje zawodowa, a różnice w dochodach czy popularności nigdy nie byly w ich małżeństwie źródłem nieporozumień.

Kafuku kochal zone. Pokochal ja od pierwszego wejrzenia (mial wtedy dwadzieścia dziewięć lat) i kochal niezmiennie do jej śmierci (kiedy mial czterdzieści dziewięć). Po slubie nigdy nie sypial z innymi kobietami. Miewal okazje, ale jakoś nie miewal ochoty.

Lecz zona czasami sypiala z innymi mężczyznami. O ile wiedzial, w sumie bylo ich czterech. A przynajmniej czterech takich, z którymi przez pewien czas regularnie uprawiala seks. Oczywiscie zona nie wspomniala o tym ani slowem, ale on od razu sie zorientowal, ze z kimś sypia. Z natury mial dobre wyczucie, a ješli sie kogos naprawdę kocha, coś takiego sie czuje, chocby czlowiek nie chcial. Bez

większego trudu domyślał się, z kim sypia. Mógł to wyczytać z tonu jej głosu, kiedy mówiła o danym mężczyźnie. Zawsze byli to aktorzy, z którymi grała w filmach, często młodszy od niej. Te związki trwały przez kilka miesięcy produkcji filmu, a potem zazwyczaj naturalnie się kończyły, gdy zdjęcia dobiegały końca. To samo powtórzyło się czterokrotnie.

Kafuku nie mógł zrozumieć, dlaczego żona sypia z innymi mężczyznami. Nadal nie rozumiał. Od ślubu byli dobranymi partnerami życiowymi i dobrym małżeństwem. Kiedy mieli czas, szczerze i z zapałem rozprawiali na różne tematy i starali się wzajemnie sobie ufać. Wydawało mu się, że pasują do siebie pod względem psychicznym i seksualnym. Otoczenie też uważało ich za zgraną, wręcz idealną parę.

Skoro tak, to dlaczego sypiała z innymi? Powinien był ją o to zapytać przed jej śmiercią. Często o tym myślał. Zdarzało się, że już miał to pytanie na końcu języka. Czego ty właściwie w nich szukasz? Czego ci we mnie brak? To było kilka miesięcy przed jej śmiercią. Ale jednak nie mógł się zdobyć, żeby zapytać żonę walczącą w gwałtownych cierpieniach ze śmiercią. I w końcu odeszła z jego życia, niczego mu nie wyjaśniwszy. Niezadane pytanie i nieotrzymana odpowiedź. Zastanawiał się nad tym w głębokim milczeniu, wkładając do urny prochy żony. Tak się zamyślił, że nie słyszał, co ludzie obok do niego mówili.

Oczywiście wyobrażanie sobie żony w ramionach innych mężczyzn sprawiało mu ból. Musiało sprawiać. Gdy zamykał oczy, różne obrazy pojawiały mu się w myślach i znikwały. Nie chciał sobie wyobrażać takich rzeczy, ale nie mógł przestać. Wyobrażenia nieśpiesznie i bezlitośnie raniła go jak ostry nóż. Jak by to było dobrze, gdybym nic nie wiedział, myślał czasami. Ale jego zasadnicza postawa życiowa była taka, że lepiej jest wiedzieć, niż nie wiedzieć. Choćby miało to wywołać gwałtowne cierpienie, musiał znać *prawdę*. Ludzie stają się silniejsi tylko dzięki wiedzy.

Jeszcze boleśniesz od tego wyobrażania sobie było to, że znając prawdę, musiał się normalnie zachowywać, żeby żona się nie zorientowała, że on wie. Musiał zawsze łagodnie się do niej uśmiechać, choć serce miał złamane i krwawiące niewidzialną krwią. Musiał jak gdyby nigdy nic radzić sobie z codziennymi drobiazgami, prowadzić niewinne rozmowy i sypiać z nią. Zwyczajny człowiek by tego nie potrafił, ale Kafuku był zawodowym aktorem. Jego profesją i powołaniem było oddzielanie się od prawdziwego siebie i odgrywanie roli. Grał ją, najlepiej jak umiał. Grał rolę, chociaż nie miał publiczności.

Ale prócz tego – to znaczy nie licząc faktu, że czasami w tajemnicy sypiała z innymi mężczyznami – wiedli całkiem satysfakcjonujące, pozbawione burz życie małżeńskie. Obojgu dobrze układało się w pracy, nie mieli kłopotów finansowych. W ciągu dwudziestu lat uprawiali seks niezliczoną ilość razy i przynajmniej z punktu widzenia Kafuku był on satysfakcjonujący. Aż żona zachorowała na raka macicy i zmarła po krótkiej chorobie. Potem Kafuku spotykał się z kilkoma kobietami i prędzej czy później szedł z nimi do łóżka, lecz nie potrafił w tych związkach odnaleźć tej intymnej radości, którą dzielił z żoną. Doznawał tylko uczucia lekkiego *déjà vu*, że znowu robi to, czego już kiedyś doświadczył.

Jego agencja, żeby móc płacić Misaki wynagrodzenie, musiała załatwić wszystkie formalności, więc Kafuku poprosił ją o podanie obecnego adresu zamieszkania, stałego adresu, daty urodzenia i numeru prawa jazdy. Wynajmowała mieszkanie w Akabane w dzielnicy Kita, a na stałe była zameldowana w Górnych Dwunastu Wodospadach, w gminie X na wyspie Hokkaido, i niedawno skończyła dwadzieścia cztery lata. Kafuku nie miał pojęcia, gdzie na Hokkaido mieści się Górne Dwanaście Wodospadów, jakiej wielkości jest to miasteczko i jacy ludzie tam mieszkają. Jednak fakt, że miała dwadzieścia cztery lata, go zaskoczył. Żona Kafuku urodziła kiedyś dziecko, ale żyło tylko trzy doby. To była dziewczynka. Umarła trzeciej nocy, w sali noworodków. Nagle i zupełnie nieoczekiwanie

zatrzymało się jej serce. O świcie już nie żyła. Lekarze w szpitalu stwierdzili, że miała wrodzoną wadę zastawek. Ale skąd Kafuku miałby wiedzieć, czy to prawda? Poza tym, gdyby nawet poznał prawdziwą przyczynę, nie wróciłoby to dziecku życia. Na szczęście czy na nieszczęście, nie nadali jej jeszcze imienia. Gdyby żyła, miałaby akurat dwadzieścia cztery lata. W dzień urodzin tej bezimiennej dziewczynki Kafuku zawsze się modlił i liczył, ile by miała teraz lat.

Oboje z żoną oczywiście bardzo boleśnie odczuli taką nagłą stratę dziecka. Próżnia, która powstała, była ciężka i ciemna. Potrzebowali długiego czasu, by znów dojść do siebie. Prawie przestali wychodzić z domu i spędzali wiele godzin nieomal w milczeniu. Bo bali się, że mogą powiedzieć coś niewłaściwego. Żona zaczęła często pić wino. On przez pewien czas z niezwykłym zapałem oddawał się ćwiczeniu kaligrafii. Kiedy przesuwiał pędzlem nasączonym bardzo czarnym tuszem po zupełnie białym papierze i pisał różne znaki, miał wrażenie, że wyraźnie widzi strukturę swojego serca i umysłu.

Lecz wspierając się wzajemnie, powoli wyleczyli się z bólu wywołanego tą raną i jakoś przeżyli najcięższy okres. Bez reszty oddali się pracy. Całkowicie zatracali się w budowaniu nowych ról. „Przepraszam cię, ale wolę już nie mieć więcej dzieci”, powiedziała żona, a on się zgodził. „Dobrze, nie będziemy mieli więcej dzieci. Zrobimy tak, jak zechcesz”, odparł.

Zdał sobie sprawę, że dopiero potem żona zaczęła sypiać z innymi. A może strata dziecka rozbudziła w niej takie potrzeby? Ale to były tylko jego domysły, które sprowadzały się do „a może dlatego?”.

– Czy mogę pana o coś zapytać? – zwróciła się do niego Misaki.

Kafuku, który w zamyśleniu obserwował mijany krajobraz, spojrzał na nią zaskoczony. Od dwóch miesięcy dużo czasu spędzali razem w samochodzie i Misaki prawie nigdy nie zaczynała pierwsza rozmowy.

– Proszę bardzo.

– Dlaczego pan został aktorem?

– W czasie studiów koleżanka namówiła mnie, żebym zapisał się do teatru studenckiego. Nie interesowałem się wtedy teatrem. Prawdę mówiąc, chciałem się zapisać do klubu baseballowego. W szkole średniej grałem jako short stop i byłem niezły w obronie. Ale na tej uczelni poziom baseballu był dla mnie nieco za wysoki, więc wstąpiłem do tej grupy teatralnej tak trochę dla zabawy, że mogę i tego spróbować. Chciałem też mieć okazję do spotkań z koleżanką. Ale kiedy raz zacząłem, coraz mocniej sobie uświadamiałem, że lubię grać. Że grając, mogę się stać kimś innym. A gdy przestaję grać, znowu staję się sobą. To mi sprawiało przyjemność.

– Przyjemnie jest móc się stać kimś innym?

– Jeśli się wie, że można potem znów być sobą.

– Nigdy pan nie myślał, że nie chce pan już być sobą?

Kafuku zastanowił się. Nikt go wcześniej o to nie spytał. Na drodze był korek. Jechali autostradą w stronę zjazdu w Takebashi.

– Przecież nie można wrócić do bycia kimś innym.

Misaki nie wyraziła żadnej opinii.

Przez pewien czas panowało milczenie, Kafuku zdjął czapkę baseballową, poprawił jej daszek i znów nałożył. Obok wielkiej ciężarówki o niezliczonej liczbie kół żółty saab kabriolet wydawał się bardzo niewielki i kruchy. Jak mała łódka turystyczna unosząca się obok tankowca.

– To nie moja sprawa – powiedziała Misaki po chwili – ale coś mi nie daje spokoju, więc chciałabym pana o to zapytać. Mogę?

– Proszę.

– Dlaczego pan nie ma przyjaciół?

Kafuku rzucił jej dociekliwe spojrzenie.

– Skąd wiesz, że nie mam przyjaciół?

Misaki lekko wzruszyła ramionami.

– Jak się kogoś wozi codziennie przez dwa miesiące, takie rzeczy się wie.

Kafuku z wielkim zainteresowaniem przyglądał się przez chwilę ogromnym kołom przyczepy ciężarówki, a potem powiedział:

– Właściwie od dawna nie mam nikogo, kogo dałoby się nazwać przyjacielem.

– Od dzieciństwa pan nie ma?

– Nie, w dzieciństwie oczywiście miałem dobrych kolegów. Graliśmy w baseball, chodziliśmy popływać. Ale od kiedy jestem dorosły, jakoś przestałem myśleć, że chciałbym mieć przyjaciela. Szczególnie po ślubie.

– Chodzi o to, że jak pan miał żonę, to przyjaciele nie byli specjalnie potrzebni?

– Może i tak. Bo oboje z żoną byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

– A ile pan miał lat, kiedy pan się ożenił?

– Trzydzieści. Graliśmy w tym samym filmie i tak się poznaliśmy. Ona miała rolę drugoplanową, a ja grałem w epizodzie.

Samochód powoli posuwał się w korku. Dach był zamknięty, jak zawsze kiedy jechali autostradą.

– Ty w ogóle nie pijesz alkoholu? – zapytał Kafuku, chcąc zmienić temat.

– Mój organizm go nie toleruje – odparła Misaki. – Matka często wywoływała awantury pod wpływem alkoholu, więc może to też ma znaczenie.

– Czy matka nadal wywołuje awantury?

Misaki pokręciła głową.

– Matka nie żyje. Prowadziła po pijaku, popełniła jakiś błąd, obróciło ją, wyrzuciło z szosy i uderzyła w drzewo. Zginęła na miejscu. Miałam wtedy siedemnaście lat.

– Przykro mi – powiedział Kafuku.

– Sama się o to prosiła – stwierdziła Misaki cierpko. – Prędzej czy później coś takiego musiało się zdarzyć.

Przez chwilę panowało milczenie.

– A ojciec?

– Nie wiem, gdzie jest. Odszedł z domu, kiedy miałam osiem lat, i nigdy więcej go nie widziałam. Nie daje znaku życia. Matka długo miała do mnie o to pretensję.

– Dlaczego?

– Bo byłam jedynaczką. Gdybym była milsza i ładniejsza, ojciec by od nas nie odszedł. Matka zawsze tak mówiła. Mówiła, że od urodzenia jestem brzydka i że dlatego nas rzucił.

– Nie jesteś brzydka – powiedział cicho Kafuku. – Tylko twoja matka chciała tak myśleć.

Misaki znów wzruszyła lekko ramionami.

– Zwykle taka nie była, ale kiedy się napiła, zaczynała gadać. W kółko to samo powtarzała. Mnie to raniło. Może nie powinnam tak mówić, ale poczułam ulgę, kiedy umarła.

Tym razem milczenie trwało dłużej.

– A ty masz przyjaciół? – zapytał Kafuku.

Misaki potrząsnęła głową.

– Nie mam przyjaciół.

– Dlaczego?

Nie odpowiedziała. Zmrużyła oczy i patrzyła prosto przed siebie.

Kafuku przymknął powieki i próbował się zdrzemnąć, ale nie mógł zasnąć. Samochód ciągle się zatrzymywał, a ona za każdym razem pracowicie zmieniała biegi. Ciężarówka na sąsiednim pasie to przesuwała się przed saaba, to zostawała trochę za nim, jak wielki cień przeznaczenia.

– Ostatni raz miałem przyjaciela prawie dziesięć lat temu – odezwał się Kafuku, rezygnując ze spania i otwierając oczy. – Chyba powinienem powiedzieć, kogoś w rodzaju przyjaciela. To był bardzo dobry facet, młodszy ode mnie o jakieś sześć, siedem lat. Lubił się napić, ja mu często towarzyszyłem i rozmawialiśmy na różne tematy.

Misaki lekko przytaknęła i czekała na dalszy ciąg. Kafuku wahał się chwilę, ale potem zdecydował się mówić dalej.

– Prawdę powiedziawszy, ten mężczyzna przez pewien czas sypiał z moją żoną. Nie wiedział, że ja wiem.

Zrozumienie tego, co powiedział, zajęło Misaki dłuższą chwilę.

– To znaczy uprawiał z pana żoną seks?

– Tak. Myślę, że w ciągu trzech lub czterech miesięcy kilka razy uprawiał z moją żoną seks.

– A jak pan się o tym dowiedział?

– Ona to oczywiście ukrywała, ale ja się po prostu zorientowałem. Długo musiałbym tłumaczyć. W każdym razie nie miałem wątpliwości. Nie wymyśliłem sobie tego.

Samochód tkwił w korku, a Misaki poprawiła obiema rękami lusterko wsteczne.

– Czy to, że sypiał z pana żoną, nie stanowiło przeszkody w przyjaźnieniu się z nim?

– Raczej wręcz przeciwnie – odpowiedział Kafuku. – Zaprzyjaźniłem się z nim właśnie dlatego, że żona z nim sypiała.

Misaki milczała. Czekwała na wyjaśnienie.

– Jak by to powiedzieć...? Chciałem zrozumieć, dlaczego zaczęła z nim sypiać. Dlaczego musiała to robić? A przynajmniej taki miałem motyw na początku.

Misaki wzięła głęboki oddech. Jej pierś uniosła się powoli pod marynarką i opadła.

– Nie było panu ciężko na sercu? Kiedy pan pił i rozmawiał z kimś, kto sypia z pana żoną?

– Pewnie, że było mi ciężko. Zmuszało mnie to do myślenia o rzeczach, o których nie chciałem myśleć. Przypominało mi o rzeczach, których nie chciałem sobie przypominać. Ale grałem. To w końcu mój zawód.

– Stawał się pan kimś innym.

– Właśnie.

– A potem znowu stawał się pan sobą.

– Właśnie – potwierdził Kafuku. – Choćby człowiek nie chciał, staje się znów sobą. Ale stoi wtedy już trochę w innej pozycji. Taka jest zasada. Nie jest już się całkowicie tą samą osobą.

Zaczął padać drobny deszczyk, więc Misaki włączyła na chwilę wycieraczki.

– I zrozumiał pan? Dlaczego żona sypiała z tym panem?

Kafuku pokręcił głową.

– Nie, nie zrozumiałem. Myślę, że miał w sobie cechy, których ja nie mam. To znaczy pewnie było *wiele* takich cech. Ale nie wiem, która z nich najbardziej ją pociągała. Trudno szczegółowo coś takiego ustalić. Związki między ludźmi, a szczególnie między kobietą i mężczyzną, funkcjonują na bardziej ogólnym poziomie. Są bardziej niejasne, bardziej egoistyczne, bardziej bolesne.

Misaki zastanawiała się nad tym przez chwilę. A potem powiedziała:

– Ale przyjaźnił się pan dalej z tym panem, mimo że pan nie rozumiał?

Kafuku jeszcze raz zdjął baseballówkę i położył na kolanach. Mocno potarł głowę dłonią.

– Jak by to powiedzieć? Jak się raz zacznie poważnie grać, trudno znaleźć powód, żeby przestać. Choć ciężko jest człowiekowi na duszy, nie da się tej gry zatrzymać, tak długo, dopóki nie przybierze właściwego kształtu. Tak samo jak w muzyce, dopóki nie odnajdzie się właściwego akordu, utwór nie ma właściwego zakończenia... Wiesz, o co mi chodzi?

Misaki wyjęła z paczki jednego marlboro, włożyła do ust, ale nie zapaliła. Nigdy nie paliła, kiedy dach był opuszczony. Tylko trzymała papierosa między wargami.

– Czy on w tym czasie dalej sypiał z pana żoną?

– Nie, nie sypiał – odparł Kafuku. – Aż tak daleko... to byłoby zbyt nienaturalne. Zaprzyjaźniłem się z nim niedługo po śmierci żony.

– *Naprawdę* się pan z nim zaprzyjaźnił? Czy to jednak była tylko gra?

Kafuku zastanowił się nad tym.

– Jedno i drugie. Sam już nie wiedziałem, gdzie jedno się zaczyna, a drugie kończy. Prawdziwa gra to właśnie coś takiego.

Kafuku poczuł do tego mężczyzny sympatię już przy pierwszym spotkaniu. Nazywał się Takatsuki, był wysoki, przystojny – typowy amant. Tuż po czterdziestce, niezbyt dobry aktor bez szczególnej charyzmy. Role, które dostawał, były w pewnym sensie ograniczone. Zazwyczaj grał sympatycznych, energicznych facetów w średnim wieku. Zawsze się uśmiechał, ale czasami w jego profilu było coś melancholijnego. Cieszył się dużą popularnością wśród starszych pań. Kafuku spotkał go przypadkiem w poczekalni studia telewizyjnego. Było to pół roku po śmierci żony. Takatsuki podszedł do niego, przedstawił się i złożył wyrazy współczucia. „Raz, tylko raz, miałem okazję grać z pana żoną w filmie. Okazała mi wtedy wiele życzliwości”, powiedział ze współczującym wyrazem twarzy. Kafuku podziękował. O ile wiedział, chronologicznie biorąc, Takatsuki był ostatnim z mężczyzn, z którymi sypiała jego żona. Niedługo po zakończeniu tego romansu poszła do szpitala na badania i stwierdzono u niej zaawansowanego raka macicy.

– Mam do pana samolubną prośbę – rzucił Kafuku, gdy zakończyły się formalności wzajemnego przedstawiania się sobie.

– Jaka to prośba?

– Czy mógłby mi pan poświęcić trochę czasu? Może mógłby pan przy kieliszku podzielić się ze mną wspomnieniami o mojej żonie? Często mi o panu mówiła.

Takatsuki był wyraźnie zaskoczony tą nagłą prośbą. A raczej należałoby powiedzieć: zaszokowany. Lekko zmarszczył kształtne brwi i spojrzał na Kafuku podejrzliwie, jakby się zastanawiał, co się za tym kryje. Ale nie wyczytał w jego oczach żadnych szczególnych intencji. Kafuku miał spokojny wyraz twarzy człowieka, który utracił żonę po wielu latach wspólnego życia. Wyraz przypominający powierzchnię stawu, po którym rozeszły się małe fale i zniknęły.

– Chciałbym porozmawiać z kimś, kto mógłby mi opowiedzieć o żonie – dodał. – Kiedy siedzę sam w domu, szczerze mówiąc, czasami robi mi się bardzo ciężko. Wiem, że tą prośbą sprawiam panu kłopot.

Takatsuki chyba poczuł ulgę. Wyglądało na to, że Kafuku niczego nie podejrzewa.

– Nie, nie, to żaden kłopot. Chętnie się z panem spotkam. Jeśli odpowiada panu taki nudny rozmówca – powiedział i leciutko się uśmiechnął. W kącikach oczu pojawiły się życzliwe zmarszczki. To był uroczy uśmiech. Gdybym był kobietą w średnim wieku, na pewno bym się zarumieniła, pomyślał Kafuku.

Takatsuki szybko przebiegał w myślach swój plan zajęć.

– Jutro wieczorem mógłbym się na spokojnie spotkać. Czy to by panu odpowiadało?

Kafuku odpowiedział, że jutro wieczorem on też jest wolny. Jak łatwo odczytać uczucia tego człowieka, pomyślał zdziwiony. Gdybym mu spojrzał prosto w oczy, pewnie przejrzałbym go na wylot. Nie ma w nim nic pokrętnego ani złej woli. To nie jest ktoś, kto wykopałby w nocy głęboki dół i czekał, aż ktoś do niego wpadnie. Choć jako aktor pewnie nie osiągnie większych sukcesów.

– A gdzie się spotkamy? – zapytał Takatsuki.

– Zdaję się na pana. Niech pan wybierze miejsce, a ja tam przyjdę – odparł Kafuku.

Takatsuki podał nazwę słynnego baru w Ginzie. Dodał, że jeśli zarezerwuje tam oddzielony przepierzeniem stolik, to będą mogli się do woli nagadać, nie obawiając się, że ktoś usłyszy. Kafuku znał ten lokal. Na pożegnanie uścisnęli sobie ręce. Takatsuki miał miękkie dłonie z długimi, szczupłymi palcami. Ich wnętrze było ciepłe i jakby lekko spocone. Może ze zdenerwowania.

Po jego odejściu Kafuku usiadł na krześle w poczekalni, otworzył dłoń, którą uścisnął rękę Takatsukiego, i dokładnie się jej przyjrzał. Wyraźnie czuł jeszcze jego dotyk. *Tamta ręka*, tamte palce pieściły nagie ciało mojej żony, pomyślał. Nieśpiesznie, od stóp do głów. Zamknął oczy i wziął głęboki oddech. Co ja właściwie zamierzam, pomyślał. Bez względu na to, co to było, musiał to zrobić.

Kiedy Kafuku siedział przy oddalonym stoliku w barze, popijając szkocką whisky, udało mu się zrozumieć jedną rzecz. A mianowicie, że Takatsuki był ciągle mocno przywiązany do jego żony. Zdawało się, że jeszcze nie dotarł to niego fakt, że umarła, została spalona i pozostały po niej tylko resztki kości i popiół. Kafuku to wyraźnie widział. Mówiąc o jego żonie, Takatsuki miał chwilami łzy w oczach. Czasami Kafuku miał nawet ochotę wyciągnąć do niego rękę w geście pocieszenia. Ten człowiek nie potrafił ukrywać uczuć. Gdyby go umiejętnie podejść, od razu by wszystko wyznał.

Z tego, co mówił, wynikało, że to ona z nim zerwała. Pewnie powiedziała: „Lepiej, żebyśmy się już więcej nie spotykali”. I więcej nie próbowała się z nim zobaczyć. Ciągnęła romans przez kilka miesięcy,

a potem w pewnej chwili nagle go kończyła. Nie przeciągała niepotrzebnie. O ile Kafuku wiedział, tak rozgrywały się jej romantyczne przygody (chyba tak można je nazwać). Ale Takatsuki nie był przygotowany na takie nagłe zerwanie. Pragnął się chyba z nią związać na stałe.

Kiedy w końcowym okresie choroby przebywała w hospicjum przy miejskim szpitalu, Takatsuki zawiadomił ją, że chce ją odwiedzić, lecz ona zdecydowanie i tego mu odmówiła. Od chwili, kiedy znalazła się w hospicjum, prawie z nikim się nie widywała. Prócz lekarzy i pielęgniarek do jej pokoju miały wstęp tylko trzy osoby: matka, młodsza siostra i Kafuku. Takatsuki nie mógł się pogodzić z tym, że nigdy nie zgodziła się na jego odwiedziny. O tym, że cierpi na raka, dowiedział się kilka tygodni przed jej śmiercią. Wiadomość spadła na niego jak grom z jasnego nieba i jeszcze teraz nie całkiem się z nią pogodził. Kafuku to rozumiał. Chociaż oczywiście ich uczucia nie mogły być takie same.

Kafuku w ostatnim okresie choroby codziennie widywał wyniszczoną żonę, potem wkładał do urny jej białe prochy, więc w pewnym sensie przeszedł przez kolejne etapy pogodzenia się z jej śmiercią. To była wielka różnica pomiędzy nimi.

Kiedy tak obaj ją wspominali, Kafuku nagle pomyślał, że to wygląda zupełnie tak, jakby to on pocieszał Takatsukiego. Ciekawe, co moja żona by poczuła, gdyby zobaczyła nas razem? Ta myśl wprowadziła go w dziwny nastrój. Prawdopodobnie jednak zmarli o niczym nie myśleli i niczego nie czuli. Z punktu widzenia Kafuku był to jeden z najlepszych aspektów śmierci.

Zrobił jeszcze jedno odkrycie. A mianowicie Takatsuki miał skłonność do alkoholu. Z powodu pracy Kafuku stykał się z wieloma pijakami (dlaczego aktorzy piją z takim zapamiętaniem?), ale wyglądało na to, że Takatsuki nie należał do zdrowych, wesołych ochlapusów. Zdaniem Kafuku na świecie były zasadniczo dwa rodzaje pijaków: pierwsi to tacy, którzy piciem chcieli sobie czegoś dodać, i drudzy, którzy chcieli się czegoś pozbyć. Picie Takatsukiego wyraźnie należało do tego drugiego typu.

Kafuku nie wiedział, czego dokładnie Takatsuki chce się pozbyć. To mogła być zwykła słabość charakteru albo rezultat urazów z dzieciństwa. Albo prawdziwe trudne problemy, z którymi się teraz borykał. A może mieszanka tego wszystkiego. Ale, tak czy inaczej, nosił w sobie coś, o czym chciał „w miarę możliwości zapomnieć”, i żeby zapomnieć albo złagodzić ból, który to coś wywoływało, musiał pić. W czasie gdy Kafuku wypijał kieliszek, Takatsuki wypijał dwa i pół. Miał niezłe tempo.

A może pił tak dużo, bo był spięty? W końcu siedział twarzą w twarz z człowiekiem, z którego żoną dawniej potajemnie sypiał. Raczej byłoby dziwne, gdyby nie był spięty. Kafuku zdawało się jednak, że to niejedyny powód. Ten człowiek nie potrafił pić inaczej.

Kafuku pił ostrożnie, kontrolując tempo i obserwując, jak sobie radzi Takatsuki. Kiedy po kilku kieliszkach Takatsuki trochę się rozluźnił, Kafuku zapytał go, czy jest żonaty. Tamten odpowiedział, że jest żonaty od dziesięciu lat i ma siedmioletniego syna. Ale z pewnych powodów od roku nie mieszka z żoną. Prawdopodobnie niebawem się rozwiodą, a wtedy kwestia praw do dziecka stanie się dużym problemem. Chciałby za wszelką cenę uniknąć sytuacji, w której nie będzie mógł się swobodnie widywać z synem. Bo nie wyobraża sobie życia bez niego. Pokazał Kafuku zdjęcie. Grzeczny chłopiec o ładnej buzi.

Takatsukiemu, jak większości alkoholików, po pijaku rozwiązywał się język. Mówił nawet o rzeczach, o których nie powinien mówić, choć Kafuku nie pytał. Głównie słuchał, a kiedy tamten szukał pocieszenia, pocieszał, starannie dobierając słowa. I gromadził jak najwięcej informacji o Takatsukim. Zachowywał się, jakby czuł do niego wielką sympatię. Nie było to trudne. Z natury umiał słuchać, a poza tym *naprawdę* go lubił. A do tego łączyła ich jedna ważna wspólna cecha. Nadal by-li przywiązani do tej samej pięknej kobiety, która już nie żyła. Choć każdy z nich był w innej sytuacji, żaden nie mógł

przeboleć tej straty. I dlatego dobrze się dogadywali.

– Jeśli ma pan ochotę, może jeszcze kiedyś się spotkamy? Cieszę się, że mogłem z panem porozmawiać. Dawno się tak nie czułem – powiedział Kafuku przy pożegnaniu.

Wcześniej zapłacił już rachunek. Takatsukiemu chyba nawet nie przyszło do głowy, że ktoś będzie musiał zapłacić. Alkohol powodował, że zapominał o różnych rzeczach. Prawdopodobnie o kilku ważnych rzeczach.

– Oczywiście – powiedział Takatsuki, podnosząc głowę znad kieliszka. – Ja też myślałem, że koniecznie musimy się spotkać. Mnie się także zrobiło lżej na sercu po rozmowie z panem.

– Może los chciał, żebyśmy się spotkali – odrzekł Kafuku. – Może moja zmarła żona nas do siebie przyciągnęła.

To była w pewnym sensie prawda.

Wymienili się numerami telefonów komórkowych. I pożegnali uściskiem dłoni.

I tak zostali przyjaciółmi. To znaczy dobrymi towarzyszami do wypitki. Umawiali się, spotykali, pili w jakimś barze w centrum i rozmawiali o tym i owym. Nigdy nie byli razem na kolacji. Zawsze chodzili do jakiegoś baru. Kafuku ani razu nie widział, żeby Takatsuki jadł coś prócz lekkich przekąsek. Pomyślał nawet, że może ten facet w ogóle nie je nic normalnego. Z wyjątkiem paru piw nigdy nie zamawiał nic innego prócz whisky. Najbardziej lubił single malt. Rozmawiali na różne tematy, ale jakoś zawsze rozmowa wracała do jego zmarłej żony. Kiedy Kafuku opowiadał różne historie z ich młodości, Takatsuki z uwagą się przysłuchiwał. Jak ktoś, kto obsesyjnie kolekcjonuje wspomnienia innych. Kafuku zorientował się, że te rozmowy jemu też sprawiają przyjemność.

Pewnego wieczoru pili w małym barze w Aoyamie. Był to nierzucający się w oczy lokal w małej uliczce za Muzeum Sztuki Nezu. Za barem stał zawsze małowówny mężczyzna koło czterdziestki, w kącie na półce wiszącej na ścianie spał zwinięty w kłębek chudy szary kot. Wyglądał na dzikiego kota z sąsiedztwa, który się tu przyplątał. Na talerzu adaptera obracała się płyta ze starym jazzem. Podobała im się atmosfera w tym barze, więc już wcześniej parę razy tu byli. Jakoś często umawiali się w deszczowe dni, i dzisiaj też siąpił drobny deszczyk.

– To była naprawdę urocza kobieta – powiedział Takatsuki, patrząc na swoje dłonie na stoliku. Były to piękne ręce jak na faceta w średnim wieku: gładkie, o zadbanych paznokciach.

– Musiał pan być szczęśliwy, mogąc być z taką kobietą, dzielić z nią życie.

– Tak – odparł Kafuku. – Ma pan rację. Pewnie byłem szczęśliwy. Ale proporcjonalnie do tego szczęścia czasem bywało mi ciężko.

– Na przykład, z jakiego powodu?

Kafuku podniósł szklanekę z whisky i potrząsnął kostkami lodu.

– Myślałem, że mogę ją kiedyś stracić. Kiedy sobie to wyobrażałem, bolało mnie serce.

– Ja to rozumiem.

– Dlaczego?

– To znaczy... – zaczął Takatsuki i szukał właściwych słów. – Chodzi mi o uczucie, że można stracić taką uroczą kobietę.

– Mówi pan w sensie ogólnym?

– No tak – powiedział Takatsuki i pokiwał głową, jakby sam siebie próbował przekonać. – No bo ja mogę to sobie tylko wyobrazić.

Kafuku przez chwilę zachowywał milczenie. Przeciągał je tak długo, jak się dało. A potem powiedział:

– Ale w końcu ją utraciłem. Kiedy żyła, traciłem ją po trochu, aż całkiem utraciłem. Tak samo pod wpływem erozji coś zaczyna się chwiać, aż zostanie wyrwane z korzeniami i uniesione przez wielką falę... Rozumie pan, o czym mówię?

– Myślę, że tak.

Nie, nie rozumiesz, powiedział Kafuku w myślach.

– Dla mnie najtrudniejsze jest to – zaczął – że ja jej, a przynajmniej tego, co było w niej najważniejsze, *naprawdę* nie rozumiałem. A teraz, kiedy umarła, już pewnie nigdy nie zrozumiem. To jest jak mały sejf zatopiony głęboko na dnie morza. Na tę myśl serce ściska mi ból.

– Ale czy w ogóle można kogoś w pełni zrozumieć? Nawet jeśli tę osobę darzymy głębokim uczuciem. Prawie dwadzieścia lat byliśmy bardzo zżyтым małżeństwem. Myślałem też, że jesteśmy przyjaciółmi darzącymi się zaufaniem. Że o wszystkim szczerze ze sobą rozmawiamy. Przynajmniej ja tak sądziłem. Ale naprawdę mogło tak nie być. Jak by to powiedzieć... Może miałem gdzieś jakieś martwe pole.

– Martwe pole – powtórzył Takatsuki.

– Może nie dostrzegłem czegoś ważnego. To znaczy patrzyłem, ale *naprawdę* nie widziałem.

Takatsuki przygryzł wargi. Potem dopił whisky i poprosił barmana o kolejną.

– Wiem, o czym pan mówi – powiedział.

Kafuku patrzył mu prosto w oczy. Takatsuki przez chwilę odwzajemniał to spojrzenie, ale wkrótce odwrócił wzrok.

– W jakim sensie pan rozumie? – zapytał cicho Kafuku.

Barman przyniósł nową whisky z lodem i wymienił zmoczoną papierową podkładkę na świeżą. Przez ten czas obaj mężczyźni milczeli.

– W jakim sensie pan rozumie? – powtórzył Kafuku po odejściu barmana.

Takatsuki coś rozważał. W jego oczach jakby coś lekko drżało. Kafuku przypuszczał, że się waha. Gwałtownie zмага się z chęcią, żeby coś wyznać. Ale w końcu udało mu się jakoś opanować to drżenie. Potem powiedział:

– My chyba nigdy nie wiemy, co kobiety myślą. O to mi chodziło. Tak jest ze wszystkimi kobietami. Dlatego nie wydaje mi się, że to martwe pole dotyczy tylko pana. Jeżeli jest takie martwe pole, to wszyscy je mamy. Dlatego chyba nie powinien pan siebie za to winić.

Kafuku zastanawiał się przez chwilę nad jego słowami.

– Ale mówi pan to w sensie ogólnym.

– Ma pan rację – przyznał Takasuki.

– A ja mówię o sobie i mojej zmarłej żonie. Wolalby, żeby pan tak łatwo tego nie uogólniał.

Takatsuki milczał przez dłuższy czas. Potem powiedział:

– O ile wiem, pana żona była naprawdę uroczą kobietą. Oczywiście ja nie wiedziałem o niej nawet jednej setnej tego, co pan, ale i tak jestem o tym przekonany. Bez względu na wszystko powinien pan się

cieszyć, że mógł przeżyć z kimś tak uroczym aż dwadzieścia lat. Ale nawet jeśli ludzie się świetnie rozumieją, nawet jeśli się bardzo kochają, niemożliwe jest zobaczenie wszystkiego, co kryje się w sercu i umyśle drugiej osoby. Takie pragnienie może tylko wywołać ból. Za to, jeśli chodzi o własne serce i umysł, to przy pewnym wysiłku powinno się udać do nich zajrzeć. Więc musimy raczej stworzyć dobre relacje z własnym sercem i umysłem. Jeżeli *naprawdę* chcemy zobaczyć innego człowieka, musimy spojrzeć sobie prosto i głęboko w oczy. Ja tak uważam.

Wydawało się, że te słowa wydobyły się z jakiegoś szczególnego, głęboko ukrytego miejsca w duszy Takatsukiego. Ukryte drzwi otworzyły się, choć tylko na krótką chwilę. Słowa brzmiały, jakby czyste płynęły prosto z serca. A przynajmniej jasne było, że Takatsuki nie gra. Nie był aż tak dobrym aktorem. Kafuku w milczeniu patrzył mu prosto w oczy. Tym razem Takatsuki nie odwrócił wzroku.

Długo patrzyli sobie w oczy. I dostrzegli w nich nawzajem jakby blask dalekiej gwiazdy.

Znów pożegnali się uściskiem dłoni. Na dworze padał drobny deszczyk. Kiedy Takatsuki ubrany w beżowy płaszcz przeciwdeszczowy odszedł bez parasola, Kafuku jak zawsze przyglądał się chwilę wnętrzu swojej prawej dłoni. I pomyślał, że *tamta* ręka pieściła nagie ciało jego żony.

Ale z jakiegoś powodu tego dnia ta myśl nie sprawiła mu bólu. Pomyślał tylko, że pewnie takie rzeczy się zdarzają. Prawdopodobnie takie rzeczy się zdarzają. Przecież to tylko ciało, tłumaczył sobie. Niebawem zmienia się w drobne fragmenty kości i popiół. Musi być coś ważniejszego.

Jeżeli jest takie martwe pole, to wszyscy je mamy. Dźwięk tych słów przez dłuższą chwilę odbijał się echem w jego myślach.

– Długo się pan z nim przyjaźnił? – zapytała Misaki, wpatrując się w rzędy samochodów przed sobą.

– W sumie przyjaźniliśmy się prawie pół roku. Dwa razy w miesiącu umawialiśmy się w jakimś barze i piliśmy – powiedział Kafuku. – A potem zupełnie przestaliśmy się spotykać. Ignorowałem jego telefoniczne zaproszenia na drinka. Sam się z nim nie kontaktowałem. Wkrótce przestał do mnie dzwonić.

– Na pewno bardzo się dziwił.

– Pewnie tak.

– Może było mu przykro.

– Pewnie było.

– Dlaczego nagle przestał się pan z nim spotykać?

– Bo już nie musiałem grać.

– Nie musiał pan już grać, więc nie potrzebował pan więcej przyjaciela?

– Tak, ale to nie był jedyny powód – powiedział Kafuku.

– A jaki był inny?

Kafuku długo milczał. Misaki, z niezapalonym papierosem w ustach, zerknęła na niego.

– Jeśli chcesz, możesz zapalić.

– Co?

– Możesz zapalić tego papierosa.

– Ale dach nie jest opuszczony.

– Nie szkodzi.

Misaki otworzyła okno i zapaliła marlboro zapalniczką samochodową. Zaciągnęła się głęboko i z zadowoleniem zmrzyła oczy. Przez chwilę zatrzymała dym w płucach, a potem powoli wypuściła przez okno.

– Zabije cię to – powiedział Kafuku.

– Samo życie człowieka zabije – odparła.

Kafuku się roześmiał.

– Można i tak na to patrzeć.

– Pierwszy raz widzę pana śmiejącego się – powiedziała.

Może i tak, pomyślał Kafuku. Chyba rzeczywiście dawno się nie śmiałem, tylko podczas gry.

– Już dawno miałem ci powiedzieć – zaczął Kafuku. – Jak się dobrze przyjrzeć, jesteś zupełnie ładna. Nie masz w sobie nic brzydkiego.

– Dziękuję bardzo. Ją też nie uważam, że jestem brzydka. Tylko nieładna. Jak Sonia.

Kafuku spojrzał na nią lekko zdziwiony.

– Czytałaś *Wujaszka Wanię*.

– Kiedy tak codziennie słuchałam fragmentów pana roli w dowolnej kolejności, zapragnęłam się dowiedzieć, o czym to jest. Byłam ciekawa. „Jakie to okropne, że jestem nieładna! Jakże okropne! A ja przecie wiem, że jestem nieładna, wiem, wiem...” To smutna sztuka, prawda?

– Tak, pozbawiona nadziei. „Daj mi jakiś środek! O mój Boże... mam czterdzieści siedem lat; jeżeli pożyję, powiedzmy, do sześćdziesięciu, to pozostaje mi jeszcze trzynaście lat! To długo! Jak ja przeżyję tych trzynaście lat? Co będę robić, czym je wypełnię?”^[2] Ludzie umierali wtedy w wieku sześćdziesięciu lat. Dobrze, że wujaszek Wania nie żył w naszych czasach.

– Sprawdziłam, że urodził się pan w tym samym roku, co mój ojciec.

Kafuku nie odpowiedział. Wziął do ręki kilka kaset i sprawdzał napisane na nich tytuły utworów. Ale nie nastawił żadnej muzyki. Misaki trzymała za oknem lewą dłoń z zapalonym papierosem. Sznur samochodów powoli się poruszał. Wkładała papierosa do ust tylko na chwilę, kiedy zmieniała biegi, bo potrzebowała wtedy dwóch rąk.

– Prawdę mówiąc, zamierzałem jakoś tego człowieka ukarać – wyznał Kafuku. – Tego, który sypiał z moją żoną.

Odłożył kasety na miejsce.

– Ukarać?

– Postawić go w jakiejś strasznej sytuacji. Udawać przyjaciela, uspić jego czujność, znaleźć jakiś zgubny słaby punkt i zręcznie go zranić.

Misaki rozmyślała nad tym ze zmarszczonymi brwiami.

– Słaby punkt, czyli na przykład co?

– Nie wiem. Ale kiedy pił, stawał się bezbronny, więc na pewno coś bym znalazł. A wtedy nietrudno byłoby wywołać skandal, dzięki któremu ucierpiałyby jego reputacja. A gdyby do tego doszło, to w czasie rozwodu na pewno straciłby prawa do dziecka, co byłoby dla niego wielkim ciosem. Pewnie już by się nie podniósł.

- Ponura wizja.
- Tak, to ponura historia.
- Chciał pan mu odpłacić za to, że sypiał z pana żoną?

– Chodziło mi o coś trochę innego niż odpłacenie mu się – powiedział Kafuku. – Za nic nie mogłem o tym wszystkim zapomnieć. Bardzo się starałem, ale nic z tego nie wychodziło. Nie mogłem wyrzucić z wyobraźni obrazu żony w ramionach innego mężczyzny. Ta scena ciągle powracała. Jak błądząca dusza unosiła się w rogu sufitu i stamtąd mi się przyglądała. Myślałem, że wraz z upływem czasu po śmierci żony takie rzeczy poznikają. Ale nie zniknęły. Stawały się nawet silniejsze. Chciałem coś z tym zrobić. W tym celu musiałem zdusić gniew, który w sobie nosiłem.

Dlaczego opowiadam o takich rzeczach tej dziewczynie z Górnych Dwunastu Wodospadów na Hokkaido, która jest w wieku mojej córki, zastanawiał się Kafuku. Ale kiedy już zaczął, nie mógł przestać.

- Dlatego zamierzał go pan ukarać? – zapytała dziewczyna.
- Uhm...
- Ale w końcu nic pan nie zrobił?
- Nie, nie zrobiłem – powtórzył Kafuku.

Misaki, słysząc te słowa, chyba poczuła ulgę. Wzięła krótki oddech, a potem wyrzuciła papierosa przez okno. Pewnie wszyscy tak robią w Górnych Dwunastu Wodospadach.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć, ale w pewnym momencie wszystko nagle stało mi się obojętne. Jakby przeszło mi opętanie – powiedział Kafuku. – Przestałem nawet czuć gniew. A może to wcale nie był gniew, tylko coś innego.

- Ja myślę, że dobrze pan postąpił. Że pan nie zranił w żaden sposób drugiego człowieka.
- Ja też tak sędzę.

– Ale nadal pan nie rozumie, dlaczego żona uprawiała z tym człowiekiem seks, dlaczego to *musiał być akurat on*?

– Nie, nie pojmuję. Nadal noszę w sobie to pytanie. To był prostolinijny, sympatyczny facet. Chyba naprawdę kochał moją żonę. Nie sypiał z nią tylko dla przyjemności. Jej śmierć była dla niego prawdziwym szokiem. Bolało go też to, że nie pozwoliła mu przyjść do szpitala. Dał się lubić i naprawdę chciałem nawet się z nim zaprzyjaźnić.

Kafuku przerwał i wsłuchał się w swoje uczucia. Szukał słów jak najbardziej odpowiadających faktom.

– Ale mówiąc wprost, to był *miałki* facet. Może i miał dobry charakter. Przystojny, pięknie się uśmiechał. Nie był zupełnie powierzchowny. Ale trudno było darzyć go szacunkiem. Był szczery, ale brakowało mu głębi. Miał swoje słabości, do tego był drugorzędny aktorem. W przeciwieństwie do mojej żony, która miała silną osobowość i wiele głębi. Potrafiła długo i spokojnie nad czymś rozmyślać. Więc dlaczego zakochała się w takim *byle jakim* facecie, dlaczego musiała z nim iść do łóżka? Te pytania nadal tkwią w moim sercu jak kolec.

- Można to potraktować prawie jako obelgę w stosunku do pana. O to panu chodzi?

Kafuku zamyślił się na chwilę i szczerze przyznał:

- Tak, może i o to chodzi.

– Może pana żona wcale się w nim nie zakochała – powiedziała Misaki dobitnie. – Może tylko z nim sypiała.

Kafuku spojrział na jej profil, jakby przyglądał się jakiemuś dalekiemu widokowi. Misaki włączyła na chwilę wycieraczki, usuwając z szyby krople wody. Nowe pióra wycieraczek zaprotestowały wysokim piskiem jak para bliźniąt.

– Kobiety robią takie rzeczy – dodała Misaki.

Kafuku nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał.

– To jest jak choroba, proszę pana. Nie ma sensu nad tym rozmyślać. To, że ojciec nas porzucił, że matka mi ciągle dokuczała, to wszystko było jak choroba. Logicznie pan tego nie zrozumie. Musi pan to przyjąć do wiadomości, przełknąć i żyć dalej.

– Wszyscy coś gramy – powiedział Kafuku.

– Myślę, że tak, w mniejszym lub większym stopniu.

Kafuku usiadł wygodnie na skórzanym siedzeniu, zamknął oczy i w skupieniu wsłuchał się w rytm zmiany biegów, ale nie udało mu się nic dosłyszeć. Wszystko było zbyt gładkie i tajemnicze. Szum obrotów silnika tylko leciutko się zmieniał. Jak odgłos skrzydełek owada. Zbliżał się i oddalał.

Prześpię się, pomyślał Kafuku. Głęboko zasnę na trochę i się obudzę. Na jakieś dziesięć albo piętnaście minut, to wszystko. Potem znowu stanę na scenie i zacznę grać. W blasku świateł będę powtarzał wyuczoną rolę. Rozlegną się oklaski, opadnie kurtyna. Oddalę się od swojej jaźni, potem do niej wrócę. Ale kiedy tam wrócę, będę, ściśle mówiąc, w nieco innym miejscu.

– Prześpię się trochę – oznajmił Kafuku.

Misaki nie odpowiedziała. W milczeniu dalej prowadziła samochód. Kafuku był jej wdzięczny za to milczenie.

O ile mi wiadomo, jedynym człowiekiem, który stworzył japońskie słowa *Yesterday* Beatlesów (i to w dialekcie z Kansai[3]), był facet nazwiskiem Kitaru. Często śpiewał głośno w kąpielni.

Wczoorej

To ino juczysze przedwczoreej

Przedwczorejsze jiiitro, nieeee

O ile pamiętam, tak się zaczynało, ale w końcu to było tak dawno, że nie mam pewności. W każdym razie cały ten tekst od początku do końca nic nie znaczył, był nonsensowny i w niczym nie przypominał oryginału. Dobrze znana piękna melancholijna melodia i nieco luzacki – a może należałoby powiedzieć zupełnie niesentymentalny – dialekt z Kansai tworzyły dziwną kombinację zuchwale rzucającą wyzwanie jakiegokolwiek użyteczności. A przynajmniej w moich uszach tak to brzmiało. Mogłem po prostu zbyć śmiechem albo odczytać jakąś wiadomość ukrytą w tych słowach. Ale wtedy po prostu słuchałem zniecierpliwiony.

W mojej obecności Kitaru zawsze mówił prawie perfekcyjnym dialektem z Kansai, chociaż urodził się i wychował w Tokio, w Den'en Chōfu w dzielnicy Ōta. Ja byłem urodzony i wychowany w Kansai, ale mówiłem prawie perfekcyjnym standardowym japońskim (czyli tak, jak ludzie mówią w Tokio). Na dobrą sprawę stanowiliśmy dość dziwną parę.

Poznaliśmy się w kawiarni, w której dorabialiśmy. Mieściła się niedaleko głównej bramy Uniwersytetu Waseda. Ja pracowałem w kuchni, Kitaru jako kelner. Kiedy nie mieliśmy nic do roboty, często gadaliśmy. Obaj mieliśmy po dwadzieścia lat, daty naszych urodzin dzielił tylko tydzień.

– Kitaru to rzadkie nazwisko – powiedziałem.

– Nie za czynste, co nie? – odpowiedział Kitaru.

– W drużynie Lotte był pitcher o takim nazwisku.

– Łe, to żadna famuła, tej. Ino mało wiary sie tak nazywo, może dzieś dalij jest jakaś krewność, nie.

Ja byłem wtedy na drugim roku Wydziału Literatury. On nie dostał się na studia, więc chodził na kurs przygotowujący do egzaminów. Mimo że nie dostał się dwa lata z rzędu, w ogóle nie odnosiło się wrażenia, że przykłada się do nauki. Kiedy miał czas, czytał książki niemające żadnego związku z egzaminem: biografię Jimiego Hendrixa, zadania szachowe albo *Skąd wziął się kosmos?* Powiedział, że ciągle mieszka z rodzicami w dzielnicy Ōta.

– Z rodzicami? Byłem pewien, że jesteś z Kansai.

– Ady weź tej! Żem sie urodził i wychował w Den'en Chōfu, co nie?

Te słowa bardzo mnie zaskoczyły.

– To dlaczego mówisz dialektem Kansai? – zapytałem.

– Sam żem sie nauczył. Żem postanowił i sie nauczył, nie.

– Sam się nauczyłeś?

– No furt żem sie uczył. Zapamiętywał żem czasowniki, rzeczowniki, akcynt. Durch tak samo, jak sie godo po angliżku albo po francusku, nie. Kilka razy machnoł żem sie tyż do Kansai, coby na mijscu pogodoć.

Byłem pełen podziwu. Pierwszy raz się dowiedziałem, że są ludzie, którzy sami się uczą dialektu Kansai, tak samo jakby się uczyli angielskiego czy francuskiego. Tokio to jednak wielkie miasto, myślałem z podziwem. Choć brzmi to, jakbym cytował *Sanshiro*[4].

– Od dziecioka ciągiem jezdę kibicem Tigersów[5]. Kiedy groli wew Tokio, furt lotołem na mecze, co nie? Choć lażem do fyrtla kibiców Tigersów w koszulce wew pionowy paski, nikt mnie tam powoźnie nie traktował, bom godołem jak szczun z Tokio. Kibice z eki przyjuć mnie nie chcieli. No to żem se pokombinował, że czeba sie uczyć po kansajsku. Tak ryłem, kusiłem, że prawie żem sie skataił do imentu, nie.

– Tylko z tego powodu się nauczyłeś dialektu Kansai? – zapytałem z niedowierzaniem.

– No! Tigersi byli dla mnie wszystkim. Od tego czasu i wew budzie, i wew chacie żem się starołem godoć ino po kansajsku. Nawet bez sen tak godom, nie – powiedział Kitaru. – No jak, godom prawie perfektnie, co nie?

– Nie da się ukryć. Zupełnie jakbyś był z Kansai. Ale to nie jest dialekt z okolic między Osaką i Kobe. Mówisz jak ktoś z Osaki, i to z biednej dzielnicy.

– Łe no, jo to dobrzy wim. W wakacje latowe za liceum żem mieszkołem bez pewin czas u jedny famuły w fyrtlu Tennōji wew Osace. Na *homestay*. To buło fajowe miejsce. I żem mógł piechcą dyrdać do zologu, co nie?

– Na *homestay*? – powtórzyłem z podziwem.

– Żeli bym tylo tetrałem przy egzaminach, com sie natetrałem przy uczeniu po kansajsku, nie oblałbym aż dwa razy.

Rzeczywiście, ma rację, pomyślałem. Taka samokrytyka też była charakterystyczna dla Kansai.

– A ty skąd jeździeś, co?

– Niedaleko Kobe.

– Niedaleko Kobe, czyli gdzie?

– Z Ashiya – powiedziałem.

– No to fajno, nie. Czemu od razu tak nie godosz, co? Po co tak chachmyncić, tej?

Wyjaśniłem, że kiedy na pytanie, skąd pochodzę, odpowiadałem, że z Ashiya, wszyscy myśleli, że jestem z zamożnej rodziny. Ale w Ashiya mieszkali i biedni, i bogaci. Nie pochodziłem ze szczególnie zamożnego domu. Ojciec pracował w firmie farmaceutycznej, a matka była bibliotekarką. Dom mieliśmy nieduży i jeździliśmy kremową toyotą corollą. Dlatego, kiedy ludzie pytali, skąd jestem, mówiłem „z okolic Kobe”, żeby uniknąć takich automatycznych skojarzeń.

– Ady weź tej! Toć przecie tak samo jak jo, nie – powiedział Kitaru. – My tyż niby mieszkomy w Den'en Chōfu, ale naszo chata stoi w opędziałym fyrtlu Den'en Chōfu, nie. Nasz dom tyż opędział. Zajdzij kiedy zobaczyć, co? Pogłówkujesz se i to ma być Den'en Chōfu? Cheba dla picu. Ino wiesz co, nie można sie takimi duperelami przejmować, nie. To przecie ino adres, nie. To jo od razu wale prosto z mostu, nie. Żem sie urodził i dorósł w Den'en Chōfu, no i co z tego, nie.

Byłem pełen podziwu. I tak zostaliśmy przyjaciółmi.

Mogę wymienić parę przyczyn, dla których po przyjeździe do Tokio przestałem mówić dialektem z Kansai. Do końca szkoły średniej ciągle go używałem, nigdy nie mówiłem standardową tokijską

japońszczyzną. Jednak w jakiś miesiąc po przyjeździe do Tokio zorientowałem się, że płynnie mówię tym nowym językiem, i bardzo się zdziwiłem. Może mam naturę kameleona, tylko wcześniej się nie zorientowałem. Może mam wyjątkowo dobre ucho do języków? W każdym razie nikt mi nie wierzył, kiedy mówiłem, że pochodzę z Kansai.

Inną ważną przyczyną, dla której przestałem używać dialektu z Kansai, było to, że postanowiłem się odrodzić jako inna osoba.

Dostałem się na studia w Tokio i jadąc superekspresem do stolicy, rozmyślałem samotnie nad tym, że kiedy wspominał swoje osiemnastoletnie życie, wstydę się większości rzeczy, które mnie spotkały.

Wcale nie przesadzam. Przychodziły mi do głowy wyłącznie wstydlive wydarzenia, o których wolałem zapomnieć. Im dłużej o nich myślałem, tym większą czułem do siebie niechęć. Oczywiście miałem też trochę pięknych wspomnień. I miewałem wzniosłe myśli. Przyznaję to. Ale pod względem ilościowym, znacznie więcej było takich, które sprawiały, że się czerwieniłem i miałem ochotę złapać się za głowę. Przypominałem sobie swój dotychczasowy sposób myślenia i życia, i zdałem sobie sprawę, że był nieprawdopodobnie przeciętny i kompletnie żaloszny. Brakowało w nim wyobraźni. Składał się wyłącznie z odpadków wytworzonych przez klasę średnią. Chciałem zebrać to wszystko razem i wepchnąć w głąb jakiejś wielkiej szuflady. Albo podpalić i puścić z dymem (nie wiem, jaki by się z tego uniół dym). W każdym razie pragnąłem się tego wszystkiego pozbyć i zacząć w Tokio nowe życie jako nowa osoba. Chciałem spróbować nowych możliwości bycia sobą. Odrzucenie dialektu Kansai i przyswojenie sobie nowej mowy było konkretnym (a jednocześnie symbolicznym) środkiem do tego celu. Bo język, którym mówimy, kształtuje nas jako ludzi. A przynajmniej tak mi się wydawało jako osiemnastolatkowi.

– Wstydasz się? Czego właściwie się tak wstydasz, tej? – zapytał Kitaru.

– Wszystkiego.

– Nie dogodujesz się z famułą, co?

– Nie to, że się nie dogaduję – powiedziałem. – Ale wstydę się. Wstydę się nawet być z rodziną.

– Dziwok jeźdeś! Czego tu się wstydać, bywszy z famułą, co? Mnie jest z nimi całkiem przyjemnie, nie.

Milczałem. Nie potrafiłem tego dobrze wyjaśnić. Gdyby ktoś mnie zapytał, co jest złego w kremowej toyocie corolli, nie umiałbym odpowiedzieć. Po prostu w wąskiej uliczce przed naszym domem nie zmieściłby się większy samochód, poza tym rodzice nie lubili wydawać pieniędzy tylko po to, żeby zaimponować sąsiadom.

– Jo się za mało ucze, stare codziennie ino brynczom... No i pewnikiem to idzie na nerwy, ale ni ma rady, co? Bo łone muszom, jak to stare. Trzebno być ponad takie pierdoły, nie.

– Dobrze być tak na luzie – powiedziałem z podziwem.

– Mosz panne, co?

– Teraz nie mam.

– A przedtem żeś miał?

– Do niedawna.

– Zerwaliśta, co?

– Tak.

- Czemu żeś zerwał?
- To długa historia i nie mam teraz ochoty o tym mówić.
- Dziewucha tyż była z Ashiya? – zapytał Kitaru.
- Nie z Ashiya. Mieszkała w Shukugawa. Niedaleko.
- Pozwoliła ci na wszystko, tej?

Potrząsnąłem głową.

- Nie, nie na wszystko.
- I bez to żeśta zerwali, co?

Zastanowiłem się przez chwilę.

- Pewnie i przez to.
- A pozwoliła ci prawie na wszystko?
- Uhm, prawie na wszystko.
- A konkretnie?
- Nie chcę o tym mówić.
- To jedna z tych gupotów, których się wstydasz?
- Uhm.

Była to jedna z rzeczy, o których chciałem zapomnieć.

- Tobie nieźle wali do dekła, tej – powiedział Kitaru z podziwem.

Pierwszy raz usłyszałem ten dziwny tekst do *Yesterday* w łazience jego domu w Den'en Chōfu (wcale nie stał w podupadłej dzielnicy ani sam dom nie był podupadły. Zupełnie zwyczajny dom w zupełnie zwyczajnej dzielnicy. Stary, ale większy od naszego w Ashiya. Po prostu nie był szczególnie imponujący. À propos, mieli granatowego golfa, przedostatni model). Po powrocie do domu Kitaru najpierw brał kąpiel. Zazwyczaj długo nie wychodził z wanny. Dlatego często siedziałem pod łazienką na okrągłym plastikowym stołku i rozmawiałem z nim przez szparę w drzwiach. Jeśli się tam nie schroniłem, musiałem wysłuchiwać długich opowieści jego matki (prawie wyłącznie narzekań na ekscentrycznego syna, który nie przykłada się do nauki). I on kiedyś głośno zaśpiewał tam dla mnie (chyba dla mnie?) tę piosenkę ze swoim tekstem.

- Te słowa nie mają żadnego sensu – powiedziałem. – To tylko brzmi, jakbyś kpił z *Yesterday*.
- Nie przychodź mi tak gupio. Wogle żem nie kpił. A nawet jakbym cie tak ino rajcowoł, toć przecie John cholernie lubiał nonsensy, nie.
- *Yesterday* napisał Paul.
- Ady nie godej!
- Na sto procent – oznajmiłem. – Paul napisał tę piosenkę, poszedł sam do studia i nagrał siebie śpiewającego i grającego na gitarze. Potem dodano akompaniament kwartetu smyczkowego. Inni Beatlesi nie brali w tym udziału. Uważali, że ta piosenka jest za mięczakowata jak na piosenkę Beatlesów. Chociaż oficjalnie jest to utwór Lennona i McCartneya.
- Jo nie moge, tej. Przy takiej erudycji jo wysiodom.

– To nie jest erudycja, tylko powszechnie znane fakty – powiedziałem.

– No, ale to cheba jes ganc egal, co? Takie pierdoły nie grajom roli, nie – odparł Kitaru lekko, siedząc w gorącej wodzie. – Jo se przecie ino śpiwom w swoij łazince, nie. Nie wydaje płyty. Nie leze nikumu w autorstwo, nikumu kłopotu nie robie, nie. Nie mosz sie mnie co tak czepioć.

I znowu zaśpiewał refren bardzo łazienkowym, donośnym głosem. Wesoło wyciągał nawet wysokie nuty: *Wczorej jeszczek tu z niom byłem, nie...* – i tak dalej.

Dołożył do tego wesoły akompaniament, chlapiąc wodę rękami. Ja też mogłem się jakoś dołączyć, ale nie miałem ochoty. Siedzenie przez godzinę pod łazienką, w której ktoś się kąpie, i prowadzenie przez drzwi chaotycznych rozmów nie należy do wielkich przyjemności.

– Jak ty możesz tak długo siedzieć w wannie? Nie robi ci się duszno?

Ja od dawna brałem krótkie kąpiele. Szybko nużyło mnie siedzenie w gorącej wodzie. W wannie nie dało się czytać ani słuchać muzyki. A nie potrafiłem tylko beczynn timer w niej siedzieć.

– Jak se tak dłużej posiedze w kompiółce, łepetyna mi sie łodprenża i pod dekiel przychodzm mi rozmaite pomysły, nie. Same z siebie.

– Takie pomysły jak na przykład te słowa do *Yesterday*?

– No tak, to tyż jes jeden z nich.

– Mniejsza o dobre pomysły, jak masz czas na myślenie o takich rzeczach, to może byś się trochę poważniej pouczył do egzaminów?

– Ej, no weź, tej, nie bryncz! Godosz ganc jak mojo matka. Taki boźdór, a taki wygodony!

– Ale nie masz dość tego, że już dwa razy się nie dostałeś i musisz się uczyć?

– Rychtyk, że mom. Jo tyż bym chcioł sie już dostoć i mieć blajbe na uniwerku. I chciołbym chodzić z dziewczuchom na prawdziwe randki, nie.

– No to przyłóż się trochę i poucz.

– Wiesz co – powiedział powoli. – Jakbyk mógł, to już byk dawno to robił, nie.

– Na studiach jest nudno – stwierdziłem. – Jak się dostaniesz, to się rozczarujesz. Nie mam wątpliwości. Ale jak się nie dostaniesz, będzie gorzej, nie uważasz?

– Recht – odparł Kitaru. – Mosz recht, że ni mom na to odpowiedzi. Żadnyj.

– To dlaczego się nie uczysz?

– Bo ni mom motywacji.

– Motywacji? To, że chcesz chodzić na prawdziwe randki z dziewczyną, to chyba świetna motywacja?

– Wiesz co – powiedział Kitaru i wydał dźwięk pomiędzy westchnieniem a jękiem z głębi piersi. – To długa bajda. Ino że jo jezdem ganc przekrychany, nie.

Kitaru miał dziewczynę, z którą chodził do szkoły podstawowej, czyli znali się od dziecka. Byli z tego samego rocznika, ale ona studiowała na Uniwersytecie Sophia. Była na romanistyce i należała do klubu miłośników tenisa. Pokazał mi zdjęcie. Była taka ładna, że miałem ochotę gwizdnąć z podziwu. Miała też zgrabną figurę i pełną życia twarz. Ale teraz prawie się nie widywali. Omówili sytuację i zgodzili się, że lepiej się nie spotykać jako para, dopóki Kitaru nie dostanie się na studia, żeby mu randki nie

przeszkadzały w nauce. Kitaru to zaproponował. Ona się zgodziła, mówiąc: „No skoro uważasz, że tak będzie lepiej...”. Często rozmawiali przez telefon, ale spotykali się najwyżej raz w tygodniu i to nie na randkach, ale na „rozmowach”. Pili razem herbatę i rozmawiali o tym, co u nich słyszą. Trzymali się za ręce, lekko się całowali, ale starali się nie posuwać dalej. Bardzo tradycyjnie.

Kitaru nie był może przystojny, za to miał regularne, szlachetne rysy. Nie był wysoki, lecz szczupły, miał dobrze ostrzyżone włosy, gustownie i modnie się ubierał. Dopóki się nie odzywał, wyglądał na dobrze wychowanego, wrażliwego chłopaka z wielkiego miasta. Razem tworzyli ładną parę.

Jeśli musiałbym znaleźć w nim jakąś wadę, powiedziałbym, że ponieważ miał delikatne rysy, można było odnieść wrażenie, że brakuje mu indywidualności czy stanowczości. Lecz gdy tylko otworzył usta, to pierwsze wrażenie całkowicie zniknęło jak zamek z piasku stratowany przez energicznego labradora retrievera. Ludzi zamurowowało, kiedy słyszeli jego bezbłędny dialekt z Kansai i wysoki, donośny głos. Kontrast z wyglądem był ogromny. Ja też na początku czułem się tym skołowany.

– Słuchej no, nie czujesz się samotny bez panny? – zapytał nagle pewnego dnia.

Powiedziałem, że nie czuję się samotny.

– Słuchej, Tanimura, a nie mielibyś chyni się pospotykoć z mojom, co.

Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi.

– Jak to pospotykać się?

– To dobro dziewczucha. Pikno, fajno i całkiem niegupio. Gwarantuje ci za niom. Nic nie stracisz, jak się z niom pospotykosz, nie.

– Nie uważam, żebym mógł coś na tym stracić – powiedziałem, nie bardzo wiedząc, do czego prowadzi ta rozmowa. – To nie kwestia tracenia. Tylko właściwie dlaczego miałbym się spotykać z twoją dziewczyną? Nie rozumiem, z jakiego powodu.

– Bo porzundny z ciebie kompel, nie. Gdyby było inaczej, nie wychycnołbym z czymś takim, nie.

To nie było żadne wytłumaczenie. Jaki mógł być związek przyczynowo-skutkowy między tym, że byłem porządnym facetem (jeśli rzeczywiście byłem), a *spotykaniem* się z dziewczyną Kitaru?

– Chodził zëm z Erykom, tak łynom wołajom, od srola do tyj samyj podstawówki, tyj samyj gamai, ty-go samego liceum – mówił Kitaru. – Czyli jakby przeżyli my razem całe życie. Jakoś naturalnie zostali my parą, wszyscy nom sprzyjali, jak kramujemy. Komple, rodzice, nauczyciele. I tak my byli ze sobom jak zrośnięte.

Kitaru złożył ciasno dłonie.

– I gdyby nam się udało jednemu z drugim dostać na uniwersytet, wszystko poszłoby dokumentnie jak z płatka, żodnych problemów i żyliby my długo i szczynśliwie, nie. Ale ja kompletnie zëm oblał egzaminy i sam widzisz, jak jes. Nie wiada, co się gdzie spartoliło, ino różne rzeczy po trochu przestały się dobrze układać. Bez niczego, to całkiem moja wina, niczyja inna.

Słuchałem go w milczeniu.

– No i jo, jak by tu rozmówić, zostałem przekrychany – powiedział Kitaru i odsunął od siebie złączone wcześniej dłonie.

Rozdarty na dwoje?

– W jakim sensie? – zapytałem.

Kitaru przez chwilę patrzył na wnętrze swoich dłoni. Potem powiedział:

– No to jes tak. Jeden jo sie martwi i niepokoii. Kiedy jo lotom na jakieś durne kursy i uczę sie do durnych egzaminów, Eryka furt se używa życia studentki. Gra se w tenisa, robi różne rzeczy. Ma nową ekę i pewnikiem kramuje z innym. Jak zacznom o tym myśleć, czuje sie całkiem podłamany, że bynde sam. Rozumisz, co?

– Myślę, że tak – powiedziałem.

– Ale drugi jo jest całkiem na odwyrtkę, na luzie. Łyn zastanawia sie, co z nami byndzie dalij, jak byndziemy sobie żyli słodziutko jak dwa ptoszki bez żodnych kwasów, to może lepiej niech każde z nas póndzie wew swoją mańkę, a jak pojmiemy, że jezdeśmy se nawzajem poczebni, byndziemy mogli znowu sie zejść, nie. I tak se kombinuje, że to możliwe, rozumisz, nie.

– Wydaje mi się, że rozumiem, ale też, że nie bardzo rozumiem – powiedziałem.

– Rozchodzi sie o to, że po studiach zacne robić w jakijś firmie, ochajtam sie z Erykom, a jak nas pobłogosławiom, byndziemy dobraną parą, urodzom sie nom dwa gzubki, istne Ob-La-Di, Ob-La-Da... i co ino tylko. Pewnikiem takie życie jes całkiem rajcowne... Ale ździebko nie wiedziołem se rady, czy życie mo być takie łatwe, przyjemne i bez kwasów, co? No, ło coś takiego mi sie rozchodzi, nie.

Nie bardzo rozumiałem, w czym tkwił problem naturalnego, harmonijnego i przyjemnego życia, ale nie chciałem, żeby się z tego zrobiła długa rozmowa, więc postanowiłem nie drążyć tej kwestii.

– No, mniejsza o to, ale dlaczego mianowicie ja miałbym się spotykać z twoją dziewczyną? – zapytałem.

– Skoro i tak ma sie z kimsiś spotykać, to cheba lepiej, żeby zez tobą, co? Bo jo cie dobrze znam. I bynde mógł sie ciebie spytać, co u niej słychoć, nie.

Nie wydawało mi się, że ma to wiele sensu, ale chciałem poznać jego dziewczynę. Na zdjęciu wyglądała na przyciągającą wzrok piękność, chciałem się też dowiedzieć, dlaczego taka dziewczyna chętnie spotyka się z dziwakiem w rodzaju Kitaru. Z natury byłem nieśmiały, ale ciekawości mi nigdy nie brakowało.

– No, a jak daleko z nią zaszedłeś? – zapytałem.

– Rozchodzi ci sie o seks?

– Tak, pozwoliła ci na wszystko?

Kitaru potrząsnął głową.

– Ady idź! Znamy sie dobrze od srola, no to jakoś nie uchodzi, żeby jo jom rozgogolił czy obłapioł, nie. Z innom dziewczuchom bym tak nie myśloł. Ale wydaje mi sie, że nie powinienem se nawet wyobrazać, że wkładam jej rynkę do gaciów czy coś w tym rodzaju, wiesz. Cheba rozumisz, nie.

Nie bardzo rozumiałem.

– No rychtyk, całujemy sie, trzymomy sie za rynce. Czasami maram jej dydki bez ubranie. Ino to tyż robimy jakby dla zabawy, nie? Podrajcujemy sie, ino nic nie zapowiada, że sprawy pójdą dalij, nie.

– Jak to nic nie zapowiada? Przecież w takich sytuacjach chyba sam człowiek posuwa sprawy dalej. Ludzie na to mówią „pożądanie płciowe”.

– U mnie tak nie jes, wiesz? – powiedział Kitaru. – Nie idzie mi przegodać, żebym jo kiedy sie brandzluje, na co wy godocie podczas masturbacji, widział jakóms kunkretnom dziewczuche, nie.

– Niby tak – powiedziałem.

– Ino jo za nic w świecie nie moge se wyobrazić Eryki. Zdaje mi się, że mi *nie wolno*. No i w takich

razach przed ślipiami stojom mi inne dziewczuchy, nie. Takie, z którymi nawet nie spryjam. I co ty na to?

Zastanawiałem się przez chwilę, ale do żadnych wniosków nie doszedłem. Nic nie wiedziałem na temat masturbacji innych. Nawet w swoim przypadku nie wszystko do końca rozumiałem.

– Tak cy inacy, może sie raz spotkomy wew troje, co? – zapytał Kitaru. – A potem byndziesz mógł sie na spokojnie zastanowić, nie.

Spotkałem się z Kitaru i jego dziewczyną (nazywała się Erika Kuritani) w niedzielne popołudnie w kawiarni niedaleko dworca Den'en Chōfu. Była wzrostu Kitaru, ładnie opalona, miała na sobie pięknie uprasowaną białą bluzkę z krótkim rękawami i granatową spódniczkę mini. Była modelowym przykładem dziewczyny z dobrego domu w eleganckiej dzielnicy chodzącej na żeński uniwersytet. W rzeczywistości była równie śliczna jak na zdjęciu, ale bardziej niż piękne rysy uwagę zwracała żywotność, która przepełniała ją całą. Stanowiła kontrast z narysowanym delikatną kreską Kitaru.

Kitaru przedstawił nas sobie nawzajem.

– Cieszę się, że Aki ma przyjaciela – powiedziała Erika Kuritani. Kitaru miał na imię Akiyoshi. Tylko ona jedna na całym świecie nazywała go Aki.

– Przesodsz. Mom wuchę przyjaciół – odparł Kitaru.

– To nieprawda – oznajmiła krótko. – Ponieważ jest taki, jak widzisz, nie umie się z nikim zaprzyjaźnić. Chociaż jest z Tokio, mówi tylko dialektem z Osaki. A jak już się odezwie, to gada tylko o drużynie Tigersów albo zadaniach szachowych. Ludzie nie potrafią się dogadać z kimś tak *zwariowanym*.

– Jak ło tym mowa, to łon tyż mo ambę – powiedział Kitaru, wskazując mnie. – Pochodzi z Ashiya, a szprecho ino po tokijsku.

– To chyba dość normalne – stwierdziła dziewczyna. – Przynajmniej normalniejsze niż odwrotna sytuacja.

– Jo nie mogę, tej. To jest dycht kulturno dyskryminacjo, nie – oznajmił Kitaru. – Wszystkie kultury som równe jedno z drugom. Godanie tokijskie nie jest nic lepsze od kansajskiego.

– Słuchaj, może i są równe, ale od czasu przewrotu Meiji dialekt tokijski stał się standardowym japońskim – powiedziała Erika Kuritani. – Dowodzi tego na przykład fakt, że nie ukazało się tłumaczenie *Franny i Zoey Salinger* na dialekt z Kansai, prawda?

– Gdyby sie ukazało, jo bym se lajsnoł.

Pomyślałem, że ja też pewnie bym kupił, ale się nie odzywałem. Lepiej się nie wtrącać.

– W każdym razie taki jest ogólnie przyjęty pogląd – powiedziała Erika. – Ty po prostu jesteś uparcie nieobiektywny.

– Ady idź! Uparcie nieobiektywny! Cós mi sie widzi, że kulturalno dyskryminacjo to barzyj zmudny rodzaj nieobiektywności.

Erika rozsądnie postanowiła unikać tej kwestii i zmieniła temat.

– W moim klubie tenisowym jest jedna dziewczyna z Ashiya – powiedziała, zwracając się do mnie. – Nazywa się Eiko Sakurai. Znasz ją?

– Znam – odparłem.

Eiko Sakurai. Miała nos o dziwnym kształcie, była wysoka i szczupła, jej rodzice mieli duże pole

golfowe. Do tego pretensjonalna, wredna i prawie pozbawiona piersi. Rzeczywiście od dawna dobrze grała w tenisa, brała często udział w zawodach. W miarę możliwości wolałem się z nią więcej nie spotykać.

– To całkiem porządny facet, ale na tyn czas nie ma panny, nie – powiedział Kitaru do Eriki. – Wygląda tak sobie, ino miał kindersztube i nie ma z gorem tak jak jo, znaczy sie kombinuje. Zna sie na różnych gupotach i czyta trudne knipy. Nie jest obsłomprany i cheba nie cierpi na poważne choróbska. Myślę, że to szczun z przyszłościom, nie.

– Nie ma sprawy – odrzekła Erika. – W naszym klubie jest kilka nowych ładnych dziewczyn, mogę go przedstawić.

– Nie, nie o to mi sie rozchodzi. Ino o to, czy ty byś sie z nim prywatnie nie pospotykoła. Jo musze sie tero uczyć na tyn egzamin i porzundnie widywoć sie nie mozem. To myślę, żeby łon mnie tak jakby zastompił, nie. Dobrze by sie nadoł na kamrata i jo bułbym spokojny.

– W jakim sensie spokojny? – zapytała Erika.

– Idzie o to, że znom was oboje, nie. Miołbym wiekszom rułe, jakbyś sie z nim spotykoła, nie z jakimś ejbrem, którego żem w życiu na łoczy nie widzioł.

Erika patrzyła na niego zmrużonymi oczami, jakby przyglądała się obrazowi, w którym było coś nie tak z perspektywą. Potem powoli powiedziała:

– I dlatego mam się spotykać z Tanimurą? Ponieważ to jest „całkiem porządny facet”, poważnie mnie zachęcasz, żebym się z nim spotykała jak dziewczyna z chłopakiem?

– Przecie to wcale niezły pomysł, tej. Czy może kramujesz już z innym szczunem, co?

– Nie, nie spotykam się z nikim – powiedziała cicho.

– No to cheba możesz i z nim? Tako kulturalno wymiano, co nie?

– Wymiana kulturalna – powtórzyła Erika. Potem spojrzała na mnie.

Milczałem, bo wydawało mi się, że żadne słowa nie mogą tu pomóc. Wziąłem do ręki łyżeczkę do kawy i z wielkim zainteresowaniem przyglądałem się wzorkom na rączce. Jak kustosz z muzeum wnikliwie badający znaleziska z jakiegoś egipskiego grobowca.

– Co znowu za wymiana kulturalna? – zapytała Erika Kitaru.

– Rozchodzi się o to, że niezłe by było, jakby my wynuplali jakiś nowy, ten, no, punkt widzenia...

– O taką wymianę kulturalną ci chodzi?

– No, ale właśnie chciałem godoć...

– Dobrze – oznajmiła zdecydowanie Erika. Gdyby leżał przed nią ołówek, pewnie wzięłaby go do ręki i złamała na dwoje. – Skoro tak mówisz, to zorganizujmy wymianę kulturalną.

Wypiła łyk herbaty, odstawiła filiżankę na spodek i odwróciła się do mnie. Uśmiechnęła się lekko.

– No to słuchaj, skoro Aki tak nas namawia, umówmy się na randkę. Na pewno przyjemnie spędzimy czas. Kiedy ci pasuje?

Nie mogłem wydobyć słowa. To, że w ważnych momentach brakowało mi słów, było jednym z problemów, z którymi się borykałem. Nawet jeśli człowiek zamieszka gdzie indziej i mówi inaczej, takie zasadnicze problemy pozostają nierozwiązane.

Erika wyjęła z torebki kalendarzyk z czerwonej skóry, otworzyła go i sprawdziła swoje plany.

– Masz czas w następną sobotę?

– Na sobotę nie mam żadnych planów.

– No to postanowione – sobota. I dokąd pójdziemy?

– Łon lubi kintop – powiedział Kitaru do Eriki. – Łon na to wychodzi, żeby być scenarzystom, nie. Loto na takie kółko łod scenariuszy.

– No, chodźmy do kina. Tylko na jaki film... Ty coś wybierz, dobrze? Ja nie lubię horrorów, ale poza tym mogę iść na każdy.

– Stroszne ma fefry, nie – zwrócił się do mnie Kitaru. – Za knajdra poszli my se z Eriką do *Pałacu duchów* w Kōrakuen. Trzymałem ją za rękę, ale...

– *A po filmie* pójdziemy coś spokojnie zjeść – przerwała mu Erika. Napisała na kartce numer telefonu i podała mi. – To jest mój numer domowy. Jak zdecydujesz, kiedy i gdzie się spotkamy, zadzwoń, dobrze?

Nie miałem wówczas telefonu (proszę pamiętać, że to jest z historia z czasów, kiedy nikomu nawet się nie śniło o telefonach komórkowych), więc podałem jej telefon do kawiarni, w której dorabiałem. Potem spojrzałem na zegarek.

– Przepraszam, ale polecę już – powiedziałem najweselej jak umiałem. – Muszę do jutra skończyć jeden referat.

– Ady dej spokój – nalegał Kitaru. – Akuratnie my sie tak we troje zleźli, możesz chyba jeszcze ździebko zostać i se pogodoć, nie. Tu jes tako jedno knajpa, gdzie dajom prima makarun zez gryczki...

Erika nie wyraziła opinii. Położyłem na stoliku pieniądze za kawę i wstałem.

– Przepraszam, ale to ważny referat – powiedziałem. Chociaż naprawdę wcale nie był ważny.

– Zadzwońię do ciebie jutro albo pojutrze – zwróciłem się do Eriki.

– Będę czekała – odrzekła i uśmiechnęła się bardzo sympatycznie. Odniosłem wrażenie, że ten uśmiech był trochę zbyt sympatyczny, jak na to, żeby był zupełnie szczery.

Zostawiwszy ich w kawiarni, skierowałem się na dworzec. Idąc, zadawałem sobie pytanie, co my właściwie robimy. Tendencja do zastanawiania się nad tym, jak do czegoś doszło po tym, gdy już zostało zdecydowane, była kolejnym problemem, z którym się borykałem...

W następną sobotę umówiłem się z Eriką w Shibuyi i obejrzelśmy film Woody’ego Allena rozgrywający się w Nowym Jorku. Po rozmowie z nią pomyślałem, że pewnie lubi filmy w typie Woody’ego Allena. Kitaru raczej nie zaprasza jej na takie filmy. Na szczęście film był dobry i wychodząc z kina, oboje byliśmy w świetnych humorach.

Pospacerowaliśmy trochę po ulicach w zapadającym zmierzchu, potem weszliśmy do niewielkiej włoskiej restauracji w Sakuragaoka, zamówiliśmy pizzę i napiliśmy się chianti. To była niezbyt droga, sympatyczna restauracja. Przyciemniono światła, a na stolikach poustawiano świece (w tamtych czasach w większości włoskich restauracji były świece i obrusy w kratkę). Rozmawialiśmy na różne tematy. To były rozmowy, jakie prowadzą na randce (chyba można było to nazwać randką) studenci drugiego roku. O filmie, który dopiero co obejrzelśmy, o życiu studenckim, o naszych zainteresowaniach. Rozmowa płynęła znacznie bardziej wartko, niż się spodziewałem, i ona kilka razy wybuchnęła śmiechem. Może nie powinienem sam tego mówić, ale mam chyba umiejętność rozśmieszania dziewczyn.

– Słyszałem od Akiego, że podobno niedawno rozstałeś się z dziewczyną, z którą chodziłeś w liceum?

– zapytała.

– Uhm. Chodziliśmy ze sobą prawie trzy lata, ale w końcu nic z tego nie wyszło. Niestety.

– Aki powiedział, że nie wyszło z powodu seksu. Jak by to powiedzieć... To znaczy, że ona nie chciała ci dać tego, czego pragnąłeś.

– To też. Ale to niejedyny powód. Myślę, że gdybym ją naprawdę kochał, tobym wytrzymał. Gdybym był naprawdę pewien, że ją kocham. Ale nie byłem.

Erika skinęła głową.

– Myślę, że gdybyśmy nawet poszli w końcu do łóżka, i tak by się tak skończyło. Wyjechałem do Tokio, oddaliłem się od niej i stopniowo to zrozumiałem. Szkoda, że nie wyszło, ale myślę, że nie było na to rady.

– Ciężko ci było? – zapytała.

– W jakim sensie?

– Że byliście we dwoje, a nagle zostałeś sam.

– Czasami – powiedziałem szczerze.

– Ale może za młodu w pewnym sensie trzeba przeżyć taki samotny, ciężki okres. To jest część procesu dorastania.

– Tak sądzisz?

– Tak samo jak drzewa muszą przetrwać zimę, żeby się stały silne i wielkie. W ciepłym, łagodnym klimacie nie tworzą się słoje.

Wyobraziłem sobie słoje wewnątrz siebie. Wyglądały tylko jak resztki sękacza sprzed trzech dni. Roześmiała się, kiedy jej to powiedziałem.

– Rzeczywiście, może człowiek potrzebuje takiego okresu – dodałem. – Chociaż lepiej byłoby wiedzieć, że kiedyś dobiegnie końca.

Uśmiechnęła się.

– Nie martw się. Na pewno niedługo znajdziesz jakąś fajną dziewczynę.

– Mam nadzieję – powiedziałem. Miałem nadzieję.

Erika przez chwilę nad czymś rozmyślała. Przez ten czas sam jadłem pizzę.

– Słuchaj, Tanimura. Chciałam się ciebie w jednej sprawie poradzić. Mogę?

– Oczywiście – odparłem, ale pomyślałem: o rany, teraz będę miał kłopot. To, że nowo poznani ludzie od razu mi się zwierniają z ważnych spraw, to jeszcze jeden problem, z którym się wiecznie borykam. Poza tym byłem prawie pewny, że sprawa, w której Erika Kuritani chciała się mnie „poradzić”, nie należała do przyjemnych.

– Nie bardzo wiem, jak postąpić – powiedziała.

Jej oczy poruszały się powoli w lewo i w prawo jak u szukającego czegoś kota.

– Jak sam wiesz, Aki już dwa razy nie dostał się na studia, a mimo to prawie nie uczy się do egzaminów. Nie chodzi też porządnie na kurs. Dlatego myślę, że w przyszłym roku znów się nie dostanie. Oczywiście, gdyby spróbował na gorszą uczelnię, pewnie by się dostał, ale on z jakiegoś powodu zdaje tylko na Uniwersytet Waseda. Uparł się, że musi się tam dostać. Ja uważam, że to nie ma sensu, ale on w ogóle nie słucha ani mnie, ani nauczycieli, ani rodziców. Powinien się przykładać do nauki, lecz tego

nie robi.

– A właściwie dlaczego on się nie uczy?

– Jest przekonany, że jak będzie miał szczęście, to zda – powiedziała Erika. – Że uczenie się do egzaminów wstępnych to strata czasu, marnowanie życia. Ja nie mogę uwierzyć, że naprawdę ma taki dziwny pogląd.

Jest w tym trochę racji, pomyślałem, ale oczywiście głośno tego nie wyraziłem.

Erika westchnęła i mówiła dalej:

– W szkole podstawowej był świetnym uczniem. Miał najlepsze stopnie w klasie. Ale od gimnazjum oceny mu się pogorszyły, jakby staczał się po równi pochyłej. On jest niezwykle uzdolniony, więc powinien być doskonałym uczniem, ale charakterem nie pasuje jakoś do regularnej nauki. Nie umie przywyknąć do systemu szkolnego i sam robi jakieś dziwne rzeczy. Ja na odwrót. Nie jestem szczególnie zdolna, ale poważnie podchodzę do nauki.

Ja uczyłem się bez większego zapału, lecz z łatwością dostałem się na studia. Może po prostu miałem szczęście.

– Bardzo kocham Akiego i uważam, że ma w sobie wiele wybitnych cech. Tylko czasami nie potrafię mu dotrzymać kroku w tym ekstremalnym sposobie myślenia. Choćby tak jak z dialektem z Kansai. Dlaczego ktoś urodzony i wychowany w Tokio z takim uporem mówi dialektem z Kansai? Nie rozumiem tego. Na początku myślałam, że robi to tylko dla zabawy, ale nie – on to robi na poważnie.

– Prawdopodobnie chciał się stać kimś innym niż przedtem, kimś o innej osobowości – powiedziałem. Czyli zrobił to, co ja, tylko na odwrót.

– I dlatego musi mówić tylko dialektem z Kansai?

– To rzeczywiście dość ekstremalne podejście.

Erika podniosła trójkąt pizzy i odgryzła kawałek wielkości dużego znaczka. Przeżuwała go głęboko zamyślona, a potem powiedziała:

– Słuchaj, nie mam nikogo innego, kogo mogłabym zapytać, więc zapytam ciebie. Nie masz nic przeciwko temu?

– Nie mam – odparłem. Co innego mogłem powiedzieć?

– Tak ogólnie mówiąc, jeśli para długo ze sobą chodzi, to chłopak zwykle pożąda ciała dziewczyny, prawda?

– Ogólnie mówiąc, myślę, że tak jest.

– Jak się pocałują, to on chce się posunąć dalej, prawda?

– No, zwykle tak.

– I w twoim przypadku też tak było?

– Oczywiście – powiedziałem.

– Ale z Akim tak nie jest. Nawet kiedy długo jesteśmy sami, on nie pragnie niczego więcej.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Dobranie właściwych słów zajęło mi trochę czasu. W końcu się odezwałem:

– Takie rzeczy bardzo zależą od osoby, różni ludzie mogą mieć różne pragnienia. Kitaru cię oczywiście kocha, ale zaczął cię uważać za kogoś, kto jest tak naturalnie bliski, że może trudno mu się

posunąć w takim ogólnie przyjętym kierunku.

– Naprawdę tak myślisz?

Potrząsnąłem głową.

– Nie mogę powiedzieć nic definitywnie. Sam nie mam takich doświadczeń. Mówię tylko, że *może tak być*.

– Czasami mi się wydaje, że on nie odczuwa wobec mnie pożądania seksualnego.

– Myślę, że na pewno odczuwa. Tylko może po prostu wstydzi się do tego przyznać.

– Mamy już po dwadzieścia lat. W tym wieku już chyba człowiek się nie wstydzi.

– Może dla każdego czas płynie *trochę* inaczej...

Erika zastanowiła się nad tym. Wyglądało na to, że nad wszystkim zastanawia się bardzo poważnie.

– Kitaru pewnie czegoś bardzo pragnie – ciągnąłem – ale w inny sposób niż inni ludzie, w innym czasie, bardzo czysto i szczerze. Sam jeszcze nie do końca zrozumiał, czego pragnie. Dlatego pod różnymi względami nie potrafi dopasować się do otoczenia i doprowadzić różnych rzeczy do końca. A kiedy się nie wie, czego się szuka, szukanie staje się bardzo trudne.

Erika podniosła głowę i przez chwilę bez słowa patrzyła mi prosto w oczy. W jej czarnych źrenicach pięknie jak lśniąca punkciki odbijały się płomienie świec. Musiałem odwrócić wzrok.

– Oczywiście ty go o wiele lepiej znasz ode mnie – dodałem, jakby się tłumacząc.

Jeszcze raz westchnęła, a potem powiedziała:

– Prawdę mówiąc, mam jeszcze jednego chłopaka. Znamy się z klubu tenisowego, jest ode mnie o rok starszy.

Tym razem była moja kolej, by zamilknąć.

– Z całego serca kocham Akiego i pewnie dla nikogo nie będę miała takich głębokich, naturalnych uczuć jak dla niego. Kiedy jestem daleko od niego, serce mi się ściska i mnie boli. Jak bolący ząb. Naprawdę. Mam w sercu specjalny pokój tylko dla Akiego. Ale jednocześnie – jak by to powiedzieć – mam też w sobie takie silne poczucie, że chcę znaleźć w sobie coś innego, chcę doświadczyć różnych rzeczy. Nie wiem, czy to ciekawość, dociekliwość, czy świadomość możliwości? To jest bardzo naturalne uczucie i nie udaje mi się go opanować.

Jak silna roślina, która rozsadza doniczkę, pomyślałem.

– Właśnie o to mi chodzi, kiedy mówię, że się waham.

– Jeśli tak, to lepiej powiedz o tym szczerze Kitaru – poradziłem, starannie dobierając słowa. – Jeżeli zachowasz w tajemnicy, że spotykasz się z kimś innym, a on się jakoś przypadkiem dowie, pewnie go to zrani i nic dobrego z tego nie wyniknie.

– Ale czy będzie w stanie się z tym pogodzić? Z tym, że chodzę z kimś innym?

– Mam wrażenie, że potrafi zrozumieć, jak się czujesz – powiedziałem.

– Tak myślisz?

– Tak myślę.

Kitaru prawdopodobnie zrozumie te wahania jej uczuć, te wątpliwości. Bo przecież sam czuje to samo. Pod tym względem byli naprawdę dobrze rozumiejącą się parą. Ale nie byłem przekonany, że spokojnie przyjmie do wiadomości to, co ona robi (albo *być może* robi). Z tego, co widziałem, Kitaru nie

był aż tak silnym człowiekiem. Ale jeszcze trudniej będzie mu pewnie znieść, że ona ma tajemnice, że go oszukuje.

Erika bez słowa obserwowała płomień świecy drżący w strumieniu powietrza płynącym z klimatyzatora. Potem powiedziała:

– Często śni mi się ten sam sen. Płynę z Akim statkiem. Dużym statkiem w długą podróż. Jesteśmy sami w małej kabinie, jest późny wieczór, przez okrągły luk widać księżyc w pełni. Ale ten księżyc jest z czystego, przezroczystego lodu. Jego dolna połowa jest zanurzona w morzu. „Wygląda jak księżyc, ale naprawdę zrobiony jest z lodu i ma tylko dwadzieścia centymetrów grubości – mówi mi Aki. – Dlatego rano, kiedy wstanie słońce, roztopi się. Więc napatrzmy się teraz, póki go widać”. Wiele razy miałam ten sam sen. Jest bardzo piękny. Zawsze taki sam księżyc, zawsze grubości dwudziestu centymetrów. Połowa zanurzona w wodzie. Opieram się o Akiego, księżyc pięknie lśni, jesteśmy sami, słychać łagodny szum fal. Ale kiedy się budzę, zawsze jest mi bardzo smutno. Nigdzie nie ma księżycy z lodu.

Erika zamilkła na chwilę, a potem dodała:

– Myślę, że byłoby cudownie, gdybyśmy mogli wyruszyć we dwoje w taką podróż. Co wieczór, siedząc blisko siebie, patrzylibyśmy przez luk na księżyc z lodu. Księżyc rano topnieje, ale wieczorem znów się ukazuje. Lecz może by tak nie było. Pewnego wieczoru by już nie wzeszedł. Na tę myśl ogarnia mnie wielki strach. Tak się boję, że na samą myśl, co mi się jutro przyśni, uchodzi ze mnie powietrze.

Następnego dnia w pracy Kitaru zapytał mnie o tę randkę.

– Cmoknoł żeś jom?

– Żartujesz.

– Nie miołbym racy, nawet jakbyś cmoknoł, wiesz.

– W każdym razie niczego takiego nie zrobiłem.

– Za rynke tyż żeś jej nie czymoł, co?

– Za rękę też nie trzymałem.

– No to co żeśta robili?

– Obejrzełiśmy film, przeszliśmy się, zjedliśmy coś i rozmawialiśmy – powiedziałem.

– Ady weź! I to wszystko?

– Zwykle na pierwszej randce nie robi się nic zbyt aktywnego.

– Łe tej? Jo nigdy zem nie buł na normalnyj randce. Nie wim, jak jes, nie.

– Ale bardzo przyjemnie spędziłem z nią czas. Gdybym ja miał taką dziewczynę, bez względu na okoliczności, nie dałbym jej odejść.

Kitaru zastanawiał się nad tym przez chwilę. Zamierzał coś powiedzieć, ale zmienił zdanie i milczał. Potem się odezwał.

– I co żeśta szamali, co?

Powiedziałem mu o pizzy i chianti.

– Pizza i chianti? – powtórzył zdziwiony. – Nie mioł zem pojęcia, że łyna ma smaka na pizze, tej. Zawsze my chodzili na makarun zez gryczki abo do knajpy za winklem, nie. Wina nie pilim. Nie wiedziół zem nawet, że łyna dudla wino.

Sam Kitaru nie brał alkoholu do ust.

– Na pewno jest wiele rzeczy, których o niej nie wiesz – powiedziałem.

Pytał, więc opowiedziałem mu szczegółowo o randce. O filmie Woody’ego Allena (kazał nawet dokładanie opowiedzieć sobie treść), o kolacji (ile wyniósł rachunek, czy zapłaciliśmy po połowie), o tym, w co była ubrana (w bawełnianą białą sukienkę, włosy upięła do góry), jaką miała bieliznę (a skąd mam wiedzieć?) i o czym rozmawialiśmy. Oczywiście nie powiedziałem mu, że Erika spotyka się próbnie z chłopakiem starszym o rok. Nie mówiłem też o śnie z księżycem z lodu.

– Umówiliście się na następnom randke, co?

– Nie.

– Jak tej? Nie widzi ci się, co?

– Uważam, że jest śliczna. Ale nie mogę ciągnąć czegoś takiego. Przecież to twoja dziewczyna. Nawet gdybyś mi powiedział, że mogę ją pocałować, nie pocałowałbym.

Kitaru rozmyślał nad tym przez chwilę. Potem zaczął mówić:

– Wiesz co tej, od gamai żem sie taśtał regularnie do tyrapeuty, nie. Bo mi oćce i nauczyciele godoli, że mom chodzić. W budzie furt żem ciągnął sznupe. To znaczy, żem się nie zachowywał *normalnie*. Ale chociaż żem lotoł na te tyrapie, nie czuł żem wcale, żeby coś się poprawiło wte, czy wewte. Te tyrapeuty to tyż, niby aligancko – tyrapeuta – ino że to banda głupków. Aby to robić, wystarczy sie ino stalować, że sie rozumi, przytakiwać i suchać, co ludzie za kłojdry wystrzwarzajom. Jo tyż bym tak umioł, nie.

– Teraz jeszcze chodzisz na terapię?

– No, tera lotom dwa razy na miesiunc, nie. Eryka ci nie godoła, że chodze, nie? Ale to tak, jak wyćpnąć bejmy w glajde.

Pokręciłem głową. Wyrzucanie pieniędzy?

– Szczyrze mówionc, nie wim, czy wogle mom z dekle, czy ni mom. Po mojemu, to jo normalnie robie normalne rzeczy. Ino że wszyscy o mnie godojom, że jo jezdem jakiś łodmieniec albo waryjot, nie.

– Rzeczywiście niektóre rzeczy trudno zaliczyć do normalnych.

– Co na ten przykład?

– Na przykład ten twój dialekt z Kansai, jak na to, że nauczył się go samodzielnie tokijczyk, jest zbyt perfekcyjny.

Kitaru przyznał mi rację.

– Cheba tak... Cheba to nie jes ganc normalne, nie.

– To może wielu ludzi zniechęcać.

– Cheba tak.

– Normalnie ludzie aż tak daleko się nie posuwają.

– No, fakt, mosz recht.

– Ale, o ile wiem, to, co robisz, nie sprawia nikomu szczególnie żadnego konkretnego kłopotu.

– Dotędyk, ni.

– No to co to szkodzi? – powiedziałem. Byłem chyba wtedy trochę zły (choć nie wiedziałem na kogo). Sam zauważyłem, że mówię trochę bardziej szorstko. – Co w tym złego? Skoro *na razie* nie sprawiasz nikomu kłopotu, to co to szkodzi? Przecież i tak nie wiemy nic prócz „na razie”. Jeśli chcesz

mówić dialektem z Kansai, to mów sobie, ile chcesz. Mów, aż cię zatchnie. Jak nie chcesz się uczyć do egzaminów, to się nie ucz. Jak nie chcesz Erikę włożyć ręki do majtek, to nie wkładaj. To twoje życie. Więc rób, co chcesz. Nie miej skrupułów.

Kataru gapił się na mnie w niemym podziwieniu z lekko otwartymi ustami.

– Słuchaj, Tanimura, z ciebie to jest ale porządny szczeniuch. Nawet jak czasami jeźdź za normalny.

– Nie ma rady – powiedziałem. – Nie da się zmienić sobie charakteru.

– Recht. Nie da się zmienić siebie charakteru. Mnie też właśnie ło to idzie, nie.

– Ale Erika Kuritani to świetna dziewczyna. Poważnie o tobie myśli. Bez względu na wszystko nie pozwól jej odejść. Nie znajdziesz drugiej takiej wspaniałej dziewczyny.

– No, wim, toć przecie wim. Ale z tego samego wiedzenia jeszcze nic nie wynika.

– Nie wymagaj od siebie za dużo.

Dwa tygodnie później Kitaru zrezygnował z pracy w kawiarni. A raczej pewnego dnia po prostu się nie pojawił. Nie dał znać, że go nie będzie. Ponieważ był to okres, kiedy w kawiarni panował bardzo duży ruch, właściciel się strasznie wściekł: „On jest kompletnie nieodpowiedzialny”. Kitaru należała się wypłata za tydzień, ale nawet po nią nie przyszedł. Kiedy właściciel zapytał, czy wiem, jak się z nim skontaktować, powiedziałem, że nie wiem. Naprawdę nie znałem jego adresu ani numeru telefonu. Wiedziałem tylko, gdzie się znajduje jego dom w Den'en Chōfu, i miałem telefon do Eriki Kuritani.

Nie powiedział mi ani słowa o tym, że zamierza rzucić pracę, a potem też się ze mną nie skontaktował. Po prostu zniknął. To mnie dość mocno zabolowało. Myślałem, że byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Trudno mi było się pogodzić, że tak po prostu zerwał ze mną kontakt. Nie miałem bowiem w Tokio innych przyjaciół.

Spokoju nie dawało mi tylko to, że przez ostatnie dwa dni w pracy Kitaru był dziwnie milczący. Kiedy go zagadywałem, odpowiadał półsłówkami. A potem zniknął. Mogłem zadzwonić do Eriki i zapytać, co się z nim dzieje, ale jakoś nie miałem ochoty. Niech ci dwoje sobie sami jakoś radzą, myślałem. Dalsze wplątywanie się w ich skomplikowany, dziwaczny związek nie byłoby zdrowe. Musiałem jakoś przetrwać w swoim niewielkim świecie, do którego należałem.

Po tych wszystkich wydarzeniach z jakiejś przyczyny zacząłem często myśleć o dziewczynie, z którą się rozstałem. Może coś poczułem, patrząc na Kitaru i Erikę Kuritani. Pewnego dnia napisałem do tej dziewczyny długi list, przeprasząc za to, jak postąpiłem. Mogłem być dla niej miłszy. Ale nie dostałem odpowiedzi.

*

Od razu rozpoznałem Erikę Kuritani. Widziałem się z nią wcześniej tylko dwa razy i od tego czasu minęło już szesnaście lat, ale natychmiast wiedziałem, że to ona. Jej twarz była jak dawniej piękna i pełna życia. Miała na sobie czarną koronkową sukienkę i czarne buty na obcasach, jej szczupłą szyję zdobiły dwa sznury pereł. Ona też od razu mnie sobie przypomniała. Było to podczas przyjęcia z degustacją wina w hotelu w Akasace. Ponieważ na zaproszeniach napisano *black tie*, więc ja też miałem na sobie ciemny garnitur i krawat. Gdybym zaczął wyjaśniać, jak się tutaj znalazłem, zrobiłaby się z tego długa historia. Erika była odpowiedzialna za to przyjęcie, bo pracowała w firmie reklamowej, która je zorganizowała. Wykonywała swoją pracę niezwykle kompetentnie.

– Słuchaj, Tanimura, dlaczego po naszej randce do mnie nie zadzwoniłeś? Chciałam z tobą spokojnie pogadać.

– Bo byłeś dla mnie trochę za ładna – odparłem.

Roześmiała się.

– Przyjemnie usłyszeć coś takiego, nawet jeśli mówisz to tylko z grzeczności.

– Nigdy w życiu nie powiedziałem nic z grzeczności – odrzekłem.

Ona naprawdę była za ładna jak na to, żebym się nią poważnie zainteresował. I wtedy, i teraz. A poza tym jej uśmiech był zbyt uroczy na to, żeby był prawdziwy.

– Po pewnym czasie zadzwoniłam do kawiarni, w której pracowałeś, ale powiedzieli mi, że już cię tam nie ma.

Od zniknięcia Kitaru praca zaczęła mi się wydawać strasznie nudna i po dwóch tygodniach zrezygnowałem.

Opowiedzieliśmy sobie nawzajem, co się z nami działo podczas tych szesnastu lat. Po studiach zacząłem pracę w małym wydawnictwie, ale po trzech latach odszedłem i od tego czasu zajmuję się pisaniem. Ożeniłem się, mając dwadzieścia siedem lat. Na razie nie mam dzieci. Ona nie wyszła jeszcze za mąż.

– Jestem strasznie zajęta w pracy, okropnie we mnie orzą, nie mam czasu na takie rzeczy jak małżeństwo.

Przypuszczałem, że od tego czasu wiele razy była zakochana. Było coś takiego w aurze, którą emanowała. Ona pierwsza wspomniała o Kitaru.

– Aki pracuje teraz w Denver w restauracji podającej sushi.

– W Denver?

– Denver, w Kolorado. Przynajmniej tak napisał na pocztówce dwa miesiące temu.

– Dlaczego w Denver?

– Nie wiem. Poprzednia pocztówka przyszła z Seattle. Tam też robił sushi. To było jakiś rok temu. Chyba czasami sobie o mnie przypomina i wysyła kartkę. Zawsze to są jakieś idiotyczne kartki i bardzo mało na nich pisze. Niekiedy nawet zapomina podać swój adres.

– Pracuje w restauracji podającej sushi – powtórzyłem. – To w końcu nie poszedł na studia?

Przytaknęła.

– Chyba gdzieś pod koniec tamtego lata nagle oznajmił, że nie będzie zdawał na studia. Że to czysta strata czasu. I poszedł do szkoły gastronomicznej w Osace. Mówił, że chce się porządnie nauczyć gotowania w stylu Kansai, a poza tym będzie mógł chodzić na mecze swojej ukochanej drużyny. Oczywiście zapytałam go wtedy: „Jak możesz sam podejmować taką ważną decyzję? Pojedziesz sobie do Osaki, a co będzie ze mną?”.

– A on co na to?

Milczała. Zacisnęła tylko usta. Zdawało się, że chce coś powiedzieć, ale boi się, że jeśli powie, to się rozplacze. Pod żadnym pozorem nie mogła zniszczyć starannego makijażu. Szybko zmieniłem temat.

– Kiedy się ostatnio spotkaliśmy, piliśmy tanie chianti we włoskiej knajpie w Shibuyi. Dziś degustujemy wina z Doliny Napa. Jak się zastanowić, to dziwne zrzędzenie losu.

– Jeszcze pamiętasz! – powiedziała i jakoś wzięła się w garść. – Wtedy poszliśmy na film Woody’ego Allena. Jaki miał tytuł?

Przypomniałem jej.

– To był bardzo ciekawy film.

Zgodziłem się. Jeden z najlepszych filmów Woody’ego Allena.

– A czy dobrze ci się ułożyło z tym starszym chłopakiem z klubu tenisowego? – zapytałem.

Potrząsnęła głową.

– Niestety, niezbyt dobrze się ułożyło. Jak by to wytłumaczyć? Jakoś nie do końca do siebie pasowaliśmy. Po pół roku się rozstaliśmy.

– Mogę cię o coś zapytać? To dość osobista rzecz.

– Proszę bardzo. Jeżeli tylko będę umiała odpowiedzieć.

– Mam nadzieję, że się nie pogniewasz o to pytanie.

– Postaram się.

– Sypiałaś z nim, prawda?

Spojrzała na mnie zdziwiona. Policzki jej lekko poczerwieniały.

– Słuchaj, Tanimura, dlaczego pytasz o coś takiego?

– Hm... sam nie wiem – powiedziałem. – Od dawna nie dawało mi to spokoju. Przepraszam cię za to dziwne pytanie. Nie gniewaj się.

Erika lekko potrząsnęła głową.

– Nie szkodzi. Wcale się nie gniewam. Tylko nie spodziewałam się takiego pytania i trochę się zdziwiłam. To dawne czasy.

Powoli rozejrzałem się dookoła. Ludzie ubrani w formalne stroje stali wokół i degustowali wina. Raz po raz rozlegał się odgłos korków wyciąganych z butelek wysokiej klasy win. Młoda pianistka grała *Like Someone in Love*.

– Odpowiedź brzmi: tak. Kilka razy uprawiałam z nim seks.

– Ciekawość, dociekliwość i możliwość – powiedziałem.

Uśmiechnęła się leciutko.

– Tak, ciekawość, dociekliwość i możliwość.

– I tak tworzymy w sobie słoje.

– Skoro tak mówisz.

– A czy przypadkiem poszłaś z nim pierwszy raz do łóżka niedługo po naszej randce w Shibuyi?

Odwracała w myślach kartki pamięci.

– Tak, myślę, że jakiś tydzień później. Stosunkowo dobrze pamiętam tamten okres. A poza tym dla mnie to było *pierwsze* takie doświadczenie.

– A Kitaru miał dobre wyczucie – powiedziałem, patrząc jej w oczy.

Odwróciła wzrok i przez chwilę przesuwała między palcami kolejne perły naszyjnika. Jakby sprawdzała, czy jeszcze tam są. A potem lekko westchnęła. Zdawało się, że nagle coś zrozumiała.

– Tak, rzeczywiście, było tak, jak mówisz. Aki miał niezwykle wyczucie.

– Ale w sumie ci się z tym chłopakiem nie ułożyło.

Skinęła głową.

– Ja niestety jestem niezbyt mądra. Dlatego musiałam chodzić okrężną drogą. Może zawsze, w nieskończoność będę chodzić okrężnymi drogami.

Wszyscy bez końca chodzimy okrężnymi drogami, miałem ochotę powiedzieć, ale milczałem.

Nadmierne posługiwanie się wytartymi frazesami to też jeden z problemów, z którymi się borykam.

– A Kitaru się ożenił?

– O ile wiem, jest jeszcze kawalerem – powiedziała Erika. – A przynajmniej nie dostałam zawiadomienia, że się ożenił. Może my oboje nie nadajemy się do małżeństwa.

– Albo po prostu idziecie okrężnymi drogami.

– Może.

– Nie ma szans, że gdzieś się spotkacie i znów będziecie razem?

Uśmiechnęła się, zwiesiła głowę i pokręciła nią. Nie bardzo wiedziałem, co to miało znaczyć. Może, że nie ma takiej możliwości. Albo że nie ma sensu się zastanawiać nad takimi rzeczami.

– Dalej ci się śni księżyc z lodu? – zapytałem.

Podniosła głowę bardzo zaskoczona i spojrzała na mnie. Wkrótce na jej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Bardzo spokojnie i nieśpiesznie. Był to szczery, serdeczny uśmiech.

– Pamiętałeś o tym śnie!

– Sam nie wiem czemu, ale dobrze go zapamiętałem.

– Mimo że to nie był twój sen?

– Myślę, że sny można sobie w miarę potrzeby pożyczać – odrzekłem. Naprawdę chyba nadużywam wytartych frazesów.

– Co za wspaniała myśl – powiedziała Erika. Z jej twarzy jeszcze nie zniknął uśmiech.

Ktoś ją zawołał. Chyba musiała zaraz wracać do pracy.

– Już nie miewam takich snów – dodała na koniec. – Ale ciągle bardzo wyraźnie pamiętam tamten. Nie mogę zapomnieć scen, które się w nim pojawiały, tego, jak się wtedy czułam. Pewnie nigdy nie zapomnę.

Potem spojrzała gdzieś w dal nad moim ramieniem. Zupełnie jakby szukała na nocnym niebie lodowego księżyca. Następnie odwróciła się lekko i odeszła gdzieś szybkim krokiem. Pewnie poszła poprawić w łazience makijaż.

Kiedy na przykład jadę samochodem i w radio puszczają *Yesterday* Beatlesów, przypominam sobie nagle Kitaru, jak śpiewał w wannie swój zwariowany tekst, i myślę z żalem, że powinienem był wtedy te słowa dokładnie zapisać. Były tak przedziwne, że przez pewien czas dobrze je pamiętałem, potem się trochę zamgliły, aż zupełnie je zapomniałem. Pamiętam tylko urywki i nie jestem teraz nawet pewien, czy to, co pamiętam, jest rzeczywiście tekstem, który śpiewał Kitaru. Ciągłe tworzymy wspomnienia na nowo.

Kiedy miałem mniej więcej dwadzieścia lat, kilka razy próbowałem bezskutecznie pisać dziennik. Wtedy zdarzały się wokół mnie różne rzeczy i ledwo dawałem radę za nimi nadążyć. Nie miałem już

czasu ani sił, żeby je spokojnie zapisywać w notesie. Poza tym czułem, że większość nie jest warta zapisywania. Wciąż szedłem pod wiatr, z trudem łapałem oddech, ale parłem przed siebie, starając się nie zamykać oczu.

Ale Kitaru pamiętam zadziwiająco wyraźnie. Przyjaźniliśmy się tylko przez kilka miesięcy, lecz za każdym razem, gdy słyszę *Yesterday*, same wracają wspomnienia związane z Kitaru. Przypominam sobie sceny i długie rozmowy w łazience w jego domu w Den'en Chōfu o problemach związanych z kolejnością ustawienia pitcherów w drużynie Tigersów, o różnych kłopotliwych sprawach związanych z seksem, o głupocie egzaminów wstępnych, o strukturze szkoły podstawowej w Den'en Chōfu, o różnicy ideologicznej między potrawami *oden* i *Kantōdaki*[6], o emocjonalnym bogactwie słownictwa dialektu z Kansai. Wraca też wspomnienie mojej jedynej randki z Eriką Kuritani, do której przymusił mnie Kitaru. O tym, jak mi się zwierzała, siedząc naprzeciwko w świetle świec we włoskiej knajpie. W takich chwilach wydaje mi się, że to wszystko zdarzyło się dosłownie wczoraj. Muzyka potrafi przywołać żywe wspomnienia, czasami tak wyraźnie, że aż serce boli.

Ale kiedy myślę o okresie, gdy miałem dwadzieścia lat, pamiętam tylko, jak bardzo byłem samotny i sam. Nie miałem dziewczyny, żeby ogrzała moje ciało i serce, nie miałem też przyjaciela, z którym mógłbym szczerze porozmawiać. Codziennie nie wiedziałem, co począć, nie miałem żadnej wizji przyszłości. Przez większość czasu byłem głęboko zamknięty w sobie. Zdarzało się, że przez tydzień z nikim nie rozmawiałem. Wiodłem takie życie przez jakiś rok. To był długi rok. Nie jestem pewien, czy ten okres był srogą zimą, która pozostawiła we mnie cenne słoje.

Mam wrażenie, że ja wtedy też co wieczór patrzyłem przez mały luk na księżyc z lodu. Zamarznęty na kamień, przezroczysty, grubości dwudziestu centymetrów. Lecz obok mnie nie było nikogo. Nie mogąc dzielić piękna i chłodu tego księżyca, patrzyłem na niego zupełnie sam.

Wczoorej

To ino juczyjsze przedwczoreej

Przedwczorejsze jiiitro, nieeee

Mam nadzieję, że Kitaru żyje szczęśliwie w Denver (albo w jakimś innym dalekim mieście). A jeśli nie jest szczęśliwy, to że przynajmniej jest zdrow i niczego mu nie brakuje. Bo nikt nie wie, jaki sen nam się jutro przyśni.

Niektórzy ludzie mają bardzo mało wewnętrznych zmagają i trosk, za to wiedzą zadziwiająco pokrętne życie. Nie ma ich zbyt wielu, ale czasem spotyka się kogoś takiego. Doktor Tokai był właśnie takim człowiekiem.

Ludzie ci, aby dopasować tę swoją – nazwijmy ją – prostotę do otaczającego ich pogmatwanego świata, muszą się w mniejszym lub większym stopniu dostosować, ale zazwyczaj sami nie zauważają, jak bardzo pokrętnych sposobów zmuszeni są na co dzień używać. Głęboko wierzą, że są naturalni, bezpośredni i otwarci, niczego nie ukrywają, nie stosują żadnych trików. Ale jeśli przy jakiejś okazji nagle zobaczą siebie i swoje poczynania w innym świetle, wtedy dostrzegą tę sztuczność czy *nienaturalność* i sytuacja może mieć bardzo smutne albo bardzo komiczne zakończenie. Oczywiście jest wśród nich wielu szczęśliwców (bo tak należy ich nazwać), którzy nigdy w życiu nie ujrzą tego światła albo nawet jeśli je zobaczą, niczego specjalnego nie poczują.

Chciałbym tu opisać to, czego dowiedziałem się o człowieku nazwiskiem Tokai. Znaczną część usłyszałem bezpośrednio od niego, ale dodam też informacje uzyskane od jego bliskich – czyli ludzi godnych zaufania. Będzie tu również nieco moich obserwacji dotyczących jego codziennego zachowania i moich domysłów w rodzaju: „Na pewno musiało tak być”. Użyję ich jak czegoś w rodzaju miękkiego gipsu, którym wypełnia się szpary między faktami. Krótko mówiąc, chodzi mi o to, że ten portret nie będzie oparty wyłącznie na czysto obiektywnych faktach. Dlatego jako autor nie mogę zachęcić czytelników, by wykorzystali to, co tu opisuję, jako dowody w sądzie czy materiały pomocnicze przy transakcjach handlowych (choć nie wiem, co to mogłyby być za transakcje handlowe).

Chciałbym, żeby państwo cofnęli się o parę kroków (upewniwszy się, że z tyłu nie ma urwiska) i spojrzeli na ten portret z odpowiedniej odległości. Wtedy na pewno państwo zrozumieją, że drobne różnice w szczegółach nie mają większego znaczenia. Postać doktora Tokai powinna być dobrze widoczna – trójwymiarowa i wyraźna – a przynajmniej autor ma taką nadzieję, bo – jak by to powiedzieć? – doktor był człowiekiem, który nie budził zbyt wielu wątpliwości.

Nie twierdzę, że był nieskomplikowany. Przynajmniej w pewnej swej części był skomplikowany, złożony, niełatwy do uchwycenia. Oczywiście nie mam pojęcia, jaką ciemność nosił w podświadomości, jaki grzech pierwotny dźwigał na swoich barkach. A jednak w kontekście tego, że styl jego zachowania był *jednorodny*, można chyba powiedzieć, że odmalowanie całej jego postaci wydawało się stosunkowo łatwe. Może to arogancja z mojej strony, arogancja zawodowego literata, ale kiedy go znałem, odnosiłem takie wrażenie.

Doktor Tokai miał pięćdziesiąt dwa lata, ale nigdy nie był żonaty. Nigdy nawet nie mieszkał z żadną kobietą. Sam zajmował trzypokojowe mieszkanie na piątym piętrze w eleganckim bloku w Azabu. Można powiedzieć, że był zaprzysięgłym starym kawalerem. Potrafił świetnie wykonywać większość prac domowych: umiał gotować, prać, prasować i sprzątać. Dwa razy w miesiącu zamawiał zawodową sprzątaczkę. Z natury lubił czystość i bez niechęci zajmował się domem. Jeśli była potrzeba, potrafił też przygotowywać smaczne drinki oraz ugotować cały zestaw potraw, od prostej wołowiny z ziemniakami do sandacza pieczonego w papierze (jak większość kucharzy tego typu, nie zniechęcał się wysoką ceną i kupował składniki dobrej jakości, więc zwykle wychodziły mu bardzo smaczne potrawy). Prawie nigdy nie odczuwał dyskomfortu z powodu braku żony, nie nudził się sam ze sobą ani nie czuł się samotny, śpiąc w pojedynkę. A przynajmniej *do pewnego momentu*.

Z zawodu był chirurgiem plastycznym. Prowadził w Roppongi gabinet o nazwie „Tokai – Klinika piękności”. Przejął go po ojcu, też chirurgu plastycznym. Miał oczywiście wiele okazji do poznawania

kobiet. Nie był pięknym mężczyzną, ale rysy miał dość regularne (nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby poddać się operacji plastycznej). Jego klinika prosperowała bardzo dobrze i przynosiła wysokie dochody. Był dobrze wychowany, miał wyrafinowane maniery, był świetnie wykształcony i nigdy nie brakowało mu tematów do rozmowy. Miał ciągle jeszcze gęstą czuprynę (choć widać już było w niej siwiznę), i tu, i tam trochę przytył, ale gorliwie chodził do klubu fitness i jakoś utrzymywał młodzieńczą sylwetkę. Nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem sobie kobiety, choć mówienie o tym wprost może się spotkać z krytyką wielu osób.

Z jakiegoś powodu nigdy nie pragnął się ożenić ani założyć rodziny. Był dziwnie pewny, że życie małżeńskie do niego nie pasuje. Dlatego od początku starał się unikać kobiet, które wiązały się z mężczyznami, myśląc o rychłym ślubie, nawet jeśli były bardzo atrakcyjne. W rezultacie jego partnerki w większości ograniczały się do mężatek i kobiet, które miały innych „oficjalnych” facetów. Dopóki trzymał się tej zasady, nie dochodziło do sytuacji, że któraś z nich miała nadzieję za niego wyjść. Mówiąc bardziej zrozumiale, doktor Tokai był dla nich zawsze „mężczyzną numer 2” traktowanym na luzie, wygodnym „chłopakiem na deszczowe dni” albo przydatnym „partnerem romansu”. Prawdę mówiąc, takie związki najbardziej mu odpowiadały i najlepiej się w nich czuł. Inne, jak na przykład związek partnerski, w którym zakładano jakiś podział odpowiedzialności, zawsze wzbudzały w nim niepokój.

Specjalnie nie martwił go fakt, że te kobiety sypiały także z innymi mężczyznami. Ciało to przecież w sumie tylko ciało. Doktor Tokai tak uważał (głównie z medycznego punktu widzenia), one w większości też tak uważały (głównie z kobiecego punktu widzenia). Wystarczało mu, jeżeli myślały tylko o nim wtedy, kiedy się z nim spotykały. To, o czym myślały i co robiły poza tym, było wyłącznie ich prywatną sprawą i doktor Tokai nie miał co się nad tym zastanawiać. A tym bardziej nie powinien się do tego wtrącać.

Dla niego radością było już samo wspólne jedzenie posiłku, picie wina i prowadzenie przyjemnej rozmowy. Seks był tylko „jeszcze jedną przyjemnością” stanowiącą przedłużenie wieczoru, ale nie był ostatecznym celem. Przede wszystkim zależało mu na bliskim, intelektualnym kontakcie z atrakcyjnymi kobietami, a nie tylko na seksie. Dzięki temu kobiety naturalnie łączyły się z doktorem Tokai, bez zahamowań cieszyły się spędzaniem z nim czasem i w rezultacie chętnie mu się oddawały. Ja osobiście uważam, że wiele kobiet (szczególnie atrakcyjnych kobiet) ma serdecznie dość mężczyzn, którzy natarczywie domagają się seksu.

Czasami żałował, że nie liczył kobiet, z którymi w ciągu prawie trzydziestu lat był w ten sposób związany. Ale doktora Tokai nigdy nie interesowała ilość. Zależało mu przede wszystkim na jakości. A poza tym nie przywiązywał wielkiej wagi do wyglądu partnerki. Wystarczało mu, jeżeli nie miała dużych mankamentów, które wzbudziłyby jego zainteresowanie zawodowe, albo nie była tak nudna, że z trudem powstrzymywałby ziewanie. Co do urody – jeśli miało się chęć i odpowiednie fundusze, prawie każdy wygląd można było dowolnie zmienić. (Jako specjalista w tej dziedzinie widział bardzo liczne przypadki zdumiewających zmian). Znacznie wyżej oceniał kobiety bystre, obdarzone poczuciem humoru i mające wybitny intelekt. Gdy kobieta nie miała nic ciekawego do powiedzenia ani własnego zdania, doktor Tokai tracił zainteresowanie, nawet jeśli była atrakcyjna fizycznie. W końcu żadna operacja nie poprawi zdolności intelektualnych. Przyjemne rozmowy z bystrą, dowcipną kobietą w restauracji albo wesołe pogawędki w łóżku podczas pieszczot – kochał takie chwile i uważał je za wielki skarb.

Starał się nigdy nie prowokować żadnych poważnych problemów w swoich związkach. Nie lubił niejasnych konfliktów emocjonalnych. Kiedy z jakiegoś powodu na horyzoncie pojawiały się ciemne i złowieszcze chmury, wycofywał się zręcznie i sprytnie, starając się w ogóle nie zadrażniać sytuacji i w miarę możliwości nie ranić partnerki. Znikał błyskawicznie i naturalnie, zupełnie jak cień

rozpływający się w nadchodzącym zmierzchu. Jako zaprawiony w bojach kawaler był w tej sztuce ekspertem.

Dość regularnie dochodziło do rozstań. Wiele razy zdarzyło się, że niezamężna kobieta, która spotykała się także z innymi mężczyznami, pewnego dnia zawiadamiła go: „Bardzo mi przykro, ale nie będę mogła się więcej z tobą widywać. Niedługo wychodzę za mąż”. Te kobiety często decydowały się na małżeństwo tuż przed trzydziestką albo tuż przed czterdziestką i znikaly z jego życia. Tak samo jak kalendarze na następny rok znikają z półek sklepowych pod koniec grudnia. Doktor Tokai zawsze przyjmował tego typu wiadomości spokojnie i z uśmiechem zaprawionym odpowiednią dozą smutku. Żałował, ale nie było na to rady. Chociaż on sam zupełnie nie nadawał się do instytucji małżeństwa, miała ona jednak w sobie coś świętego. Musiał to uszanować.

Kupował wtedy kobiecie jakiś drogi prezent i składał życzenia: „Wszystkiego najlepszego. Chcę, żebyś była naprawdę szczęśliwa. Jesteś mądra, czarująca i piękna, więc na to zasługujesz”. Mówił szczerze to, co czuł.

Te kobiety (prawdopodobnie) z czystej sympatii darowały mu wspaniałe chwile, cenną część swojego życia. Był im za to serdecznie wdzięczny. Czego więcej mógł od nich oczekiwać?

Jednak prawie co trzecia z tych, które pomyślnie zawarły taki święty związek małżeński, po kilku latach dzwoniła do niego i wesoło proponowała: „Może jak dawniej się gdzieś razem wybierzemy?”. I znowu zaczynał się przyjemny, choć niedający się określić jako „święty” związek. Tylko zmieniał się z beztróskiego związku ludzi wolnych na nieco bardziej zawilą (ale także przepełnioną radością) relację kawalera z mężatką. W rzeczywistości robili zasadniczo to samo, choć było w tym nieco więcej przewrotności. Pozostałe dwie trzecie spośród kobiet, które wyszły za mąż, więcej się z nim nie kontaktowały. Pewnie prowadziły spokojne i zadowalające życie małżeńskie. Może zostawały znakomitymi gospodyniami, rodziły po kilkoro dzieci. Może śliczne piersi, które kiedyś pieścił, karmiły teraz niemowlęta. Doktor Tokai się z tego cieszył.

Większość jego przyjaciół była w związkach małżeńskich. Mieli też dzieci. Tokai wiele razy ich odwiedzał, ale nigdy nie czuł zazdrości. Małe dzieci miały pewien urok, ale kiedy szły do gimnazjum i liceum, wszystkie bez wyjątku zaczynały nienawidzić dorosłych i nimi pogardzać, stwarzały duże problemy, jakby się chciały zemścić, i bezlitośnie szargały nerwy oraz niszczyły system trawienny rodziców. Rodzice zaś myśleli tylko o tym, żeby posłać dzieci do najlepszych szkół, więc ciągle się irytowali, że mają złe stopnie, a ojciec z matką bez przerwy się kłócili o to, kto ponosi za to odpowiedzialność. Dzieci w domu prawie się nie odzywały, zamykały się w swoich pokojach i bez końca siedziały na czacie z kolegami z klasy albo były bez reszty pochłonięte jakimiś podejrzanymi gramami pornograficznymi. Tokai jakoś nie był przekonany, że sam chciałby mieć takie dzieci. Wszyscy znajomi zgodnie twierdzili, że „mimo wszystko dzieci to dobra rzecz”, ale on nie ufał takim stwierdzeniom, bo były w stylu sloganów reklamowych. Pewnie chcieli i jego obarczyć ciężarem, który sami dźwigali. Ludzie na całym świecie zawsze uważają, że wszyscy inni powinni się znaleźć w równie ciężkiej sytuacji jak oni sami.

Ja sam ożeniłem się młodo i od tego czasu bez przerwy jestem żonaty, ale ponieważ tak się złożyło, że nie mam dzieci, w pewnym stopniu rozumiem jego punkt widzenia (nawet jeśli dostrzegam w nim uprzedzenia wywołane zbyt dużymi uproszczeniami i retoryczną przesadę). Myślę wręcz, że może w większości wypadków jest tak, jak mówił, ale oczywiście nie wszystkie sytuacje są równie beznadziejne. Na tym wielkim świecie są piękne i szczęśliwe rodziny (zdarzają się równie często jak

strzelenie trzech goli przez tego samego piłkarza w tym samym meczu), w których dzieci cały czas mają dobre stosunki z rodzicami. Ale wcale nie mam pewności, czy sam znalazłbym się w tej niewielkiej grupie szczęśliwych rodziców i (w ogóle) nie uważam, że Tokai mógłby zostać takim ojcem.

Gdybym miał go krótko podsumować, nie obawiając się pomyłki, powiedziałbym, że był bardzo „towarzyski”. Nie miał w sobie – przynajmniej na podstawie powierzchownej obserwacji – żadnej nieustępliwości, żadnego uporu, kompleksu niższości, przesadnych uprzedzeń ani przesadnej dumy, nie miał obsesji na żadnym punkcie; nie był zawistny ani przewrażliwiony, nie był zatwardziały w swoich przekonaniach politycznych, nie miał też innych tego typu cech, które potrafią zachwiać równowagę osobowości. Otoczenie kochało jego prostolinijny, otwarty charakter, dobre wychowanie i maniere oraz wesołość i pozytywne podejście do życia. Te piękne cechy stawały się szczególnie skoncentrowane i efektywne w stosunkach z kobietami, stanowiącymi przecież prawie połowę ludzkości. Przyjazna życzliwość, którą im okazywał, i dbałość o nie, były konieczne w przypadku człowieka wykonującego jego zawód, ale dla doktora Tokai nie stanowiły technik przyswojonych z jakiejś potrzeby, a były wrodzonymi, naturalnymi cechami jego charakteru. Tak samo jak piękny głos i długie palce. Dzięki temu (i oczywiście dzięki jego umiejętnościom zawodowym) jego gabinet doskonale prosperował. Doktor miał zawsze wypełniony grafik i nie musiał się ogłaszać w czasopiśmie i gazetach.

Jak zapewne większość czytelników wie, na ogół tacy „towarzyscy” ludzie nie mają w sobie głębi, są banalni i nudni. Ale w przypadku doktora Tokai tak nie było. Z przyjemnością w weekendy spędzałem z nim godzinę przy piwie. Umiał ciekawie prowadzić rozmowę i nigdy nie brakowało nam tematów. Miał bezpośrednie i realistyczne poczucie humoru, bez jakichś dziwnych podtekstów. Opowiadał mi różne ciekawe historie „od kuchni” chirurgii plastycznej (oczywiście pod warunkiem, że mógł zachować tajemnicę lekarską) i dzielił się licznymi interesującymi informacjami na temat kobiet. Lecz te opowieści nigdy nie były w złym guście. Zawsze mówił o kobietach z szacunkiem i sentymentem. A tożsamość osób, o których wspominał, starannie ukrywał.

– Dżentelmen nie mówi o tym, ile płaci podatku i z którymi kobietami sypia – oznajmił mi pewnego razu.

– Z kogo to cytat? – zapytałem.

– Sam to wymyśliłem – powiedział z kamienną twarzą. – Oczywiście o podatkach czasem muszę rozmawiać z księgowym.

Dla doktora Tokai zupełnie naturalne było chodzenie z dwiema lub trzema „dziewczynami” naraz. Miały mężów lub innych kochanków, więc ci mieli do nich pierwszeństwo, a dla niego oczywiście zostawało mniej czasu. Dlatego chodzenie z kilkoma naraz było w jego pojęciu zupełnie zwyczajne i nie wydawało mu się szczególnie nieuczciwe. Choć oczywiście nie chwalił się tym przed kobietami. Starał się w miarę możliwości nie kłamać, ale zasadniczo jego podejście było takie, że lepiej nie wyjawiać informacji, które nie muszą być wyjawione.

W gabinecie od lat zatrudniał świetnego sekretarza, który jak doświadczony kontroler lotów doskonale ustawiał mu skomplikowany harmonogram zajęć. Nie wiadomo kiedy do jego obowiązków, które wcześniej ograniczały się do planowania pracy gabinetu, doszło umawianie prywatnych spotkań z kobietami po godzinach. Sekretarz znał wszystkie szczegóły barwnego życia prywatnego doktora Tokai, ale nigdy się niepotrzebnie nie wtrącał, nie komentował ze zniecierpliwieniem tego, jaki Tokai jest zajęty, tylko zawsze profesjonalnie wykonywał swoją pracę. Zręcznie regulował ruchem, tak że spotkania z kobietami nie nakładały się na siebie. Pamiętał ponoć nawet, kiedy przypadają miesiączki kobiet,

z którym Tokai aktualnie się spotykał (choć w to akurat trudno uwierzyć). Kiedy Tokai jechał z którąś na wycieczkę, sekretarz kupował bilety kolejowe, rezerwował hotele lub pensjonaty. Bez tego niezwykle kompetentnego człowieka fantastyczne życie osobiste doktora Tokai nie układałoby się pewnie tak fantastycznie. W podziękę przy każdej okazji dawał swojemu przystojnemu sekretarzowi (oczywiście gejowi) prezenty.

Na szczęście jeszcze nigdy nie doszło do tego, żeby o związkach doktora Tokai dowiedzieli się mężowie czy kochankowie kobiet, bo wtedy mogłyby powstać poważne problemy, a Tokai znalazłby się w trudnym położeniu. Sam był z natury ostrożny, kobiety też prosił, żeby bardzo uważały.

Tak można by było podsumować w trzech punktach jego rady: nie śpieszyć się niepotrzebnie, nie powtarzać tych samych zachowań, a kiedy trzeba kłamać, wybierać jak najprostsze kłamstwo (rzecz jasna dawanie rad kobiecie nie miało sensu – przypominało próby dawania mewom korepetycji z latania, no, ale wolał być ostrożny).

Oczywiście to nie znaczy, że nigdy nie zdarzały się kłopoty. Jeśli przez tyle lat utrzymuje się pokrętne związki z tyloma kobietami, niemożliwe, żeby nigdy nie pojawiły się problemy. Nawet małpie zdarzy się czasem, że niedostatecznie mocno chwyci gałąź i spadnie. Jedna z kobiet wykazała się nieostrożnością, jej chłopak zadzwonił do gabinetu i wyraził zastrzeżenia co do trybu życia doktora i jego moralności (ale znakomity sekretarz znowu jakoś bardzo zręcznie załatwił sprawę). Była też pewna mężatka, która zbyt mocno zaangażowała się w związek z doktorem. Miała mętlik w głowie i pewne trudności z trzeźwą oceną sytuacji. Tak się złożyło, że jej mąż był znanym zawodnikiem sztuk walki. Ale tę sprawę też udało się jakoś załagodzić. Nie doszło do żadnej niefortunnej sytuacji, w rezultacie której lekarz mógłby na przykład mieć złamany bark.

– Po prostu miał pan szczęście – powiedziałem.

– Pewnie tak – roześmiał się. – Pewnie jestem *szczęściarzem*. Szczęście to jednak nie wszystko. Nie uważam, że jestem bardzo błyskotliwy, ale w takich sytuacjach potrafię być dość taktowny.

– Taktowny – powtórzyłem.

– Jak by to ująć? Kiedy się robi niebezpiecznie, główka zaczyna pracować... – powiedział Tokai z wahaniem.

Chyba nie przychodził mu do głowy żaden konkretny przykład. Albo miał skrupuły i nie chciał o tym mówić.

– Skoro mowa o takcie... – zauważyłem – w jednym ze starych filmów François Truffauta jest taka scena. Kobieta mówi do mężczyzny: „Są na świecie ludzie dobrze wychowani i ludzie taktowni. Oczywiście i jedno, i drugie jest ważne, ale często takt góruje nad dobrym wychowaniem”. Widział pan ten film?

– Myślę, że nie.

– Ona to wyjaśnia na konkretnym przykładzie. Pewien mężczyzna otwiera drzwi, a za nimi przebiera się naga kobieta. Człowiek dobrze wychowany natychmiast zamyka drzwi i mówi: „Przepraszam panią”. Człowiek taktowny także natychmiast zamyka drzwi, ale mówi: „Przepraszam pana”.

– Aha – powiedział doktor Tokai z podziwem. – To bardzo ciekawa definicja. Dobrze rozumiem, co chciała przez to powiedzieć. Sam kilka razy znalazłem się w takim położeniu.

– I udało się panu za każdym razem wykazać taktem i wybrnąć zręcznie z sytuacji?

Tokai zmarszczył brwi.

– Nie chcę siebie przeceniać. Może miałem szczęście. Jestem po prostu dobrze wychowanym człowiekiem, który ma szczęście. Chyba bezpieczniej jest tak myśleć.

W każdym razie prowadził to życie *szczęściarza* od mniej więcej trzydziestu lat. To kawał czasu. I oto pewnego dnia niespodziewanie głęboko się zakochał. Zupełnie jakby chytry lis wpadł w pułapkę.

Kobieta, w której się zakochał, była od niego szesnaście lat młodsza i zamężna. Jej mąż, o dwa lata starszy, pracował w zagranicznej firmie IT. Miała jedno dziecko – pięcioletnią córeczkę. Tokai spotykał się z nią od półtora roku.

– Czy pan obiecał sobie kiedyś, panie Tanimura, że nikogo nie pokocha zbyt mocno, i starał się pan tego dotrzymać? – zapytał mnie kiedyś. Było to zdaje się na początku lata. Znałem go wtedy od ponad roku.

Odpowiedziałem, że nigdy mi się to nie zdarzyło.

– Mnie też się wcześniej nie zdarzyło, ale teraz właśnie przez coś takiego przechodzę – powiedział Tokai.

– Stara się pan kogoś za bardzo nie pokochać?

– Właśnie. Akurat w tej chwili się staram.

– Dlaczego?

– Z bardzo prostej przyczyny. Bo jeśli się kogoś za bardzo pokocha, człowiek staje się nieszczęśliwy. Strasznie cierpi. Moje serce może tego nie znieść, więc jak mogę, staram się jej nie pokochać.

Zdawało się, że mówi poważnie. Na jego twarzy nie było zwykłego żartobliwego wyrazu.

– Jak konkretnie się pan stara? – zapytałem. – O to, żeby jej za bardzo nie pokochać.

– Na różne sposoby. Próbuję rozmaitych rzeczy. Ale zasadniczo staram się myśleć głównie o negatywnych aspektach. Znajduję w niej wady, to znaczy *niezbyt dobre cechy*, i wyliczam je sobie. I powtarzam je w myślach w nieskończoność jak mantrę, przykazuję sobie: nie zakochuj się niepotrzebnie w takiej kobiecie.

– I dobrze to panu wychodzi?

– Nie, w ogóle mi nie wychodzi – powiedział, potrząsając głową. – Po pierwsze, nie bardzo umiem wymyślać negatywne rzeczy na jej temat. Po drugie, nawet te negatywne rzeczy mnie w niej pociągają. A poza tym nie bardzo potrafię odróżnić, co jest mojemu sercu potrzebne, a co niepotrzebne. Nie całkiem dostrzegam linię tych podziałów. Pierwszy raz w życiu czuję się taki zagubiony, niezdecydowany.

Zapytałem, czy mimo że spotykał się z wieloma kobietami, nigdy przedtem nie był tak głęboko zaangażowany uczuciowo.

– To pierwszy raz – odpowiedział zwięźle. Potem grzebał w pamięci, szukając dawnych wspomnień. – A właściwie tak. W liceum przez krótki czas podobnie się czułem. Na myśl o kimś serce mnie bolało i nie mogłem się skupić na niczym innym. Ale to była głupia, nieodwzajemniona miłość. Teraz to zupełnie co innego. Jestem już całkiem dorosły i nawet z nią sypiam. A mimo to jestem taki skołowany. Kiedy tak ciągle o niej myślę, zdaje mi się, że nawet moje wewnętrzne organy przestają normalnie funkcjonować. Głównie układy trawienny i oddechowy.

Milczał przez chwilę, jakby się upewniał, jak działają jego układy trawienny i oddechowy.

– Kiedy pana słucham, wydaje mi się, że starając się za bardzo jej nie pokochać, jednocześnie przez

cały czas konsekwentnie nie chce jej pan utracić – powiedziałem.

– Tak, ma pan rację. To jest oczywiście paradoks, rozdwojenie tożsamości. Jednocześnie pragnę zupełnie przeciwnych rzeczy. Nie ma szansy, żeby się udało, choćbym nie wiem jak się starał. No, nie da rady. Bez względu na wszystko nie mogę jej stracić. Gdyby do tego doszło, sam bym przepadł.

– Ale ona ma męża i dziecko.

– Zgadza się.

– A co ona sądzi o związku z panem?

Tokai lekko przychylił głowę na bok i szukał odpowiednich słów.

– Mogę się jedynie domyślać, co sądzi o związku ze mną, a od domysłów robi mi się zamęt w głowie. Oznajmiła tylko, że nie zamierza się rozwieść z mężem. Że ma dziecko i nie chce rozbijać rodziny.

– Ale nadal się z panem spotyka.

– W tej chwili spotykamy się, kiedy jest okazja. Ale nie wiem, co będzie dalej. Boi się, że mąż może się o nas dowiedzieć, a wtedy nie będziemy mogli się więcej widywać. Albo mogę jej się po prostu znudzić. Zupełnie nie wiadomo, co się może jutro zdarzyć.

– I to pana przeraża.

– Tak, kiedy się zastanawiam nad różnymi możliwościami, nie mogę myśleć o niczym innym. Nie mogę nawet nic przełknąć.

Doktora Tokai poznałem w klubie fitness niedaleko swojego domu. Przychodził w weekendowe popołudnia z rakieta do squasha pod pachą. Wkrótce zagraliśmy razem kilka meczów. Był dobrze wychowany, wysportowany i nie bardzo przejmował się tym, kto wygra, więc świetnie nadawał się na partnera do niezobowiązującej rozgrywki. Ja byłem trochę starszy, ale należeliśmy do tego samego pokolenia (wszystko, co opisuję, zdarzyło się niedawno) i nasze umiejętności gry w squasha były mniej więcej na tym samym poziomie. Zlani potem biegaliśmy za piłką, następnie szliśmy do pobliskiej piwiarni na beczkowe piwo.

Jak to ludzie z tak zwanych dobrych domów, świetnie wykształceni i niemający nigdy problemów finansowych, doktor Tokai był skupiony wyłącznie na sobie. Mimo to, jak wcześniej wspomniałem, można było z nim przyjemnie i ciekawie porozmawiać.

Kiedy się dowiedział, że zawodowo zajmuję się pisaniem, prócz tego, że gawędził ze mną na różne tematy, zaczął po trochu zwierzać mi się ze swoich prywatnych spraw. Może myślał, że pisarze, podobnie jak terapeuci i księża, mają pełne prawo (a może nawet obowiązek) wysłuchiwać zwierzeń innych. Nie był w tym odosobniony – miałem podobne doświadczenia również z innymi osobami. Ale nie mam nic przeciwko słuchaniu opowieści, a zwierzenia doktora Tokai mnie nie nużyły. Był prostolinijny, szczery i potrafił spojrzeć na siebie dość obiektywnie. Nie bał się też odsłonić swoich słabych punktów. Była to cecha, którą obdarzonych jest niewiele osób.

Doktor Tokai powiedział:

– Byłem związany z wieloma kobietami ładniejszymi od niej, miały piękniejsze ciała i lepszy gust, były bardziej błyskotliwe, ale co z tego, takie porównania nie mają żadnego sensu. Ponieważ ona jest dla mnie kimś szczególnym. Można by ją nazwać *istotą całkowitą*. Wszystkie jej cechy są ciasno scalone

i umieszczone na jednej osi. Nie można wybrać pewnej cechy, żeby mierzyć i analizować, czy jest lepsza albo gorsza od innych. I właśnie ta jej oś strasznie mnie pociąga. Jest jak bardzo silny magnes. To się nie mieści w kategoriach logicznych.

Popijaliśmy Black and Tan[7] w dużych szklankach, jedząc na przekąskę frytki i marynowane ogórki.

Tokai ciągnął dalej:

– Był taki wiersz:

*Od owej chwili,
gdym ciebie tylko ujrzał,
patrzę w swe serce
i wiem, że ono dawniej
za nikim nie tęskniło.*

– Radca dworu Atsutada[8] – powiedziałem. Sam nie wiem, dlaczego pamiętam takie rzeczy.

– Na wykładzie na studiach dowiedziałem się, że „ujrzał” oznacza tu spotkanie kochanków i uprawianie miłości cielesnej. Wtedy pomyślałem tylko „Aha”, ale dopiero teraz, po tylu latach udało mi się zrozumieć, jak się czuł poeta. Spotyka się kobietą, którą kocha, ich ciała stają się jednym ciałem; kochankowie żegnają się i potem on ma poczucie wielkiej straty. Ciężko mu oddychać. Na dobrą sprawę te doznania nie zmieniły się przez ponad tysiąc lat. I ja, który dotąd nie doznawałem podobnych emocji, boleśnie odczułem, że do tej pory nie byłem w pełni człowiekiem. Chociaż chyba trochę za późno się zorientowałem.

– Myślę, że na coś takiego nigdy nie jest za późno ani za wcześnie – powiedziałem.

Nawet jeśli się późno zorientował, to przecież lepiej, niż gdyby w ogóle się nie zorientował, prawda?

– Ale może lepiej byłoby doświadczyć takich uczuć w młodości – zastanawiał się Tokai. – Wtedy wytworzyłby człowiek przeciwności.

To nie takie proste, pomyślałem. Znam kilka osób, które nie potrafiły wytworzyć przeciwności i noszą w sobie jakby złą, uspioną chorobę. Ale nic nie powiedziałem, bo to byłaby dłuższa rozmowa.

– Spotykam się z nią już od półtora roku. Jej mąż często wyjeżdża w delegacje służbowe za granicę. Wtedy się umawiamy, idziemy na obiad, potem do mnie i do łóżka. Związała się ze mną, kiedy się dowiedziała, że mąż ją zdradza. Przeprosił ją, rozstał się z tamtą kobietą i obiecał, że więcej tego nie robi. Ale jej to nie dawało spokoju. Zaczęła ze mną sypiać, żeby odzyskać równowagę psychiczną. *Zemsta* jest zbyt mocnym słowem, ale potrzebowała takiego procesu doregulowania serca i umysłu. To się często zdarza.

Nie wiedziałem, czy takie rzeczy się często zdarzały, ale słuchałem dalej w milczeniu.

– Bardzo przyjemnie i wesoło spędzaliśmy czas. Ożywione rozmowy, intymne tajemnice, nieśpieszny, delikatny seks. Myślę, że spędziliśmy razem piękne chwile. Często się śmiała. Bardzo wesoło się śmieje. Ale stopniowo coraz głębiej się w niej zakochiwałem i teraz nie mogę się już cofnąć. Ostatnio często się zastanawiam, *kim ja właściwie jestem?*

Wydało mi się, że coś przegapiłem albo źle usłyszałem jego ostatnie słowa, więc poprosiłem, żeby powtórzył.

– Ostatnio często się zastanawiam, *kim ja właściwie jestem?* – powtórzył.

– To trudne pytanie – powiedziałem.

– Ma pan rację. To bardzo trudne pytanie – zgodził się Tokai i skinął kilka razy głową, jakby potwierdzając tę trudność. Wyglądało na to, że nie dosłyszał lekkiej ironii w moim głosie. – *Kim ja właściwie jestem?* – mówił dalej. – Dawniej nie miałem żadnych wątpliwości, pracowałem ciężko jako chirurg plastyczny. Specjalizowałem się w chirurgii plastycznej w Akademii Medycznej, najpierw pomagałem ojcu jako asystent, potem popsuł mu się wzrok, więc przeszedł na emeryturę, a ja przejąłem gabinet. Może sam nie powinienem tego mówić, ale uważam, że jestem dobrym chirurgiem. Świat medycyny estetycznej to prawdziwa mieszkanka ziarna i plew. Są gabinety, które mają wspaniałe reklamy, ale w rzeczywistości operują byle jak... Ja zawsze pracowałem bardzo sumiennie i nigdy nie miałem żadnych poważnych konfliktów z klientami. Z tego względu czuję prawdziwą dumę zawodową. Nie mogę też narzekać na życie prywatne. Mam wielu przyjaciół i jak na razie żadnych problemów zdrowotnych. Po swojemu cieszę się życiem. Ale ostatnio często się zastanawiam, *kim ja właściwie jestem?* I to dość *poważnie* się zastanawiam. Gdyby odebrano mi zdolności i pracę chirurga plastycznego, gdybym nie mógł żyć na obecnym poziomie i gdybym znalazł się na świecie po prostu bez niczego, bez żadnych kwalifikacji i możliwości wyjaśnienia, co się stało, kim ja bym właściwie był?

Spojrzał mi prosto w oczy. Chyba oczekiwał jakiejś reakcji.

– Dlaczego nagle zaczął się pan nad tym zastanawiać? – zapytałem.

– Zacząłem się nad tym zastanawiać między innymi z powodu książki o nazistowskich obozach koncentracyjnych, którą niedawno przeczytałem. Była tam mowa o lekarzu interniście, który w czasie wojny został wywieziony do Auschwitz. Obywatel żydowskiego pochodzenia, który miał prywatny gabinet w Berlinie, został pewnego dnia aresztowany z całą rodziną i wywieziony do obozu koncentracyjnego. Do tego czasu ludzie go szanowali, pacjenci mu ufali, otoczony kochającą rodziną wiódł dostatnie życie w eleganckiej willi. Miał cztery psy, a w weekendy grywał z przyjaciółmi na wiolonczeli Schuberta lub Mendelssohna. Żył sobie spokojnie i niczego mu nie brakowało. Ale nagle wszystko się zmieniło i za życia został wrzucony do piekła. Tam nie był już zamożnym obywatelem Berlina ani szanowanym lekarzem, nie był już człowiekiem: pozbawiony rodziny, traktowany jak bezpański pies, głodzony. Komendant obozu dowiedział się, że był znanym w Berlinie internistą, uznał więc, że może mu się do czegoś przydać, i nie wysłał go do komory gazowej. Ale lekarz nie był pewien dnia ani godziny. W każdej chwili strażnik mógł go dla kaprysu zatłuc na śmierć. Rodzina prawdopodobnie została już wymordowana.

Przerwał na chwilę.

– I wtedy nagle sobie pomyślałem, że ten straszny los, który go spotkał, mógłby być moim losem, gdybym żył w innym miejscu i innym czasie. Gdybym z jakiejś nieznannej przyczyny został nagle wyrwany z obecnego życia, gdyby odebrano mi wszystkie przywileje, gdyby moja egzystencja została zredukowana do egzystencji kogoś, kto ma tylko obozowy numer, kim właściwie bym wtedy był? Zamknąłem książkę i zamyśliłem się. Prócz zaufania, którym cieszę się jako lekarz, i praktycznej wiedzy chirurga plastycznego sam nie mam żadnej wartości, żadnych innych umiejętności, jestem tylko pięćdziesięciodwuletnim facetem. Jestem zdrowy, ale mam teraz znacznie mniej siły niż w latach młodości. Nie mógłbym pewnie znieść ciężkiej pracy fizycznej. Co ja potrafię? Potrafię wybrać smaczne wino pinot noir, jest kilka restauracji i barów sushi, w których mnie znają, umiem wybrać elegancką biżuterię na prezent dla kobiety i trochę gram na pianinie (jeśli nuty są proste, umiem zagrać od razu z nut) – to wszystko. Ale gdyby mnie wysłali do Auschwitz, to wszystko na nic by mi się nie zdało.

Zgodziłem się. Wiedza na temat gatunków pinot noir, amatorska gra na pianinie, sztuka eleganckiej konwersacji w takim przypadku prawdopodobnie do niczego by się nie przydały.

– Przepraszam, że pytam, ale czy pan kiedyś myślał o czymś takim? Kim by się pan stał, gdyby odebrano panu umiejętność pisania?

Wyjaśniłem mu, że na początku nie byłem nikim niezwykłym i zaczynałem dosłownie od zera. Zbieg okoliczności sprawił, że zacząłem pisać, i na szczęście mogę się z tego utrzymać. By sobie uświadomić, że jest się tylko zwykłym człowiekiem bez szczególnych umiejętności, nie trzeba się posuwać aż do rozważań, co by było, gdyby nas wysłano do Auschwitz.

Usłyszawszy to, Tokai na chwilę zamyślił się głęboko. Chyba pierwszy raz się dowiedział, że istnieje taki sposób rozumowania.

– Aha. Może i łatwiej jest tak w życiu myśleć.

Starłem się delikatnie zasugerować, że zaczynanie życia od zera nie jest może aż takie łatwe.

– Oczywiście, że nie – zgodził się Tokai. – Oczywiście, ma pan rację. Na pewno bardzo ciężko jest zaczynać życie od zera. Pod tym względem miałem znacznie łatwiej niż inni. Ale kiedy człowiek osiągnie pewien wiek, przywyknie do pewnego stylu życia, zdobędzie pewną pozycję i dopiero wtedy zaczyna poważnie wątpić w swoją wartość jako człowieka, to też w pewnym sensie *daje w kość*. Człowiek zaczyna myśleć, że dotychczasowe życie nie miało żadnego znaczenia, było kompletną stratą czasu. W młodości można się jeszcze zmienić i można mieć nadzieję. Ale w moim wieku ciężar przeszłości zbytnio ciężki. Niełatwo jest zacząć wszystko od nowa.

– To lektura książki o nazistowskich obozach koncentracyjnych skłoniła pana do myślenia o takich rzeczach? – zapytałem.

– Jej treść *bezpośrednio* do mnie przemówiła i wywołała szok. Do tego doszedł fakt, że nie wiedziałem, jak się rozwinie sytuacja z tą kobietą i przez pewien czas byłem w stanie przypominającym depresję wywołaną kryzysem wieku średniego. Przez cały czas zastanawiałem się, *kim ja właściwie jestem*. Ale choć myślałem i myślałem, nie znajdowałem żadnej odpowiedzi. Kręciłem się w kółko, byłem wciąż w tym samym miejscu. To, co do tej pory sprawiało mi przyjemność, jakoś przestało mnie interesować. Nie miałem ochoty na sport, na kupowanie ubrań, nie chciało mi się nawet podnieść pokrywy fortepianu. Nie miałem ochoty na jedzenie. Kiedy siedziałem beczynnym, ciągle myślałem o niej. Nawet rozmawiając z pacjentami, wciąż myślałem o niej. Niewiele brakowało, żebym bezwiednie wypowiadał na głos jej imię.

– Jak często widuje się pan z tą kobietą?

– Bardzo różnie, zależnie od planów jej męża. To też jedna z rzeczy, które sprawiają mi ból. Kiedy mąż wyjeżdża na dłużej w delegację, spotykamy się często. Zawozi wtedy dziecko do swojej matki albo zatrudnia opiekunkę. Ale kiedy mąż jest w Japonii, bywa, że nie widzimy się przez kilka tygodni. To naprawdę daje mi w kość. Na myśl, że mogę się z nią więcej nie spotkać – przepraszam za ten frazes – wprost czuję, że serce mi pęka.

Przysłuchiwałem się jego opowieści w milczeniu. Używał zwyczajnych wyrażeń, ale nie wyświechtanych frazesów. Wręcz odwrotnie, wszystko, co mówił, brzmiało bardzo prawdziwie.

Odetchnął głęboko.

– Zawsze miałem kilka dziewczyn naraz. Może to pana do mnie zniechęci, ale czasami spotykałem się nawet z czterema albo pięcioma. Kiedy jedna nie mogła, umawiałem się z drugą. Całkiem przyjemnie sobie radziłem. Ale od kiedy się w niej zakochałem, o dziwo, zupełnie przestały mnie pociągać inne

kobiety. Nawet kiedy spotykałem się z inną, miałem zawsze gdzieś w myślach obraz tamtej. Nie mogłem się go pozbyć. Naprawdę ciężko zachorowałem.

Ciężko zachorował, pomyślałem. Wyobraziłem sobie, jak Tokai dzwoni na pogotowie i wzywa karetkę. „Halo, pilnie potrzebna mi jest karetka. Naprawdę ciężko zachorowałem. Mam trudności z oddychaniem, w każdej chwili serce może mi pęknąć...”

Tokai mówił dalej:

– Prawdziwy problem polega na tym, że im lepiej ją poznaję, tym bardziej ją kocham. Spotykamy się tak już od półtora roku, a jestem nią teraz dużo bardziej zafascynowany niż na początku. Zdaje mi się, że nasze serca są teraz czymś mocno związane. Kiedy jej serce się poruszy, pociąga za sobą moje. Jak dwie łódki związane liną. Nawet gdyby chciało się je rozdzielić, nie ma takiego noża, który by ją przeciął. To też jest uczucie, którego nigdy wcześniej nie doświadczałem. Wzbudza we mnie niepokój. Co się ze mną stanie, jeżeli to się będzie pogłębiało?

– Rozumiem – odrzekłem. Lecz Tokai oczekiwał chyba bardziej treściwej odpowiedzi.

– Co ja właściwie mam zrobić, panie Tanimura?

Powiedziałem, że nie wiem, co konkretnie powinien zrobić, ale słuchając go, mam wrażenie, że to, co odczuwa, jest zupełnie normalne i logiczne. Miłość to właśnie coś takiego. Człowiek przestaje panować nad własnym sercem i czuje się tak, jakby rządziła nim jakaś irracjonalna siła. To znaczy, że doktor nie doświadcza teraz niczego dziwnego czy odbiegającego od normy. Po prostu zakochał się na poważnie w pewnej kobiecie. Czuje, że nie chce stracić ukochanej osoby. Chce się ciągle z nią spotykać. A jeśli nie będzie się mógł więcej z nią widywać, może nadejść koniec świata. Bardzo często zdarzają się takie przypadki, to zupełnie naturalne. Nie ma w tym nic zadziwiającego ani unikalnego, to zupełnie zwyczajna klatka z filmu życia.

Siedząc z założonymi rękami, doktor Tokai znów przez chwilę zastanawiał się nad tym, co powiedziałem. Wydawało się, że nie całkiem trafiło mu to do przekonania. Może na przykład trudno mu było zrozumieć sformułowanie „zupełnie zwyczajna klatka z filmu życia”. A może to, co przeżywał, w rzeczywistości nieco różniło się od „zakochania”.

Kiedy dopiliśmy piwo i zbieraliśmy się do odejścia, powiedział, jakby mi się w zaufaniu zwierzał:

– Teraz najbardziej boję się czegoś w rodzaju gniewu, który noszę w sobie, bo to on powoduje największy mętlik w mojej głowie.

– Gniewu? – powtórzyłem trochę zdziwiony. Zdawało mi się, że to uczucie zupełnie nie pasuje do osoby doktora Tokai. – Gniewu, ale w związku z czym?

Tokai potrząsnął głową.

– Nie wiem. Jestem pewien, że nie gniewam się na nią. Ale kiedy się nie spotykamy, kiedy nie mogę się z nią spotkać, czuję, jak ten gniew we mnie narasta. Sam nie potrafię zrozumieć, co go wywołuje. Ale jest gwałtowny, nigdy wcześniej takiego nie czułem. Mam ochotę chwycić wszystko, co wpadnie mi w ręce, i cisnąć przez okno. Krzesło, telewizor, książki, talerze, obrazy – wszystko, co popadnie. I w ogóle mnie nie obchodzi, że te spadające rzeczy mogłyby zabić jakiegoś przechodnia... Wiem, że to głupie, ale naprawdę tak myślę. Na razie oczywiście potrafię jeszcze zapanować nad tym gniewem. Więc nie robię takich rzeczy. Ale może przyjdzie dzień, kiedy przestanę nad nim panować. I naprawdę mogę komuś zrobić krzywdę. Tego się obawiam. A jeśli już, to wolałbym zrobić krzywdę sam sobie.

Nie bardzo pamiętam, co na to odpowiedziałem. Pewnie coś nieszkodliwego na pocieszenie. Bo wtedy nie bardzo rozumiałem, czym był ten „gniew”, o którym mówił, i co właściwie oznaczał. Pewnie

mogłem odpowiedzieć coś bardziej rozsądnego. Ale nawet gdybym wtedy był w stanie wymyślić coś *bardziej rozsądnego*, prawdopodobnie nie zmieniłoby to losu, który czekał doktora Tokai. Tak mi się przynajmniej wydaje.

Zapłaciliśmy rachunek i wróciliśmy do swoich domów. On wsiadł do taksówki z torbą na rakiety i pomachał mi przez okno na pożegnanie. Wtedy ostatni raz go widziałem. Był koniec września, jeszcze nie skończyły się letnie upały.

Potem Tokai przestał pokazywać się w klubie fitness. Chciałem się z nim zobaczyć, więc wpadłem tam kilka razy w weekend, ale nie przyszedł. Nikt nie wiedział, co się z nim dzieje. W klubie fitness tak się zdarza. Ktoś, kto często tu bywał, pewnego dnia przestaje się pokazywać. Klub fitness to nie miejsce pracy. Można przyjść albo nie przyjść – każdy sam decyduje. Dlatego nie bardzo się tym przejąłem. I tak minęły dwa miesiące.

W piątkowe popołudnie pod koniec listopada zadzwonił sekretarz doktora Tokai. Nazywał się Gotō. Mówił niskim, miękkim głosem. Ten głos przypominał mi Barry'ego White'a, piosenki, które często puszczały na stacjach FM koło północy.

– Przykro mi, że tak nagle i w dodatku przez telefon przekazuję panu taką wiadomość. Doktor Tokai zmarł w zeszły czwartek, a w poniedziałek w ścisłym gronie rodzinnym odbył się pogrzeb.

– Zmarł – powtórzyłem osłupiały. – Kiedy go widziałem, bodajże dwa miesiące temu, był całkiem zdrowy. Co się właściwie stało?

Gotō milczał chwilę po drugiej stronie słuchawki. Potem się odezwał:

– Prawdę mówiąc, doktor Tokai poprosił mnie przed śmiercią, żebym panu coś przekazał. Przepraszam, że się narzucam, ale czy znalazłby pan czas, żeby się ze mną na krótko spotkać? Wtedy będę mógł panu wszystko dokładnie wyjaśnić. Stawię się w miejscu i o czasie, jaki panu odpowiada.

Zapytałem, czy może dzisiaj. Gotō powiedział, że może. Zaproponowałem kafeterię przy ulicy równoległej do ulicy Aoyama. O szóstej. Tam będziemy mogli spokojnie porozmawiać. Gotō nie znał tego miejsca, ale powiedział, że bez trudu je znajdzie.

Kiedy przyszedłem do kafeterii za pięć szósta, Gotō już siedział przy stoliku i na mój widok od razu się podniósł. Przez telefon wyobraziłem sobie krzepkiego faceta, ale w rzeczywistości Gotō był wysoki i szczupły. I tak jak mówił doktor Tokai, bardzo przystojny. Miał na sobie brązowy wełniany garnitur, bielusińką koszulę i krawat w kolorze ciemnej musztardy. Ubranie doskonale na nim leżało. Włosy miał dość długie, starannie i ładnie ułożone. Grzywka sympatycznie spadała mu na czoło. Miał około trzydziestu pięciu lat i gdybym nie wiedział od doktora Tokai, że jest gejem, wydałby mi się zupełnie zwyczajnym dobrze ubranym chłopakiem (było w nim jeszcze coś bardzo chłopięcego). Miał też chyba gęsty zarost. Pił podwójne espresso.

Przywitałem się z nim krótko i też zamówiłem podwójne espresso.

– Zmarł zupełnie nagle, prawda? – zapytałem.

Chłopak zmrużył oczy, jakby nieoczekiwanie ktoś zaświecił w nie mocnym światłem.

– Owszem, zmarł nagle. Zdziwiająco. Ale jednocześnie była to strasznie długa i pełna cierpienia śmierć.

Milczałem, czekając na dalsze wyjaśnienia. Lecz on jeszcze przez pewien czas nie chciał mówić

o szczegółach śmierci doktora. Może czekał, aż przyniosą moją kawę.

– Głęboko szanowałem doktora Tokai – powiedział, jakby zmieniał temat. – Jako lekarz i jako człowiek był naprawdę wspaniały. Z wielką życzliwością uczył mnie różnych rzeczy. Pracowałem u niego przez dziesięć lat i gdybym nigdy go nie spotkał, nie byłbym teraz tym człowiekiem, którym jestem. Był prostolinijny, bez żadnej dwulicowości. Zawsze uśmiechnięty, nie był zadufany w sobie, traktował wszystkich tak samo życzliwie, wszyscy go lubili. Nigdy nie słyszałem, żeby pan doktor źle się o kimś wyrażał.

Właściwie ja też nigdy nie słyszałem, żeby o kimś źle mówił.

– Często mi o panu wspominał – powiedziałem. – Mówił, że bez pana gabinet by tak dobrze nie funkcjonował i jego życie prywatne też byłoby w rozsypce.

Na moje słowa na ustach Gotō pojawił się smutny, blady uśmiech.

– Nie, nie robiłem nic wielkiego. Po prostu starałem się być przydatny jako ktoś pracujący za kulisami. Starałem się, jak umiałem. To mi sprawiało radość.

Przyniesiono kawę. Po odejściu kelnerki zaczął w końcu mówić o śmierci doktora.

– Najpierw zauważyłem, że pan doktor przestał jadać lunch. Przedtem zawsze coś zjadał podczas południowej przerwy, choćby coś szybkiego. Nawet kiedy był bardzo zajęty, zawsze przywiązywał dużą wagę do posiłków. Ale od pewnego momentu przestał w południe brać cokolwiek do ust. Kiedy zachęcałem go: „Musi pan doktor coś zjeść”, odpowiadał: „Nie przejmuj się. Po prostu nie mam apetytu”. To było na początku października. Ta zmiana mnie zaniepokoiła, bo doktor należał do ludzi, którzy nie lubią zmieniać przyzwyczajeń. Bardzo sobie cenił codzienny regularny rozkład zajęć. A wtedy tylko przestał jadać lunch. Nie wiadomo kiedy przestał też chodzić do klubu fitness. Chodził tam przedtem gorliwie trzy razy w tygodniu, pływał, grał w squasha, trenował mięśnie, a teraz wydawało się, że przestało go to interesować. Potem przestał zwracać uwagę na ubranie. Wcześniej był zawsze schludny i lubił się modnie ubierać, ale – jak by to powiedzieć – zaczął stopniowo wyglądać coraz bardziej nieporządnie. Zdarzało się, że przez kilka dni nosił to samo. I stawał się coraz bardziej milczący, jakby ciągle o czymś rozmyślał, a wkrótce prawie w ogóle przestał się odzywać i zdarzało się, że zapadał w letarg. Wydawało się, że wcale nie słyszy, kiedy coś do niego mówię. Przestał też po pracy spotykać się z kobietami.

– Ponieważ to pan zajmował się planowaniem jego zajęć, zauważył pan tę zmianę.

– Tak. Codzienne spotkania z kobietami zawsze były dla doktora czymś ważnym... Stanowiły źródło jego żywotności. To, że nagle po prostu ustały, nie było normalne. Pięćdziesiąt dwa lata to wiek daleki od starości. Prawdopodobnie pan wie, że doktor Tokai prowadził dość aktywne życie erotyczne.

– Specjalnie tego nie ukrywał. Nie chodzi mi o to, że się tym przechwalał, tylko po prostu był szczery.

Gotō skinął głową.

– Tak, w tej sferze był bardzo szczery. Mnie też opowiadał wiele różnych rzeczy. Właśnie dlatego ta nagła zmiana bardzo mnie zdziwiła. Już z niczego mi się nie zwierzał. Wszystko, co się działo, zachowywał w tajemnicy, ukrywał w sobie. Oczywiście pytałem. Czy stało się coś złego? Czy pan doktor ma jakieś zmartwienie? Ale on tylko kręcił przecząco głową i nie wyjawiał mi, co ukrywa w sercu. Prawie się do mnie nie odzywał. Ale na moich oczach z dnia na dzień chudł i słabł. Było jasne, że źle się odżywia. No, ale przecież nie mogłem się wtrącać do jego życia prywatnego. Pan doktor był bardzo przyjaznym człowiekiem, lecz raczej nie dopuszczał nikogo zbyt blisko. Długo pracowałem jako jego osobisty sekretarz, ale tylko raz byłem u niego w domu. Poszedłem po jakąś ważną rzecz, po coś, czego

zapomniał. Jedynie kobiety, z którymi był w bliskich stosunkach, miały tam chyba wolny wstęp. Mogłem więc tylko snuć domysły i się martwić.

Gdy przestał mówić, lekko westchnął. Jakby wyrażał rezygnację, że nie dorównywał kobietom, z którymi doktor „był w bliskich stosunkach”.

– Z dnia na dzień wyraźnie chudł i słabł? – zapytałem.

– Tak. Oczy mu się zapadły, skóra stała się biała jak papier. Zaczął się chwiać na nogach i nie dawał już rady trzymać skalpela. Oczywiście w końcu nie był w stanie przeprowadzać operacji. Na szczęście miał zdolnego asystenta, który zaczął go zastępować. No, ale nie można było tego ciągnąć w nieskończoność. Odwoływałem telefonicznie wszystkie wizyty i gabinet praktycznie zawiesił działalność. Wkrótce doktor w ogóle przestał przychodzić. To było pod koniec października. Dzwoniłem do niego do domu, ale nie odbierał. Przez dwa dni nie udało mi się z nim skontaktować. Ponieważ zostawił mi klucz do siebie, trzeciego dnia rano poszedłem do jego mieszkania. Nie powinienem może tego robić, ale strasznie się martwiłem.

Otworzyłem drzwi i poczułem w mieszkaniu straszny smród. Na podłodze walały się różne rzeczy. Wśród nich rozrzucone były jak ubrania. Garnitury, krawaty, nawet bielizna. Wyglądało to tak, jakby doktor nie sprzątał od kilku miesięcy. Okna były zamknięte, powietrze zatęchłe. A doktor leżał tylko cicho i nieruchomo na łóżku.

Zdawało się, że Gotō przez chwilę przypomina sobie tę scenę. Zamknął oczy i lekko potrząsnął głową.

– Na samym początku pomyślałem, że chyba umarł. Na chwilę serce we mnie zamarło. Ale myliłem się. Oczy miał otwarte i patrzył, zwróciwszy ku mnie bladą, wychudłą twarz. Czasami mrugał. I oddychał bardzo cicho. Kołdrę miał podciągniętą pod brodę i nie ruszał się. Powiedziałem coś do niego, ale nie zareagował. Wyschnięte wargi miał zaciśnięte, jakby je zszyto. Policzki pokrywał kilkudniowy zarost. Najpierw otworzyłem okno i przewietrzyłem. Nie wyglądało na to, że muszę podjąć jakieś natychmiastowe kroki, doktor chyba nie cierpiał, więc postanowiłem posprzątać. Tam był naprawdę straszny bałagan. Pozbierałem porzucane ubrania. Uprałem, co się dało, a to, co trzeba było oddać do pralni, wsadziłem do torby. Wypuściłem wodę z wanny. Wyszorowałem ją. Sądząc po tym, że na wannie został ślad, woda musiała tam stać dość długo. To było nie do pomyślenia, doktor zawsze tak lubił porządek. Zdawało się, że odwołał też przychodzącą dotąd regularnie sprzątaczkę, bo wszystkie meble pokrywała gruba warstwa kurzu. Ale o dziwo w zlewie nie było żadnych brudnych naczyń. Lśnił czystością. Co znaczyło, że doktor od dawna nie korzystał z kuchni. Walało się tylko kilka butelek po wodzie mineralnej, ale nie było śladów wskazujących na to, że coś jadł. Kiedy otworzyłem lodówkę, rozszedł się niewyobrażalnie okropny zapach. Produkty musiały w niej tkwić od dawna i się zepsuły. Tofu, warzywa, mleko, kanapki, szynka – takie rzeczy. Wrzuciłem je do dużej torby na śmieci i wyniosłem do śmietnika w podziemiach budynku.

Ujął pustą filiżankę po espresso i przyglądał jej się przez chwilę pod różnymi kątami. Potem podniósł wzrok i powiedział:

– Przywrócenie mieszkania do poprzedniego stanu zajęło mi ponad trzy godziny. Przez cały ten czas okna były otwarte, więc nieprzyjemny zapach prawie się ulotnił. Doktor wciąż milczał. Tylko wodził za mną wzrokiem, kiedy się krzątałem. Ponieważ wychudł, jego oczy zdawały się większe i bardziej błyszczące niż zwykle. Lecz nie dostrzegłem w nich żadnych uczuć. Patrzyły na mnie, ale w rzeczywistości nic nie widziały. Jak by to powiedzieć? On tylko wodził za mną wzrokiem, jego oczy zachowywały się jak kamera, która śledzi poruszające się *obiekty*. Doktorowi było całkiem obojętne, że tam jestem i że coś robię. Miał bardzo smutne oczy. Do końca życia ich nie zapomnę.

Ogoliłem doktora elektryczną maszynką. Wytarłem mu twarz wilgotnym ręcznikiem. Nie stawiał żadnego oporu. Na wszystko mi pozwalał. Następnie zadzwoniłem do swojego lekarza. Kiedy mu wyjaśniłem sytuację, od razu przyszedł. Szybko go osłuchał i zrobił proste badania. Przez ten czas doktor Tokai w ogóle się nie odzywał, tylko patrzył na nas tymi pustymi, pozbawionymi uczuć oczami.

Jak by to powiedzieć? Może takie wyrażenie nie jest odpowiednie, ale doktor nie wyglądał już na żywego. Wyglądał jak człowiek, który został pogrzebany albo miał zostać mumią, ale wypełzył z powrotem na ziemię, bo nie udało mu się odrzucić doczesnych pragnień. To brzmi strasznie, ale wtedy dokładnie tak czułem. Doktor stracił już duszę. Nie wyglądało na to, żeby miała do niego powrócić. Lecz jego poszczególne organy nie rezygnowały i dalej funkcjonowały niezależnie. Takie to robiło wrażenie.

Chłopak potrząsnął kilka razy głową.

– Najmocniej przepraszam. Zabieram panu czas. Opowiem resztę w skrócie. Krótko mówiąc, doktor Tokai popadł w rodzaj anoreksji. Prawie nie jadł, utrzymywał się przy życiu, pijąc tylko wodę. Nie, ściśle mówiąc, to nie była anoreksja. Jak pan wie, większość osób cierpiących na anoreksję to młode kobiety. Chcą być szczupłe i piękne, coraz mniej jedzą, żeby schudnąć, ale z czasem chudnięcie staje się celem samym w sobie i prawie zupełnie przestają jeść. Jakby chciały osiągnąć ekstremum i zredukować wagę do zera. Dlatego nie zdarza się, żeby na anoreksję chorował mężczyzna w średnim wieku. Lecz doktor Tokai wykazywał objawy anoreksji. Oczywiście nie robił tego, żeby być pięknym. Moim zdaniem przestał jeść, bo *dosłownie* nie mógł nic przełknąć.

– Nieszczęśliwa miłość? – zapytałem.

– Prawdopodobnie coś w tym rodzaju – odparł Gotō. – Być może pragnął się zredukować do zera. Może chciał się unicestwić. Bo normalnie zwykłemu człowiekowi trudno znieść cierpienia śmierci głodowej. Może radość z tego, że własne ciało redukuje się do zera, była silniejsza od cierpienia. Tak samo czują się młode kobiety cierpiące na anoreksję, gdy spada ich waga.

Spróbowałem sobie wyobrazić doktora Tokai leżącego w łóżku i chudnącego, zmieniającego się w mumię i myślącego o swojej jedynej miłości. Lecz pamiętałem go jedynie jako wesołego, zdrowego, bardzo starannie ubranego człowieka, który lubił dobrze zjeść.

– Lekarz dał mu zastrzyk wzmacniający, wezwał pielęgniarkę i przygotował kroplówkę. Sam zastrzyk wiele nie pomógł, a kroplówkę doktor mógł sobie w każdej chwili odłączyć. Ja nie mogłem być przy nim cały czas. Gdybym próbował go na siłę karmić, wszystko by wymiotował. Do szpitala też nie mogłem go zabrać, jeżeli sam sobie tego nie życzył. Doktor Tokai stracił już wtedy wolę życia i postanowił zredukować się do zera. Choćby wszyscy się starali na różne sposoby i dawali mu zastrzyki wzmacniające, tego procesu nie dało się powstrzymać. Można było tylko beczynnienie stać i przyglądać się, jak głód zżera go od środka. To były bolesne dni. Należało coś zrobić, ale w rzeczywistości nic się zrobić nie dało. Na szczęście miałem wrażenie, że doktor nie cierpi. A przynajmniej w ciągu tego czasu nigdy tego nie okazał. Codziennie chodziłem do niego, sprawdzałem pocztę, sprzątałem, siadałem przy jego łóżku i opowiadałem mu o różnych rzeczach. Zdawałem sprawozdanie na temat gabinetu, gadałem o tym i owym. Lecz on nie odzywał się ani słowem. Ani nie reagował w żaden sposób. Nie wiedziałem nawet, czy jest przytomny. Tylko w milczeniu patrzył na mnie wielkimi, pozbawionymi wyrazu oczami. Były zadziwiająco przejrzyste. Wydawało się, że można by wręcz zobaczyć, co jest po drugiej stronie.

– Czy zaszło coś między nim a jakąś kobietą? – zapytałem. – Mówił mi, że głęboko zaangażował się w związek z jakąś mężatką z dzieckiem.

– Tak. Od dłuższego czasu bardzo poważnie ją traktował. Już nie interesowały go codzienne bez troskie zabawy z kobietami. I chyba zaszło między nimi coś poważnego. Zdaje się przez to doktor stracił chęć

zycia. Zadzwoiłem do niej. Ale odebrał jej mąż. Powiedziałem: „Chciałbym porozmawiać z pana małżonką w związku z umówioną wizytą w gabinecie”. Mąż odparł, że już tu nie mieszka. „To pod jakim numerem mogę się z nią skontaktować?”, zapytałem. Mąż chłodno oznajmił, że nie wie, i odłożył słuchawkę.

Chłopak znów zamilkł na chwilę. Potem mówił dalej:

– Oszczędzę panu wszystkich szczegółów, ale w każdym razie udało mi się ją znaleźć. Zostawiła męża i dziecko i zamieszkała z innym mężczyzną.

Zaniemówiłem na chwilę. Przez chwilę nie bardzo rozumiałem. Potem zapytałem:

– To znaczy, że rzuciła i męża, i doktora Tokai?

– Mówiąc wprost, tak – odpowiedział niechętnie. Lekko się skrzywił. – Miała trzeciego faceta. Nie znam szczegółów, ale chyba był młodszy od niej. Choć to tylko moje prywatne zdanie, miałem wrażenie, że to niezbyt porządny człowiek. Dla niego odeszła od rodziny. A doktor Tokai był tylko wygodną odskocznią. Po prostu go wykorzystywała, kiedy jej to było na rękę. Są dowody, że doktor wydał na nią mnóstwo pieniędzy. Kiedy sprawdziłem konto bankowe i kartę kredytową, okazało się, że pobierał i wydawał wielkie sumy. Prawdopodobnie dawał jej bardzo drogie prezenty. Albo może prosiła go o pożyczki. Nie ma jednoznacznych dowodów, na co te pieniądze zostały wydane, i szczegóły są niejasne, ale w każdym razie w krótkim czasie wydał ogromne sumy.

Westchnąłem ciężko.

– Musiał się tym zamartwiać.

Chłopak przytaknął.

– Gdyby zerwała z doktorem, mówiąc: „Jednak nie mogę zostawić męża i dziecka. Dlatego chcę definitywnie zakończyć ten związek”, jakoś by to zniósł. Ponieważ chyba naprawdę głęboko ją pokochał, prawdopodobnie byłby bardzo przygnębiony, ale chyba nie doprowadziłby się z tego powodu do śmierci. Gdyby to wszystko miało sens, jakoś podniósłby się prędzej czy później, nawet gdyby spadł na samo dno. Ale pojawił się trzeci mężczyzna i doktor uświadomił sobie, że został zrecznie wykorzystany; to było chyba dla niego zbyt wielkim ciosem.

Słuchałem go w milczeniu.

– Kiedy umierał, ważył około trzydziestu pięciu kilogramów – powiedział chłopak. – Zwykle ważył ponad siedemdziesiąt, więc waga spadła mu o ponad połowę. Żebra sterczały jak skały na piasku w czasie odpływu. Tak wyglądał, że nie dało się na niego patrzeć. Przypomniał mi wychudzonych i wyniszczonych Żydów po wyzwoleniu nazistowskiego obozu koncentracyjnego, których widziałem na filmie dokumentalnym.

Obóz koncentracyjny. Tak, w pewnym sensie jego przeczucie było słuszne. *Ostatnio często zastanawiam się, kim ja właściwie jestem?*

Chłopak mówił dalej:

– Z medycznego punktu widzenia przyczyną śmierci była niewydolność serca. Serce utraciło zdolność pompowania krwi. Ale moim zdaniem śmierć wywołało zakochanie się. To była nieszczęśliwa miłość, dosłownie *choroba serca*. Wiele razy do niej dzwoniłem, wyjaśniałem sytuację i prosiłem. Błagałem prawie na klęczkach, zaklinałem. „Czy mogłaby pani choć raz, choć na krótką chwilę go odwiedzić? Jak tak dalej pójdzie, doktor pewnie tego nie przeżyje”. Ale nie przyszła. Oczywiście nie jestem pewien, czy nawet gdyby przyszła, uratowałoby go to od śmierci. On już wtedy postanowił sobie, że umrze. Ale może

przypadkiem zdarzyłyby się cud? Albo przynajmniej doktor mógłby umrzeć w innym stanie ducha? A może jej pojawienie się wywołałoby tylko zamęt w jego głowie? Może spowodowałoby w jego sercu jeszcze większe niepotrzebne cierpienie? Nie mam pewności co do tego. Szczerze mówiąc, w tej kwestii nie ma pewności co do niczego. Wiem tylko jedno: nie zdarza się na tym świecie, żeby ktoś się zakochał, z tego powodu przestał jeść i naprawdę w rezultacie umarł. Nie uważa pan?

Zgodziłem się. Rzeczywiście nigdy o niczym podobnym nie słyszałem. Pod tym względem przypadek doktora Tokai był naprawdę szczególny. Kiedy to powiedziałem, Gotō ukrył twarz w dłoniach i przez pewien czas bezgłośnie płakał. Chyba był naprawdę szczerze przywiązany do doktora. Chciałem go pocieszyć, ale co ja mogłem właściwie zrobić? Gdy przestał płakać, wyjął z kieszeni spodni czystą białą chusteczkę i wytarł łzy.

– Najmocniej przepraszam. Nie powinienem tak okazywać przed panem słabości.

Powiedziałem, że płkanie po kimś nie jest oznaką słabości. Szczególnie jeśli zmarła droga nam osoba. Gotō mi podziękował.

– Dziękuję bardzo. Pana słowa nieco dodały mi otuchy.

Podniósł spod stolika torbę na rakiętę do squasha i podał mi. Wewnątrz była nowa rakietka firmy Black Knight. Bardzo droga rzecz.

– Przekazał mi ją doktor. Zamówił ją, ale kiedy przyszła, nie miał już ochoty grać w squasha. Prosił mnie, żebym ją dał panu. Kiedy zbliżał się koniec, doktor jakby na krótki czas oprzytomniał i przekazał mi kilka ważnych rzeczy. Ta rakietka była jedną z nich. Proszę z niej korzystać, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

Podziękowałem i przyjąłem rakiętę. Potem zapytałem, co się stało z gabinetem.

– Na razie jest nieczynny, ale prędzej czy później zostanie zamknięty albo w całości sprzedany – powiedział. – Oczywiście trzeba będzie komuś przekazać biuro, więc i ja będę przez pewien czas w tym pomagał, ale nie zdecydowałem jeszcze, co zrobię dalej. Ja też muszę trochę to sobie uporządkować. Na razie ciągle nie jestem w stanie trzeźwo myśleć o różnych rzeczach.

Miałem nadzieję, że ten chłopak podniesie się po tym szoku i wróci do normalnego życia.

– Proszę pana, nie chcę się panu narzucać, ale mam do pana prośbę. Proszę nigdy nie zapomnieć o doktorze Tokai. To był człowiek o kryształowo czystym sercu. A poza tym, jedyna rzecz, którą możemy zrobić dla zmarłych, to jak najdłużej zachować ich w pamięci. Ale to nie jest takie proste, tylko prosto brzmi. I nie każdego można o taką rzecz poprosić.

To prawda, pomyślałem. Zachowanie zmarłego w pamięci nie jest wcale takie proste, jak sądzą niektórzy. Obiecałem, że będę się starał jak najczęściej wspominać doktora. Nie potrafiłem ocenić, czy miał kryształowo czyste serce, ale niewątpliwie był w pewnym sensie *niezwykłym* człowiekiem i warto było o nim pamiętać.

Pożegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Piszę te słowa, żeby nie zapomnieć o doktorze Tokai. Bo dla mnie napisanie o kimś jest najlepszym sposobem, żeby nie zapomnieć. Żeby nie sprawić nikomu kłopotu, zmieniłem nieco nazwiska i miejsca, ale zdarzyło się tak, jak opisałem. Mam nadzieję, że Gotō gdzieś kiedyś to przeczyta.

Pamiętam dobrze jeszcze jedną rzecz związaną z doktorem Tokai. Nie przypominam sobie, jak zeszliśmy na ten temat, ale pewnego dnia przedstawił mi swoją teorię dotyczącą kobiet.

Jego zdaniem wszystkie kobiety mają niezależny organ, który pozwala im kłamać. To, na jaki temat, gdzie i jak kłamią, trochę się różni w zależności od konkretnej kobiety, lecz wszystkie bez wyjątku w pewnym momencie kłamią, i to w ważnych sprawach. Oczywiście kłamią też w nieważnych sprawach, ale to ma mniejsze znaczenie. Problem w tym, że nie wahają się kłamać i w tych ważnych. Żadnej nie zmienia się wyraz twarzy, żadnej nie drży głos. Bo kłamią nie one, to ich niezależny organ tak sobie swobodnie poczyna. Dlatego te kłamstwa nie wpływają na czystość sumienia kobiet i nie zakłócają ich spokojnego snu – z wyjątkiem szczególnych przypadków.

Mówił rzadkim u niego zdecydowanym tonem i dlatego dobrze to zapamiętałem. Ja też zasadniczo muszę się zgodzić z tym poglądem, ale myślę, że w szczegółach nie całkiem się zgadzamy. Pewnie każdy z nas doszedł do tego niezbyt przyjemnego wniosku nieco inaczej, jakbyśmy się wspięli na szczyt różnymi drogami.

Przed śmiercią prawdopodobnie przekonał się, że miał rację, a to nie sprawiło mu radości. Nie muszę chyba mówić, że bardzo było mi żal doktora Tokai. Z całego serca bolałem nad jego śmiercią. Musiał być ogromnie zdeterminowany, skoro przestał jeść i poddał się męce śmierci głodowej. Nie sposób sobie wyobrazić takie fizyczne i psychiczne cierpienie. Ale jednocześnie w pewnym sensie trochę mu zazdroszczę, że był w stanie pokochać jakąś kobietę tak głęboko, że sam zapragnął zredukować się do zera – mniejsza o to, jaka to była kobieta. Gdyby tylko chciał, mógłby sobie wciąż wieść takie pokrętne życie. Spotykać się bez zobowiązań z kilkoma kobietami jednocześnie, pić doskonałe pinot noir, grać *My Way* na fortepianie w salonie i dalej cieszyć się przyjemnymi romansami w cichym zakątku miasta. A mimo to zakochał się tak ogromną i bolesną miłością, że nie mógł nawet jeść, wkroczył w zupełnie nowy świat, ujrzał sceny, których nigdy wcześniej nie widział, i w rezultacie doprowadził do własnej śmierci. Jeśli posłużyć się wyrażeniem, którego użył Gotō: *zbliżał się do nicości*. Nie potrafię ocenić, czy jego życie było szczęśliwsze i bardziej prawdziwe, zanim się zakochał, czy też później... To, co go spotkało od września do listopada tamtego roku, było dla mnie – podobnie jak dla Gotō – w zasadzie niezrozumiałe.

Dalej gram w squasha, ale po śmierci doktora Tokai przeprowadziłem się, więc chodzę do innego klubu fitness. W nowym klubie gram z trenerem jako partnerem. Kosztuje to drogo, ale tak jest łatwiej. Prawie nie używam rakiety od doktora Tokai. Częściowo dlatego, że jest dla mnie trochę za lekka. A kiedy czuję w dłoni tę lekkość, choćbym nie chciał, wyobrażam sobie jego wychudłą, wyniszczoną postać. „Kiedy jej serce się poruszy, pociąga za sobą moje. Jak dwie łódki związane liną. Nawet gdyby chciało się je rozdzielić, nie ma takiego noża, który by ją przeciął”.

Był połączony z niewłaściwą łódką, myślimy po fakcie. Ale czy można to tak prosto podsumować? Myślę, że ta kobieta kłamała, używając (prawdopodobnie) tego niezależnego organu, ale doktor Tokai kochał ją za pomocą innego organu. Ten organ także działał niezależnie i nie poddawał się woli właściciela. Innym łatwo jest po fakcie z wyższością krytykować postępowanie doktora i kręcić smutno głową. Ale bez tego organu, który popycha nasze życie na szczyty albo strąca na dno, który wywołuje nam zamęt w głowie, pokazuje piękne wizje, a czasem wręcz doprowadza do śmierci, nasze życie na pewno byłoby nijakie. Albo po prostu stałoby się serią zwykłych pokrętnych wysiłków.

Oczywiście nigdy się nie dowiem, nad czym doktor Tokai zastanawiał się przed śmiercią, o czym myślał. Jednak wśród tego cierpienia i bólu na chwilę udało mu się oprzytomnieć i zostawić mi w spadku tę nieużywaną raketę. Być może zawarł w niej jakąś wiadomość. Może pod koniec znalazł coś w rodzaju odpowiedzi na pytanie „Kim ja właściwie jestem?”. I może chciał mi to przekazać. Tak mi się wydaje.

Gdy uprawiali seks, za każdym razem opowiadała Habarze jakąś bardzo ciekawą, tajemniczą historię. Jak Szeherazada z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Oczywiście, w odróżnieniu od sułtana Habara nie miał najmniejszej ochoty ścinać jej głowy o świecie (poza tym nigdy nie zostawała u niego do rana). Opowiadała Habarze różne historie po prostu dlatego, że miała na to ochotę. Pewnie chciała rozweselić człowieka, który musiał spędzać cały czas sam w domu. Ale to nie był jedyny powód. Drugi był taki, że lubiła prowadzić z mężczyznami w łóżku intymne rozmowy. A szczególnie – tak przypuszczał Habara – kiedy leżeli we dwoje rozleniwieni po seksie.

Habara nazwał tę kobietę Szeherazadą. W jej obecności nie używał tego imienia, ale w niewielkim dzienniku, który codziennie prowadził, w dni jej wizyt wpisywał długopisem „Szeherazada” i krótko streszczał historię, którą mu opowiedziała tego dnia – tak, żeby nikt inny nie mógł zrozumieć jego zapisków, gdyby przypadkiem je przeczytał.

Habara nie wiedział, czy jej historie były prawdziwe, całkowicie zmyślane, czy też w połowie prawdziwe, w połowie zmyślane. Nie potrafił tego stwierdzić, bo chyba fakty były pomieszane z domysłami, a obserwacje ze snami. Dlatego Habara nie przejmował się oddzielaniem prawdy od fałszu, tylko słuchał jej opowieści całkowicie nimi pochłonięty. Co to miało teraz dla niego za znaczenie, czy to była prawda, czy kłamstwa, czy też ich skomplikowana kombinacja.

W każdym razie Szeherazada posiadała sztukę opowiadania w takim stopniu, że docierała wprost do serca słuchacza. W jej interpretacji każda historia stawała się szczególną opowieścią. Wszystko było idealne: ton, dramatyczne przerwy, budowanie struktury opowiadania. Wzbudzała zainteresowanie słuchacza, droczyła się z nim, zmuszała go do myślenia, snucia domysłów, a na koniec dawała mu dokładnie to, czego pragnął. Ta wyjątkowa umiejętność pozwalała człowiekowi zapomnieć na pewien czas o całym świecie. Jakby wycierała mokrym gałgankiem tablicę, ścierała ułamki niechcianych, upartych wspomnień albo zmartwień, o których nie chciało się pamiętać. Już samo to mu wystarczało. Czy też raczej tego właśnie teraz Habara najbardziej pragnął.

Miała trzydzieści pięć lat, o cztery lata więcej od niego. W zasadzie była gospodynią domową (była też dyplomowaną pielęgniarką i czasami pracowała na zlecenia), miała dwoje dzieci w szkole podstawowej. Mąż był zatrudniony w jakiejś zwyczajnej firmie. Mieszkała o dwadzieścia minut jazdy samochodem od Habary. A przynajmniej to było (prawie) wszystko, co mu powiedziała na temat swojego prywatnego życia. Oczywiście nie miał jak zweryfikować, czy była to prawda, czy kłamstwa. Choć nie widział powodu, żeby wątpić w jej słowa. Nie powiedziała mu, jak się nazywa. Nie ma potrzeby, żebyś znał moje nazwisko, stwierdziła. Rzeczywiście, miała rację. Dla niego była po prostu Szeherazadą i to mu wystarczało. Ona musiała wiedzieć, jak on się nazywa, ale nigdy nie zwróciła się do niego po imieniu. Starannie unikała wypowiedzenia jego nazwiska, jakby to mogło przynieść pecha albo było niewłaściwe. Nawet jeśli ktoś patrzył na nią z dużą dozą dobrej woli, musiał dojść do wniosku, że z wyglądu w niczym nie przypomina pięknej żony sułtana z *Księgi tysiąca i jednej nocy*. Była prowincjonalną gospodynią domową, która zaczynała tyć (zupełnie jakby ktoś powypełniał rozmaite szpary kitem) i widać było, że niewątpliwie wkracza w wiek średni. Rósł jej drugi podbródek, w kącikach oczu utworzyły się spowodowane zmęczeniem zmarszczki. Jej fryzura, stroje i makijaż nie były może niedbałe, ale nie przyciągały wzroku. Miała niebrzydkie, ale pospolite rysy, którym brakowało charakteru. Większość ludzi w ogóle nie zwróciłaby na nią uwagi, mijając ją na ulicy albo jadąc z nią windą. Może dziesięć lat temu była atrakcyjną dziewczyną. Może kilku facetów by się za nią obejrzało. Ale nawet jeśli tak było, to te dni dawno już minęły. I nic nie zapowiadało, żeby miały kiedyś powrócić.

Szeherazada przychodziła do Domu dwa razy w tygodniu. Choć dni nie były ustalone, nigdy nie pojawiała się w weekendy. Pewnie musiała spędzać je z rodziną. Zawsze dzwoniła godzinę przed swoim

przyjściem. Robiła zakupy w pobliskim supermarkecie i przywoziła je samochodem. Jeździła małą niebieską mazdą. Był to stary model, tylny zderzak miał wgnieciony, felgi brudne i poczerniałe. Zatrzymywała samochód na parkingu Domu, otwierała tylną klapę hatchbacka, wyjmowała zakupy, niosąc je w obu rękach, szła do drzwi i dzwoniła. Habara sprawdzał przez wizjer, czy to ona, zdejmował łańcuch i otwierał zasuwę. Szła prosto do kuchni, rozpakowywała siatki i chowała jedzenie do lodówki. Sporządzała listę produktów, które powinna kupić przed następną wizytą. Musiała być dobrą gospodynią, bo robiła wszystko sprawnie i nie traciła czasu. W kuchni prawie się nie odzywała i miała cały czas skupiony wyraz twarzy.

Gdy kończyła, kierowali się do sypialni – żadne z nich tego nie proponowało, jakby naturalnie niósł ich tam jakiś morski prąd. Szeherazada bez słowa szybko się rozbierała i szła z Habarą do łóżka. Nieomal w milczeniu się obejmowali i zupełnie jakby wykonywali razem jakieś zadanie, odbywali w określonej kolejności stosunek płciowy. Jeżeli miała miesiączkę, pomagała mu osiągnąć cel dłońią. Jej wprawne, nieco mechaniczne ruchy przypominały mu, że jest dyplomowaną pielęgniarką.

Po seksie rozmawiali, leżąc w łóżku. A raczej ona prawie ciągle mówiła, a Habara tylko przytakiwał, czasami zadawał krótkie pytania. Kiedy na zegarze dochodziło pół do czwartej, Szeherazada przerywała, nawet jeśli była w trakcie opowieści (z jakiejś przyczyny zawsze akurat dochodziła do najciekawszego miejsca), wstawiała, zbierała z podłogi rozrzucone ubranie i wkładała je i przygotowywała się do wyjścia. Mówiła, że musi zrobić obiad.

Habara odprowadzał ją do drzwi, zamykał je za nią na łańcuch i spomiędzy firanek obserwował, jak odjeżdża brudnym niebieskim samochodem. O szóstej przygotowywał posiłek z tego, co znalazł w lodówce, i samotnie go zjadał. Był przez pewien czas kucharzem, więc przygotowywanie jedzenia nie sprawiało mu żadnych trudności. Jedząc, popijał wodę mineralną Perrier (nie brał do ust alkoholu), potem przy kawie oglądał film na DVD albo czytał (lubił książki, których czytanie zabierało dużo czasu albo które musiał czytać wielokrotnie). Poza tym nie miał nic do roboty. Nie miał z kim rozmawiać. Nie miał do kogo zadzwonić. Nie miał komputera, więc nie mógł korzystać z internetu. Nie prenumerował gazety, nie oglądał telewizji (były ku temu ważne powody). Oczywiście nie mógł też wyjść na dwór. Gdyby z jakiegoś powodu Szeherazada nie mogła go już więcej odwiedzić, zostałby całkowicie odcięty od świata zewnętrznego na samotnej wyspie na lądzie.

Ale ta możliwość nie wywoływała w nim niepokojów.

To są okoliczności, z którymi muszę sam sobie poradzić. Są trudne, ale pewnie jakoś sobie dam radę, myślał. Nie, ja nie jestem na samotnej wyspie, *ja jestem samotną wyspą*.

Był przyzwyczajony do samotności. Nie załamałby się nerwowo, gdyby został sam. Zamęt w jego sercu wywoływała raczej perspektywa, że wtedy nie mógłby już słuchać w łóżku jej opowieści. To znaczy nie usłyszałby dalszego ciągu.

Niedługo po tym, jak przeprowadził się do Domu, zapuścił brodę. Miał dość gęsty zarost. Oczywiście zależało mu na zmianie wyglądu, ale to nie wszystko. Główną przyczyną było to, że nie miał co robić. Zarost sprawiał, że można było głaskać brodę, dotykać bokobrodów albo wąsów. Dało się też wytracić trochę czasu na przystrzyganiu i przycinaniu ich nożyczkami albo maszynką. Nigdy przedtem nie zauważył, że zarost pomaga rozwiać nudę.

– W poprzednim wcieleniu byłam minogiem – powiedziała pewnego razu Szeherazada, gdy leżeli w łóżku. Rzuciła to oświadczenie krótko, niedbale, jakby mówiła, że biegun północny jest na północy.

Habara nie miał pojęcia, jak wygląda minóg, więc nie wyraził w odpowiedzi żadnej opinii.

– Wiesz, jak minogi jedzą pstrągi? – zapytała.

Habara powiedział, że nie wie. Nie wiedział nawet, że minogi jedzą pstrągi.

– Minogi nie mają żuchwy. Tym się bardzo różnią od zwykłych węgorzy.

– A zwykłe węgorze mają żuchwę?

– Nigdy nie widziałeś węgorza? – zapytała zniecierpliwiona.

– Czasem jem filety z węgorza, ale nigdy nie miałem okazji widzieć jego żuchwy.

– To przy następnej okazji się przyjrzyj. Idź na przykład do oceanarium. Zwykły węgorz ma żuchwę i porządne zęby. Ale minóg w ogóle nie ma żuchwy. Otwór gębowy ma jak przysawkę. Przysysa się nią do kamienia na dnie rzeki czy jeziora i tak się kołysze do góry nogami. Jak jakaś wodna roślina.

Habara wyobraził sobie dużo minogów kołyszących się na dnie jak wodne rośliny. Ten obraz wydawał mu się mało rzeczywisty. Choć wiedział, że rzeczywistość czasami jest mało rzeczywista.

– Minogi naprawdę żyją między roślinami wodnymi. Ukrywają się wśród nich. A kiedy przepływa nad nimi pstrąg, szybko się unoszą i przysysają mu się do brzucha. Tą przysawką. Przywierają do pstrąga jak pijawki i prowadzą pasożytniczy tryb życia. Wewnątrz tej przysawki mają taki jakby język z zębami. Używają go jak pilnika, robią nim dziurę w boku ryby i po trochu ją zjadają.

– Nie chciałbym być pstrągiem – powiedział Habara.

– W czasach rzymskich mieli mnóstwo stawów, w których hodowali minogi. Wrzucali tam żywcem krnąbrnych i hardych niewolników, którzy w ten sposób stawali się pożywieniem minogów.

Nie chciałbym też być rzymskim niewolnikiem, pomyślał Habara. Oczywiście nie chciałbym być niewolnikiem w żadnej epoce.

– W szkole podstawowej pierwszy raz zobaczyłam w oceanarium minoga, przeczytałam o tym, jak żyje, i nagle sobie uświadomiłam, że to właśnie minogiem byłam w poprzednim wcieleniu – powiedziała Szeherazada. – Chodzi mi o to, że dobrze to pamiętam. Pamiętam, jak przysana do kamienia kołysałam się w wodzie między roślinami i patrzyłam, jak przepływają nade mną tłuste pstrągi.

– A nie pamiętasz, jak je podgryzałaś?

– Nie, tego nie.

– To dobrze – powiedział Habara. – Czyli pamiętasz tylko, że kołysałaś się na dnie?

– Bo nie pamiętam wszystkiego z poprzedniego wcielenia – odrzekła. – Jak dobrze pójdzie, przy jakiejś okazji przypominasz sobie tylko odrobinę. Jakbyś nieoczekiwanie przez mały otwór w murze podglądał, co jest po drugiej stronie. Możesz zobaczyć tylko wycinek tamtego krajobrazu. A ty pamiętasz coś z poprzedniego życia?

– Niczego nie pamiętam – odparł Habara.

Szczerze mówiąc, wcale nie miał ochoty sobie przypominać poprzedniego życia. Przerastało go nawet to obecne, rzeczywiste.

– Bardzo przyjemnie było żyć sobie na dnie jeziora. Przysać się mocno do kamienia, wisieć tak do góry nogami i przyglądać się przepływającym w górze rybom. Widziałam nawet strasznie wielkiego żółwia. Z dołu wyglądał na olbrzymiego i ciemnego jak jeden z tych złych statków kosmicznych z *Gwiezdnych wojen*. Duże białe ptaki z długimi ostrymi dziobami atakowały ryby jak płatni zabójcy. Z dna wyglądały tylko jak chmury płynące po błękitnym niebie. Ponieważ kryłyśmy się głęboko między

roślinami, ptaki nam nie groziły.

– I ty to widzisz oczyma wyobraźni?

– Bardzo wyraźnie – oznajmiła Szeherezada. – Widzę światło, czuję prąd wody. Pamiętam też, co wtedy myślałam. Czasami mogę nawet wejść w tę scenę.

– Pamiętasz, co myślałaś?

– Uhm.

– To ty tam o czymś myślałaś?

– Oczywiście.

– A o czym myślą minogi?

– Minogi myślą o bardzo *minogowatych* rzeczach. O minogowatych tematach w minogowatym kontekście. Ale tego nie da się przekazać naszymi słowami. Bo to są myśli dla żyjących w wodzie. Tak samo jak z dzieckiem w macicy. Wiadomo, że ma jakieś myśli, ale nie da się ich wyrazić naszymi ziemskimi słowami. Prawda?

– Chcesz powiedzieć, że pamiętasz życie płodowe? – zapytał Habara zaskoczony.

– Oczywiście – rzuciła niedbale Szeherezada i lekko przechyliła głowę leżącą na jego piersi. – Ty nie pamiętasz?

Habara powiedział, że nie pamięta.

– To kiedyś ci o tym opowiem. O tym, jak byłam płodem.

Tego dnia Habara zapisał w dzienniku: „Szeherezada, minogi, poprzednie wcielenie”. Nawet gdyby ktoś zobaczył ten zapisek, w ogóle nie wiedziałby, o co chodzi.

Poznał Szeherezadę cztery miesiące wcześniej. Został wysłany do Domu w północnej części Kantō, a ona miała mu pomagać, jako „łączniczka” mieszkająca niedaleko. Do jej obowiązków należało kupowanie i przywożenie jedzenia oraz innych potrzebnych rzeczy niemogącemu wyjść z Domu Habarze. Kupowała też na jego prośbę książki lub czasopisma, które chciał przeczytać, oraz płyty, których chciał posłuchać. Czasami przynosiła mu też wybrane przez siebie filmy na DVD (choć Habara nie mógł zrozumieć, czym kierowała się przy ich wyborze).

W tydzień po tym, jak tam zamieszkał, zaprosiła go do łóżka, jakby to było coś oczywistego. Miała już przygotowane prezerwatywy. Być może było to jedna z „form pomocy”, którą jej zlecono. Tak czy inaczej, była to jedna z rzeczy zaproponowanych przez nią naturalnie i bez żadnego wahania, a on się wcale nie sprzeciwiał tej procedurze. Na jej zaproszenie poszedł do łóżka i nie bardzo wiedząc, co jest grane, przespał się z nią.

Seks z Szeherezadą nie był może namiętny, ale nie był też całkiem mechaniczny. Nawet jeżeli na początku oddawała mu się na zlecenie (albo na silną sugestię z góry), w pewnym momencie zaczęło jej to (choćby częściowo) sprawiać przyjemność. Habara wyczuł to po drobnych zmianach w reakcjach jej ciała i bardzo go to cieszyło. Bo nie był przecież zdziczałym zwierzęciem w klatce, tylko człowiekiem potrafiącym doznawać całej gamy uczuć. Seks mający na celu jedynie zaspokojenie pożądania był może w pewnym stopniu potrzebny, ale nie dawał prawdziwej radości. Habara nie potrafił jednak ocenić, w jakim stopniu seks z nim był dla niej pracą, a kiedy wkraczał już w sferę prywatną.

Nie chodziło tylko o seks. To samo dotyczyło wszystkich innych czynności, które dla niego

wykonywała. Nie potrafił ocenić, co robi z obowiązku, a co z sympatii (jeżeli to można było nazwać sympatią). Trudno było odczytać, jakie uczucia czy motywacje kierują tą kobietą. Na przykład zwykle nosiła prostą, niewymyślną bieliznę, jaką noszą zapewne zwykle gospodynie domowe po trzydziestce – Habara nigdy przedtem nie był związany z gospodynią domową po trzydziestce, więc były to jedynie domysły. Te rzeczy wyglądały na pochodzące z wyprzedaży w dyskoncie. Ale zdarzało się też, że miała na sobie bieliznę strasznie wyrefinowaną i uwodzicielską. Nie wiedział, gdzie ją kupowała, ale wyglądała na coś bardzo wysokiej klasy. Delikatne sztuki z pięknego jedwabiu, subtelne koronki, głębokie kolory. Habara nie mógł zrozumieć, jakie okoliczności powodowały te różnice i jaki był ich cel.

Drugą rzeczą, która robiła mu zamęt w głowie, było to, że seks i opowieści stawały się jedną niepodzielną całością. Niemożliwe było odłączenie ich od siebie. Habara nigdy przedtem nie doświadczył sytuacji, w której byłby głęboko związany – nieomal zszyty – z kimś, kto go specjalnie nie pociągał, z kim łączy go związek fizyczny, który trudno uznać za szczególnie namiętny; to powodowało, że czuł się lekko skołowany.

– Kiedy miałam kilkanaście lat – zaczęła kiedyś mówić w łóżku Szeherazada, jakby mu coś wyznawała – zakradałam się czasem do obcego domu pod nieobecność właścicieli.

Habara, jak często w przypadku jej opowieści – nie wiedział, co na to odpowiedzieć.

– Zakradłeś się kiedyś do czyjegoś domu?

– Chyba nie – powiedział Habara. Jego głos brzmiał tak, jakby mu zaschło w gardle.

– Jak człowiek raz tak robi, wchodzi mu to w nawyk.

– Ale to niezgodne z prawem.

– Masz rację. Gdyby mnie złapali, zostałabym aresztowana. Włamanie i kradzież (albo usiłowanie kradzieży) to dość poważne przestępstwa. Wiedziałam, że źle postępuję, ale to było jak choroba, nie mogłam przestać.

Habara w milczeniu czekał na dalszy ciąg opowieści.

– Najprzyjemniejszą rzeczą we wślizgnięciu się do czyjegoś pustego domu jest cisza. Nie wiem dlaczego, ale jest naprawdę cicho. To może się okazać najspokojniejsze miejsce na świecie. Tak mi się też wydawało. I w tej dzwoniącej w uszach ciszy usiadłam na podłodze i siedziałam bez ruchu, a wtedy udało mi się naturalnie wrócić do okresu, kiedy byłam minogiem – powiedziała Szeherazada. – To było wspaniałe uczucie. Mówiłam ci już, że w poprzednim życiu byłam minogiem? Tak mi się zdaje.

– Tak, mówiłaś.

– Tak samo się czułam. Jak przyssana do kamienia, ogon mi się kołysze w górze jak rośliny wodne wokoło. Jest naprawdę cicho, nie słychać żadnych dźwięków. A może ja nie mam uszu? W pogodne dni światło słońca przecina wodę jak strzała. Czasami załamuje się jak w pryzmacie. Nade mną powoli przepływają ryby o rozmaitych kształtach i kolorach. O niczym nie myślę. A raczej mam tylko minogowate myśli. Te myśli są zamglone, a mimo to bardzo czyste. Nie są przezroczyste, ale nie ma w nich niczego nieczystego. Jestem sobą i nie sobą. Taki nastrój jest po prostu wspaniały.

Szeherazada po raz pierwszy zakradła się do cudzego domu w drugiej klasie licealnej. Kochała się w chłopcu z tej samej klasy z pobliskiego państwowego liceum. Wysoki, dobrze się uczył, grał w drużynie piłkarskiej. Nie był szczególnie przystojny, ale robił wrażenie schludnego i strasznie sympatycznego. Niestety, jak większość miłości licealistek, uczucie to nie zostało odwzajemnione.

Chłopak darzył chyba sympatią inną dziewczynę w klasie, a na Szeherazadę nawet nie spojrział. Nigdy się do niej nie odezwał, może nie zauważył nawet, że chodzą do tej samej klasy. Ale ona za nic nie potrafiła z niego zrezygnować. Widząc go, miała trudności z oddychaniem, czasami wydawało jej się nieomal, że zwymiotuje. Wiedziała, że jeśli czegoś z tym nie zrobi, może zwariować. Wyznanie mu miłości nie wchodziło w rachubę. Nie przyniosłoby pożądanego rezultatu.

Pewnego dnia Szeherazada poszła na wagary i zakradła się do domu tego chłopca. Mieszkał o piętnaście minut piechotą od niej. Nie miał ojca. Jego ojciec pracował dawniej w firmie cementowej i kilka lat wcześniej zginął w wypadku na autostradzie. Matka uczyła japońskiego w państwowym gimnazjum w sąsiednim mieście. Jego młodsza siostra chodziła do gimnazjum. Dlatego w ciągu dnia dom powinien być pusty. Szeherazada wcześniej dowiedziała się trochę na temat tej sytuacji rodzinnej.

Drzwi były oczywiście zamknięte, ale Szeherazada na wszelki wypadek sprawdziła pod wycieraczką. I znalazła tam klucz. W dzielnicy mieszkaniowej w spokojnym prowincjonalnym mieście przestępczość była bardzo niska. Dlatego ludzie nie przejmowali się nadmiernie zabezpieczaniem drzwi. Często chowano klucz pod wycieraczką albo pod jakąś doniczką, na wypadek gdyby któryś z domowników zapomniał swojego.

Dla pewności zadzwoniła do drzwi, poczekała, czy na pewno nikt nie otworzy, upewniła się, że nikt z sąsiadów nie patrzy, otworzyła i weszła. Zamknęła drzwi od środka, zdjęła buty, włożyła do plastikowej torby i schowała do plecaka. Starając się cicho stąpać, weszła na piętro.

Tak jak się spodziewała, jego pokój był na górze. Porządnie posłane wąskie drewniane łóżko. Niewielki regał pełen książek, komoda, biurko. Na regale mały zestaw stereo i kilka płyt kompaktowych. Na ścianie wisiał kalendarz drużyny piłkarskiej z Barcelony i coś jakby drużynowy proporzeczek. Nie było innych elementów dekoracyjnych. Brak obrazów i zdjęć. Tylko nagie kremowe ściany. W oknie białe firanki. Pokój był ładnie sprzątnięty i panował w nim porządek. Nigdzie nie walały się książki, nie było rozrzuconych ubrań. Wszystkie przybory piśmienne na biurku też leżały na swoich wyznaczonych miejscach. Pokój odzwierciedlał metodyczną naturę właściciela. A może to matka codziennie starannie tu sprzątała. Albo jedno i drugie. Na tę myśl Szeherazada poczuła się spięta. Gdyby w pokoju panował nieład i brud, nikt by nie zauważył, nawet gdyby sobie pomyszkowała. Szkoda, że tak nie było. Musiała być bardzo ostrożna. Ale jednocześnie bardzo ją ucieszyło, że pokój jest czysty, skromny i że panuje w nim porządek. Bardzo w jego stylu.

Usiadła na krześle przy biurku i przez pewien czas tak została. Serce zabiło jej na myśl, że on codziennie uczy się przy tym biurku. Brała do ręki kolejno różne przybory piśmienne, głaskała je, wachała, całowała. Ołówki, nożyczki, linijkę, zszywacz, kalendarz – wszystko po kolei. Przez sam fakt, że należały do niego, te zwykłe przedmioty nabierały blasku.

Potem otworzyła kolejno szuflady biurka i dokładnie zbadła leżące w nich przedmioty. W górnej ułożone w przegródkach były różne drobne przybory biurowe i jakieś pamiątki. W drugiej leżały zeszyty, których obecnie używał, a w trzeciej, najgłębszej, różne dokumenty, stare zeszyty, testy. W większości były to rzeczy związane ze szkołą albo z działalnością drużyny piłkarskiej. Nie znalazła nic cennego. Nie zauważyła też dziennika ani listów, na które już się cieszyła. Ani jednego zdjęcia. Wydawało jej się to trochę nienaturalne. Czy ten człowiek nie oddaje się żadnym prywatnym zajęciom prócz szkoły i drużyny piłkarskiej? Czy też po prostu trzyma takie rzeczy schowane gdzieś indziej, gdzie nikt z zewnątrz nie może ich znaleźć?

Mimo to siedziała przy jego biurku z sercem przepełnionym radością tylko dzięki temu, że mogła wodzić wzrokiem po jego zapiskach w zeszytach. Może jak tak dalej pójdzie, zwariuje. Żeby się

uspokoić, wstała z krzesła i usiadła na podłodze. Spojrzała w sufit. Wokół nadal panowała cisza. Nic nie było słychać. I tak zaczęła się upodabniać do minoga.

– Weszłaś do jego pokoju, dotknęłaś różnych rzeczy, a potem tylko tak sobie siedziałaś? – zapytał Habara.

– Nie, jeszcze coś zrobiłam – odparła Szeherezada. – Chciałam mieć coś, co do niego należało. Chciałam wziąć ze sobą coś, czego on na co dzień używał i nosił przy sobie. Ale to nie mogło być nic ważnego. Gdybym wybrała coś ważnego, od razu by się zorientował, że zniknęło. Dlatego postanowiłam ukraść tylko ołówek.

– Tylko ołówek?

– Tak, częściowo zużyty ołówek. Ale uważałam, że nie mogę go po prostu ukraść. Wtedy wyszłabym na zwykłą złodziejkę, która zakradła się do pustego domu. I nie wiadomo byłoby, że *to ja*. A ja byłam „złodziejką z miłości”.

Złodziejka z miłości, pomyślał Habara. To brzmi zupełnie jak tytuł niemego filmu.

– Dlatego postanowiłam zostawić po sobie jakiś *znak*. Jako dowód, że tam byłam. I jako deklarację, że to nie kradzież, ale wymiana. Ale nie przychodziło mi do głowy nic odpowiedniego. Przejrzałam zawartość plecaka i kieszeni – nie znalazłam nic nadającego się na znak. Powinnam była coś ze sobą przynieść, ale wcześniej nie przyszło mi to do głowy... W końcu zdecydowałam się zostawić tampon. Oczywiście nieużywany, jeszcze w opakowaniu. Zbliżała mi się miesiączka, więc miałam tampony w plecaku. Postanowiłam zostawić jeden w dolnej szufladzie, z tyłu, tak żeby trudno było go znaleźć. To mnie bardzo podnieciło. To, że w jego szufladzie będzie ukryty mój tampon. Pewnie od tego wzburzenia zaraz potem dostałam miesiączki.

Ołówek i tampon, pomyślał Habara. Może to powinien zapisać w dzienniku. „Złodziejka z miłości, ołówek i tampon”. Na pewno nikt tego nie zrozumie.

– Myślę, że wtedy spędziłam u niego w domu nie więcej niż piętnaście minut. Pierwszy raz weszłam bez pozwolenia do czyjegoś domu, poza tym ciągle się denerwowałam, że ktoś może niespodziewanie wrócić, więc nie mogłam długo tam zostać. Wyjrzałam na ulicę, po kryjomu wyszłam, zamknęłam drzwi na klucz i położyłam go w tym samym miejscu pod wycieraczką. A potem poszłam do szkoły. Z jego bardzo zużyтым ołówkiem jak skarbem.

Szeherezada milczała przez chwilę. Wydawało się, że wraca myślami do tamtych czasów i przygląda się różnym rzeczom.

– Potem przez tydzień czułam się zadowolona jak nigdy przedtem – powiedziała. – Pisałam w zeszytach tym jego ołówkiem. Wąchałam go, całowałam, przytulałam do policzka, pocierałam palcami... Czasami oblizywałam i ssałam. Kiedy nim pisałam, stawał się coraz krótszy. Oczywiście było mi przykro, ale nie mogłam nie pisać. Myślałam, że jak zrobi się za krótki i nie da się go już używać, pójdę i wezmę sobie drugi. W kubku na ołówki stojącym na jego biurku było całkiem dużo lekko używanych. Nie zorientował się, że jednego brakuje. Pewnie nie wiedział też, że w głębi dolnej szuflady ukryłam swój tampon. Ta myśl mnie strasznie podniecała. Czułam coś przedziwnego, jakby mrowienie w łądzwiach. Żeby je opanować, musiałam pod ławką pocierać o siebie kolana. Wcale mi nie przeszkadzało, że w prawdziwym życiu nawet na mnie nie spojrział, że prawie nie wiedział o moim istnieniu. Uważałam, że w sekrecie posiadałam część jego samego.

– To brzmi jak jakieś rytualne zaklęcie – powiedział Habara.

– Tak, może w pewnym sensie przypominało to zaklęcie – zgodziła się Szeherezada. – Później przypadkiem wpadła mi w ręce książka na temat zaklęć i też mi to przyszło do głowy. Ale wtedy byłam jeszcze w liceum i nie rozmyślałam nad tym tak głęboko. Po prostu poniosło mnie własne pragnienie. Jeśli będę dalej to robić, drogo za to zapłacę, myślałam. Gdyby ktoś nakrył mnie w cudzym domu, pewnie zostałabym relegowana ze szkoły, a gdyby sprawa się rozeszła, trudno byłoby nam dalej mieszkać w tym mieście. Wiele razy to sobie powtarzałam. Ale nic to nie dało. Pewnie głowa mi wtedy normalnie nie funkcjonowała.

Po dziesięciu dniach znowu poszła na wagary i skierowała się do domu chłopaka. Była jedenasta. Tak jak przedtem wzięła klucz spod wycieraczki i weszła do środka. Potem poszła na piętro. Jego pokój znów był idealnie uporządkowany, łóżko pięknie posłane. Szeherezada wzięła jeden lekko używany długi ołówek i ostrożnie włożyła do swojego piórnika. A potem pełna lęku położyła się na jego łóżku. Przygładziła spódnicę, złożyła dłonie na piersi i spojrzała na sufit. On co noc śpi w tym łóżku. Na tę myśl serce zabiło jej mocniej i zaparło jej dech w piersiach. Jakby powietrze nie mogło się dostać do płuc. W gardle poczuła suchość, bolało ją przy każdym oddechu.

Zrezygnowała z dalszego leżenia, wstała z łóżka, wygładziła kapę i tak jak przedtem usiadła na podłodze. Spojrzała na sufit. Jeszcze za wcześnie się kłaść na jego łóżku, powiedziała sobie. Bodziec był za silny.

Tym razem spędziła w jego pokoju około pół godziny. Przejrzała zeszyty w szufladzie. Przeczytała wypracowanie na temat książki *Sedno rzeczy* Sōsekiego Natsume, lektury zadanej na wakacje. Było napisane pięknym, starannym pismem, jak przystało na najlepszego ucznia. Nie dostrzegła żadnych błędów. Ocenione zostało na szóstkę. Nic dziwnego. Tak pięknie napisane wypracowanie każdy nauczyciel oceni na szóstkę, nawet jeśli porządnie go nie przeczyta.

Następnie Szeherezada otworzyła szufladę komody i przejrzała kolejno jej zawartość. Jego bielizna i skarpetki. Koszule, spodnie. Stroje do gry w piłkę. Każda sztuka starannie poskładana. Nic nie było poplamione ani znoszone.

Wszystko utrzymane w czystości. Czy to on tak poskładał? Czy to matka? Pewnie matka. Szeherezada poczuła okropną zazdrość, że matka może co dzień robić dla niego takie rzeczy. Przysunęła nos do szuflady i wąchała każdą sztukę. Wszystkie ubrania pachniały tak, jak pachną rzeczy porządnie uprane i wysuszone na słońcu. Wyciągnęła jeden gładki szary podkoszulek, rozłożyła i przysunęła do twarzy. Pomyślała, że może pod pachą został zapach jego potu. Ale nic nie poczuła. Mimo to długo przyciskała podkoszulek do twarzy i oddychała nosem. Pomyślała, że chce mieć ten podkoszulek. Ale to było chyba zbyt niebezpieczne. Wszystkie ubrania były tak starannie uporządkowane i poukładane. Być może on (albo matka) dokładnie wie, ile podkoszulków jest w szufladzie. Jeśli jednego zabraknie, może się z tego zrobić afera.

W końcu zrezygnowała z wzięcia podkoszulka. Złożyła go starannie i schowała do szuflady. Musiała być ostrożna. Nie mogła się narażać na niebezpieczeństwo. Tym razem postanowiła prócz ołówka zabrać metalowy znaczek w kształcie piłki nożnej znaleziony w głębi szuflady. Chyba był to znaczek jego drużyny ze szkoły podstawowej. Wyglądał na stary i niezbyt cenny. On pewnie nie zauważy, że zniknął. Albo zauważy dopiero po długim czasie. Przy okazji sprawdziła, czy w głębi dolnej szuflady nadal jest tampon, który tam ostatnim razem zostawiła. Był.

Szeherezada próbowała sobie wyobrazić, co się stanie, jeżeli jego matka odkryje tampon ukryty w głębi szuflady. Co sobie pomyśli? Czy od razu zażąda od syna wyjaśnień? Wytłumacz no mi, mój drogi,

dłaczego masz tampon? Czy też zachowa to dla siebie i pograży się w niepokojących domysłach? Szeherazada nie miała pojęcia, jak zachowują się matki w takich sytuacjach. Ale tampon postanowiła zostawić. Bo był jej pierwszym znakiem.

Tym razem zdecydowała się zostawić jako znak trzy włosy. Poprzedniego wieczoru wyrwała je sobie, owinęła plastikową folią i włożyła do małej kopertki. Wyjęła ją z plecaka i wsunęła do leżącego w szufladzie starego zeszytu do matematyki. To były proste czarne włosy, niezbyt długie i niezbyt krótkie. Bez badania DNA nie dałoby się stwierdzić, do kogo należą. Ale na pierwszy rzut oka było widać, że to włosy młodej kobiety.

Wyszła z domu chłopaka i ruszyła prosto do szkoły na pierwszą lekcję po przerwie obiadowej. Spędziła kolejnych dziesięć dni bardzo z siebie zadowolona. Zdawało jej się, że posiada teraz większą część chłopaka. No, ale oczywiście tak pięknie się wszystko nie skończyło. Bo jak sama Szeherazada powiedziała, zakradanie się do cudzego domu weszło jej w zwyczaj.

Przerwała i spojrzała na budzik przy łóżku.

– No, muszę zaraz lecieć – powiedziała jakby do siebie. Wstała i zaczęła się ubierać. Na zegarku była czwarta trzydzieści dwie. Włożyła prostą, zwykłą, białą bieliznę bez ozdób, stanik zapinany na plecach, szybko wciągnęła dżinsy i granatową bluzę od dresu ze znakiem Nike. W łazience starannie umyła mydłem ręce, przygładziła szybko włosy szczotką i odjechała niebieską mazdą.

Habara został sam, nie miał specjalnie nic do roboty, więc, jak krowa przeżuwająca trawę, przemyśliwał po kolei to, co Szeherazada opowiedziała mu w łóżku. Jak zwykle w przypadku jej historii nie miał pojęcia, w jakim kierunku rozwinie się opowieść. Prawie nie potrafił sobie wyobrazić, jak ta kobieta wyglądała w drugiej klasie liceum. Czy wtedy była jeszcze szczupła? Czy chodziła w szkolnym mundurku, nosiła białe skarpetki i zaplatała włosy w warkocze?

Nie miał jeszcze apetytu, postanowił przed przygotowaniem posiłku poczytać książkę, którą wcześniej zaczął, ale za nic nie mógł się skupić na lekturze. W myślach mimowolnie pojawiały mu się obrazy Szeherazady wkradającej się na piętro albo przyciskającej do twarzy i wachającej podkoszulek kolegi. Chciał jak najszybciej usłyszeć dalszy ciąg opowieści.

Szeherazada przyszła do Domu trzy dni później, zaraz po weekendzie. Jak zawsze posegregowała zakupy przyniesione w dużych papierowych torbach, sprawdziła terminy przydatności do spożycia produktów w lodówce, część usunęła, potwierdziła, że jest zapas konserw i przetworów, upewniła się, że nie kończą się przyprawy, i zrobiła listę zakupów na następny raz. Włożyła do lodówki nowe butelki Perrier, żeby się schłodziły. A potem ułożyła na stole przyniesione książki i DVD.

– Czegoś potrzebujesz albo chcesz?

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odpowiedział Habara.

Potem jak zwykle poszli do łóżka i uprawiali seks. Po umiarkowanej grze wstępnej nałożył prezerwatywę (ze względów medycznych Szeherazada wymagała, żeby była nałożona od samego początku do końca), wszedł w nią i po odpowiednim czasie miał wytrysk. Może nie wykonywał tych czynności z obowiązku, ale nie wkładał też w nie wiele serca. Szeherazada zawsze starała się uważać, żeby w jego czynnościach nie było nadmiernej pasji. Tak samo instruktor jazdy nie oczekuje od kursanta zbyt dużego zaangażowania. Po sprawdzeniu doświadczonego wzrokiem, że Habara wydzielił do prezerwatywy odpowiednią ilość nasienia, Szeherazada rozpoczęła dalszy ciąg opowieści.

Po drugiej sekretnej wizycie w domu chłopaka Szeherazada znów przez dziesięć dni była bardzo zadowolona. Ukryła znaczek w kształcie piłki w piórniku. W czasie lekcji co pewien czas go gładziła. Lekko gryzła ołówek, lizała grafit. I myślała o jego pokoju. O jego biurku, o łóżku, w którym spał, o komodzie pełnej je-go ubrań, o jego zwykłych białych slipach, o tamponie i trzech włosach ukrytych w zeszycie schowanym w szufladzie biurka.

Od kiedy zaczęła się zakradać do jego domu, trudno jej było skupić się na nauce. W czasie lekcji pogrążała się w snach na jawie albo oddawała się głaskaniu jego ołówka czy znaczka. Po powrocie do domu nie mogła się jakoś zabrać do odrabiania lekcji. Przedtem miała niezłe stopnie. Nie była najlepszą uczennicą w klasie, ale dzięki wrodzonej pracowitości miała zwykle całkiem dobre wyniki. Dlatego teraz, kiedy wywołana do odpowiedzi milczała, nauczyciele byli raczej zaskoczeni niż rozgniewani. Kilka razy wzywali ją w czasie przerwy do pokoju nauczycielskiego, żeby zapytać: „Coś ci się stało? Masz jakieś zmartwienie?”. Ale nie bardzo potrafiła odpowiedzieć na takie pytania. „Ostatnio nie najlepiej się czuję...”, wyjąkała. Nie mogła przecież powiedzieć: „Zakochałam się w jednym chłopaku, czasami zakradam się w ciągu dnia do jego domu, ukradłam mu ołówek i znaczek, kiedy się nimi bawię, jestem w siódmym niebie, nie potrafię myśleć o niczym innym”. Była to jej ciężka, ponura tajemnica, której ciężar musiała dźwigać sama.

– Doszło do tego, że musiałam regularnie wkradać się do jego domu – powiedziała Szeherazada. – Sam rozumiesz, że to była bardzo niebezpieczna zabawa. Takie chodzenie po linie musiało się źle skończyć. Sama to wiedziałam. „Kiedyś ktoś na pewno mnie zauważy, a wtedy zawiadomi policję”. Na tę myśl ogarniał mnie straszliwy niepokój. Ale nie dało się zatrzymać jadącego z górki wozu. W dziesięć dni po drugiej „wizycie” nogi same poniosły mnie do jego domu. Bałam się, że jeśli tam nie pójde, mogę zwariować. Teraz mi się zdaje, że wtedy naprawdę lekko zwariowałam.

– A mogłaś tak często po prostu nie chodzić sobie do szkoły? – zapytał Habara.

– Rodzice prowadzili własną firmę, byli zajęci i prawie nie zwracali na mnie uwagi. Nigdy przedtem nie było ze mną żadnych problemów i nigdy się im nie sprzeciwiałam. Więc uznali, że nie muszą mnie pilnować. Bez trudu fałszowałam usprawiedliwienia, naśladowując charakter pisma matki. Pisałam, z jakiej przyczyny opuściłam lekcje, składałam podpis i przybijałam pieczętkę[9]. Wychowawcy już wcześniej powiedziałam, że mam problemy zdrowotne i czasem będę musiała opuścić poranne lekcje, żeby iść do lekarza. W klasie było kilkoro uczniów, którzy przez wiele dni nie przychodzili do szkoły, więc wychowawca nimi się zajmował i nikt się nie martwił, jeśli czasami nie było mnie przez pół dnia.

Szeherazada spojrzała na budzik elektroniczny przy łóżku, a potem mówiła dalej.

– Znowu wzięłam klucz spod wycieraczki, otworzyłam drzwi i weszłam do środka. W domu było cicho jak zawsze, a raczej jeszcze bardziej niż zawsze. Włączanie się i wyłączanie lodówki brzmiało jak westchnienia wielkiego zwierzęcia, co mnie dziwnie przerażało. Do tego raz zadzwonił telefon. Głośny irytujący dźwięk rozszedł się echem po domu. Omal nie dostałam zawału. Oblał mnie pot. No, ale oczywiście nikt nie odebrał i telefon umilkł dopiero po dziesięciu dzwonekach. Kiedy ucichł, cisza stała się jeszcze głębsza.

Tego dnia Szeherazada leżała długo na wznak na łóżku chłopaka. Serce nie waliło jej tak jak przedtem i udało jej się uspokoić oddech. Poczwała się nawet tak, jakby on spał cicho obok, jakby spali razem.

Gdyby trochę wyciągnęła rękę, mogłaby dotknąć jego silnego ramienia. Ale oczywiście naprawdę wcale go obok nie było. Spowijały ją tylko chmury snów na jawie.

Potem nabrała wielkiej ochoty, żeby poczuć jego zapach. Podniosła się i sprawdziła podkoszulki w komodzie. Wszystkie były pięknie uprane, wysuszone na słońcu i starannie zwinięte jak rolady. Usunięto z nich brud i zapachy. Tak samo jak przedtem.

Nagle przyszło jej coś do głowy. To mogło się udać. Szybkim krokiem zeszła na dół. W przedsionku łazienki znalazła kosz na brudną bieliznę. Podniosła pokrywę. Były tam ubrania trzech osób: jego, matki i młodszej siostry. Prawdopodobnie z jednego dnia. Szeherezada wyjęła męski podkoszulek. Biały, z okrągłym wycięciem pod szyję, marki BVD. Powąchała. Niewątpliwie poczuła zapach potu młodego mężczyzny. Duszący zapach. Czuła go czasem, stojąc obok kolegów z klasy. Nie był to zapach radujący serce. Ale zapach jego potu *bezgranicznie* ją uszczęśliwił. Kiedy wciągnęła w nozdrza woń spod pach, poczuła się, jakby chłopak otoczył ją ramionami i mocno objął.

Zabrała podkoszulek na piętro i położyła się znowu na jego łóżku. Przyciskając go do twarzy, wąchała bez końca zapach potu. Poczuła ociążałość w lędźwiach. Poczuła też, że jej sutki twardnieją. Czy niedługo zacznie jej się miesiączka? Nie, jeszcze na to za wcześnie. Pewnie to z powodu pożądania seksualnego, domyśliła się. Nie wiedziała, co z nim zrobić, jak sobie z nim poradzić. A przynajmniej *tutaj* nic nie mogła zrobić. Przecież była w jego pokoju, na jego łóżku.

Szeherezada postanowiła zabrać ten przeпоcony podkoszulek do domu. Oczywiście było to niebezpieczne. Matka prawdopodobnie zauważy jego brak. Może nie przyjdzie jej do głowy, że ktoś go ukradł, ale będzie się dziwiła, co mogło się z nim stać. Dom był tak czysty i uporządkowany, że matka musiała mieć hyzja na punkcie sprzątania. Jeśli coś zginie, na pewno przeszuka wszystko. Jak dobrze wyszkolony pies policyjny. I pewnie znajdzie w pokoju ukochanego syna ślady zostawione przez nią. Ale choć Szeherezada była tego świadoma, nie chciała się rozstać z podkoszulkiem. Jej umysł nie potrafił przekonać serca.

Co powinnam zostawić w zamian? – zastanawiała się. Postanowiła zostawić majtki. Zupełnie zwyczajne, stosunkowo nowe, czyste majtki, włożone dziś rano. Może je wepchnąć w głąb szafy. Wydawało jej się, że świetnie nadają się na wymianę. Ale kiedy je zdjęła, zorientowała się, że w kroku są ciepłe i wilgotne. To z powodu pożądania, pomyślała. Powąchała, ale nic nie poczuła. Nie mogła jednak zostawić w jego pokoju czegoś tak naznaczonego pożądaniem. Zdawało jej się, że to byłoby dla niej poniżające. Włożyła majtki z powrotem i zdecydowała, że zostawi coś innego. Co by się nadawało?

Szeherezada umilkła. Przez dłuższy czas się nie odzywała. Z zamkniętymi oczami oddychała spokojnie przez nos. Habara też milczał i leżąc, czekał, aż zacznie mówić.

– Słuchaj, Habara... – powiedziała po chwili, otwierając oczy. Pierwszy raz wymówiła jego nazwisko.

Habara spojrzał na nią.

– Mógłbyś to jeszcze raz zrobić? – zapytała.

– Myślę, że tak.

Więc znowu uprawiali seks. Jej ciało zachowywało się zupełnie inaczej niż przedtem. Było w środku miękkie i wilgotne. Skóra też stała się lśniąca i naprężona. Ona teraz na nowo naprawdę przeżywa to, jak zakradła się do domu kolegi, domyślił się Habara. A raczej, ta kobieta *naprawdę* cofnęła czas i znów ma siedemnaście lat. Jakby cofała się do poprzedniego wcielenia. Ona *to* potrafiła. Umiała nawet siebie

wciągnąć w tę niezwykłą umiejętność opowiadania. Jakby wybitny hipnotyzer sam siebie zahipnotyzował za pomocą lustra.

Uprawiali seks gwałtownie jak nigdy przedtem – długo i namiętnie. Na koniec miała wyraźny orgazm. Jej ciało kilka razy gwałtownie drgnęło. W tamtej chwili jej twarz się zupełnie zmieniła. Habara potrafił zobaczyć oczyma wyobraźni, jak wyglądała jako siedemnastoletnia dziewczyna, jakby przez wąską szparę udało mu się zerknąć na jakiś krajobraz. Trzymał w ramionach zmagającą się z problemami siedemnastolatkę zamkniętą przypadkiem w ciele zwyczajnej trzydziestopięcioletniej gospodyni domowej. Habara wyraźnie to sobie uświadomił. Leżąc z zamkniętymi oczami i lekko drżąc na całym ciele, w zapamiętaniu wahała przepocony męski podkoszulek.

Po seksie Szeherezada dalej nie opowiadała. Nie sprawdziła jak zwykle zawartości prezerwatywy. Leżeli tylko w milczeniu obok siebie. Z szeroko otwartymi oczami patrzyła prosto w sufit. Jak minóg patrzący z dna na jasną powierzchnię wody.

Jak by to było dobrze, gdybym w innym życiu, w innym czasie był minogiem – bezimiennym minogiem, a nie ograniczonym mężczyzną nazwiskiem Nobuyuki Habara. Oboje byłiby sobie minogami, przyssaliby się obok siebie przyssawkami do kamienia i kołysząc się w wodzie, czekali, aż w górze przepłynie majestatycznie tłusty pstrąg.

– I co tam w końcu zostawiłaś w zamian za podkoszulek? – zapytał Habara, przerywając milczenie.

Szeherezada nie odzywała się przez chwilę, pogrążona w milczeniu.

– W końcu nic nie zostawiłam. Bo nie miałam nic, co mogłabym zostawić w zamian za podkoszulek z jego zapachem, co dałoby się z nim porównać. Więc tylko wyniosłam go po kryjomu. I wtedy stałam się zwykłą złodziejką, okradającą pusty dom.

Kiedy dwanaście dni później Szeherezada poszła po raz czwarty do domu chłopca, w drzwiach był nowy zamek. W jasnym świetle południa lśnił dumnie złotym metalem i wydawał się bardzo solidny. Pod wycieraczką nie było już klucza. Zniknięcie podkoszulka syna z kosza na brudy musiało wzbudzić podejrzenia matki. Byстрыm wzrokiem omiotła cały dom i zauważyła, że dzieją się w nim jakieś dziwne rzeczy. Może ktoś tu wchodzi pod ich nieobecność. I zamek w drzwiach wejściowych od razu został zmieniony. Ocena matki była całkowicie trafna, a podjęte działania błyskawiczne. Oczywiście Szeherezada na widok nowego zamka poczuła rozczarowanie, któremu towarzyszyła ulga. Jakby ktoś zaszedł ją od tyłu i zdjął jej z barków wielki ciężar. *Już nie muszę się tu zakradać*, pomyślała. Gdyby zamek nie został zmieniony, pewnie w nieskończoność by się tam włamywała, a jej zachowanie za każdym razem stawałoby się bardziej ekstremalne. To prędzej czy później skończyłoby się katastrofą. Ktoś z domowników wróciłby nieoczekiwanie, podczas gdy ona byłaby na piętrze. Gdyby się tak stało, nie miałyby jak uciec. I nie miałyby nic na swoje usprawiedliwienie. Na pewno kiedyś by do tego doszło. Udało jej się uniknąć takiej dramatycznej sytuacji. Nigdy nie spotkała jego obdarzonej sokolim wzrokiem matki, ale może powinna jej być wdzięczna.

Codziennie przed snem wahała przyniesiony od niego podkoszulek. Usypiała, kładąc go obok siebie. Przed wyjściem do szkoły zawijała w papier i chowała, żeby nikt go nie znalazł. Gdy po kolacji wracała do swojego pokoju, wyciągała podkoszulek, głaskała go i wahała. Martwiła się, że z upływem czasu zapach może osłabnąć i się ulotnić, jednak nic takiego się nie stało. Zapach jego potu przeniknął podkoszulek jak niezatarte ważne wspomnienie.

Na myśl, że nie może już zakradać się do jego domu (że nie musi się zakradać), jej głowa, co prawda powoli, ale jednak wracała do normalnego stanu. Świadomość zaczęła normalnie funkcjonować. Coraz mniej śniła na jawie w czasie lekcji, zaczęło do niej częściowo docierać, co mówią nauczyciele. Ale

zamiast ich słuchać, skupiała się na obserwowaniu chłopaka. Pracowicie przyglądała się, czy w jego zachowaniu nie zauważy jakiejś zmiany, czy nie wykazuje on żadnej nerwowości. Jednak zachowywał się dokładnie tak samo jak przedtem. Jak zawsze wybuchał serdecznym śmiechem, a wywołany przez nauczyciela szybko i jasno dawał prawidłową odpowiedź, po lekcjach zaś z zapalem trenował piłkę nożną. Głośno pokrzykiwał i bardzo się pocił. W ogóle nie sprawiał wrażenia, że spotkało go coś dziwnego. Co za strasznie normalny człowiek, myślała z podziwem. *Bez wad.*

Ale ja znam jedną jego wadę, pomyślała. Albo coś *zblizonego do wady*. Pewnie nikt inny o niej nie wie. Tylko ja (choć matka też może wiedzieć). Kiedy po raz trzeci zakradła się do jego domu, znalazła kilka magazynów porno przemyślnie ukrytych w głębi szafy. Było w nich wiele zdjęć nagich kobiet. Miały rozsunięte nogi i ukazywały swoje waginy. Były też zdjęcia par uprawiających seks, w bardzo nienaturalnych pozycjach. Penisy jak pałki wsuwane były do wnętrza kobiet. Szeherezada po raz pierwszy w życiu widziała takie zdjęcia. Siedząc przy jego biurku, przewracała strony magazynów i z wielkim zainteresowaniem przyglądała się zdjęciom. Wyobrażała sobie, że on pewnie się onanizuje, patrząc na nie. Ale to nie wzbudziło w niej niechęci. Nie była też rozczarowana tym ukrytym aspektem jego natury. Rozumiała, że to jest naturalne. Wyprodukowane nasienie musiało zostać gdzieś wydalone. Tak działa ciało mężczyzny (to coś mniej więcej podobnego do miesiączki u kobiet). W tym sensie był zupełnie normalnym nastoletnim chłopcem, a nie rycerzem bez skazy i zmyy ani świętym. Dowiedziawszy się tego, Szeherezada poczuła ulgę.

– Niedługo po tym, kiedy przestałam się zakradać do jego domu, powoli zaczęło mi przechodzić to gwałtowne zadurzenie. Jakby fale przypływu po trochu podmywały rewę. Nie wiem dlaczego, ale przestałam już z takim zapalem wachać jego podkoszulek i coraz rzadziej w zapamiętaniu głaskałam ołówki i znaczki. Zupełnie jakby spadła mi po chorobie gorączka. To nie było *jak* choroba, to była prawdziwa choroba. Przez pewien czas wywoływała wysoką gorączkę i zamęt w głowie. Może każdy człowiek raz w życiu przechodzi taki bezsensowny okres. Albo to było coś szczególnego, co tylko mnie się przytrafiło. A ty? Zdarzyło ci się coś takiego?

Habara się zastanowił, ale nic mu nie przyszło do głowy.

– Myślę, że nie zdarzyło mi się nic aż tak nietypowego – powiedział.

Szeherezadę chyba nieco te słowa rozczarowały.

– W każdym razie po skończeniu liceum nie wiadomo kiedy o nim zapomniałam. Tak zupełnie, że sama się zdziwiłam. Nie mogłam sobie nawet przypomnieć, co mnie w nim tak pociągało, kiedy miałam siedemnaście lat. Życie jest dziwne, prawda? Zdarza się, że rzeczy, które w pewnym momencie wydawały nam się pełne blasku i absolutne, rzeczy, dla których gotowi byliśmy wszystko rzucić, po upływie pewnego czasu albo widziane pod nieco innym kątem, zaczynają się wydawać zadziwiająco wyblakłe. I sam człowiek nie rozumie, co dawniej w nich widział. I to koniec mojej opowieści pod tytułem *Okres włamań*.

Brzmi to, jakby mówiła o błękitnym okresie Picassa, pomyślał Habara.

Lecz dobrze rozumiał, co chciała przez to powiedzieć.

Spojrzała na zegar przy łóżku. Niedługo musiała wracać. Po chwili ciszy pełnej znaczenia powiedziała:

– Ale prawdę mówiąc, to nie jest koniec opowieści. Chyba po czterech latach, w drugim roku szkoły pielęgniarskiej, dość dziwnym zbiegiem okoliczności znowu go spotkałam. Jego matka odegrała w tym

dużą rolę i nawet przypominało to trochę historię o duchach. Nie wiem, czy uwierzysz. Opowiedzieć ci?

– Koniecznie.

– No to następnym razem – powiedziała Szeherazada. – To długa historia, a zaraz muszę iść do domu robić obiad.

Wstała, włożyła bieliznę, pończochy, koszulkę na ramiączkach, spódnicę i bluzkę. Habara przyglądał się beczynnie z łóżka jej kolejnym czynnościom. Chyba bardziej interesujące jest, jak kobiety się ubierają, niż jak się rozbierają, pomyślał.

– Przynieść ci jakąś książkę do czytania? – zapytała Szeherazada, wychodząc.

Habara odparł, że nic mu nie przychodzi do głowy. Tylko chcę usłyszeć dalszy ciąg twojej opowieści, pomyślał, ale nie powiedział tego głośno. Bo wydawało mu się, że jeśli to powie, nigdy nie usłyszy tej historii.

Tego dnia położył się wcześniej i rozmyślał o Szeherazadzie. Martwiło go, że może więcej nie przyjść. To wcale nie było wykluczone. Nie mieli żadnej prywatnej umowy. Kontakt z nią został mu zapewniony przez kogoś innego i ten ktoś mógł dla kaprysu w każdej chwili go przerwać. Łączyła ich jedynie jedna cienka nić. Prawdopodobnie kiedyś, nie prawdopodobnie – *na pewno* kiedyś to się skończy. Nić się urwie. Prędzej czy później, ale niewątpliwie. A kiedy Szeherazada zniknie, Habara nie będzie już mógł słuchać jej opowieści. Nurt opowieści zostanie przerwany, kilka przedziwnych historii, które miały być opowiedziane, zniknie bez opowiedzenia.

Albo odebrana mu zostanie cała wolność i w rezultacie zostanie oddzielony nie tylko od Szeherazady, ale od wszystkich kobiet. To też jest całkiem możliwe. Jeśli do tego dojdzie, nie będzie mógł już nigdy wejść w ich wilgotne ciała. Nie będzie mógł wyczuć ich delikatnego drżenia. Ale dla Habary najtrudniejsza będzie nie utrata seksu, ale bliskości, którą oboje odczuwali po seksie. Strata kobiety w sumie na tym polega. Kobiety dawały człowiekowi szczególne chwile, które, choć związane z rzeczywistością, także tę rzeczywistość unieważniały. A Szeherazada dostarczała mu tych chwil często i nieskończenie wiele. I to, że będzie musiał kiedyś je utracić, napawało go większym smutkiem niż cała reszta.

Habara zamknął oczy i przestał myśleć o Szeherazadzie. Wyobraził sobie minogi. Minogi bez żuchw przyssane do kamieni, ukryte wśród roślin wodnych, kołyszące się w wodzie. Stał się jednym z nich i czekał, aż przyplynie pstrąg. Lecz choć długo czekał, żaden się nie pojawiał. Ani chudy, ani tłusty – żaden. Wkrótce słońce zaszło i wszystko wypełniła głęboka ciemność.

Ten mężczyzna zawsze zajmował to samo miejsce. Najdalszy stółek przy barze. Oczywiście pod warunkiem że nie był zajęty, ale zazwyczaj nie był. W barze nigdy nie było tłoku, do tego to miejsce było najmniej rzucające się w oczy i niezbyt sympatyczne. Ponieważ zaraz obok znajdowały się schody, sufit był ukośnie nachylony i niski, więc przy wstawaniu trzeba było uważać, żeby się nie uderzyć w głowę. Mężczyzna był wysoki, ale to miejsce najbardziej przypadło mu do gustu. Kino dobrze pamiętał, kiedy ten człowiek po raz pierwszy przyszedł do baru.

Po pierwsze dlatego, że był kompletnie łysy (niebieskawa skóra wyglądała, jakby dopiero co ogolił głowę), był szczupły, ale barczysty, do tego wystające kości policzkowe, szerokie czoło i przenikliwy wzrok. Wiek chyba po trzydziestce. Mimo że nie padało i nie zanosilo się na deszcz, miał na sobie długi popielaty płaszcz przeciwdeszczowy. Kino najpierw pomyślał, że może jest gangsterem. Dlatego czuł się nieco spięty i starał się zachować ostrożność. W chłodny wieczór w połowie kwietnia, kilka minut przed ósmą w barze nie było innych klientów. Mężczyzna wybrał stółek na końcu kontuaru, usiadł, powiesił płaszcz, cichym głosem zamówił piwo, a potem tylko siedział i czytał grubą książkę. Wyraz jego twarzy świadczył, że jest bardzo skupiony na czytaniu. Po półgodzinie, gdy dopił piwo, podniósł lekko rękę, by zawołać Kino, i zamówił whisky. Na pytanie, jaki gatunek sobie życzy, powiedział, że nie ma ulubionego.

– Jakąś zwykłą szkocką, podwójną. Proszę dodać tyle samo wody i trochę lodu.

Jakąś zwykłą szkocką? Kino nalał do szklanki White Label, dodał tyle samo wody, pokruszył lód i włożył dwa małe kawałki. Mężczyzna wypił łyk, posmakował i zmrużył oczy.

– Może być.

Czytał książkę jeszcze przez pół godziny, potem wstał i zapłacił gotówką. Odliczył dokładną sumę, tak że nie trzeba było wydawać reszty[10]. Kino odetchnął z ulgą po wyjściu tego klienta, lecz przez pewien czas czuł jeszcze jego obecność. Przygotowując za kontuarem potrawę, co pewien czas zerkał na zwolnione przez mężczyznę miejsce, bo zdawało mu się, że ktoś tam podnosi rękę i czegoś się od niego domaga.

Mężczyzna zaczął często odwiedzać bar Kino. Przychodził raz, najwyżej dwa razy w tygodniu. Najpierw pił piwo, potem zamawiał whisky (White Label, tyle samo wody, trochę lodu). Czasami zamawiał drugą, ale zazwyczaj poprzestawał na jednej. Zdarzało się też, że czytał z tablicy jadłospis na ten dzień i zamawiał coś lekkiego.

Był małomówny. Nawet kiedy zaczął przychodzić często, odzywał się tylko wtedy, gdy składał zamówienie. Na widok Kino lekko kiwał głową, jakby mówił: „Poznaję pana”. Przychodził stosunkowo wczesnym wieczorem z książką pod pachą, kładł ją na barze i czytał. To były grube książki w sztywnych okładkach. Kino nigdy nie widział go czytającego wydania kieszonkowe. Gdy zmęczyło go czytanie (to znaczy prawdopodobnie go zmęczyło), podnosił wzrok i przyglądał się kolejno stojącym na półce butelkom. Zupełnie jakby badał wzrokiem jakieś rzadkie wypchane zwierzęta z dalekich krajów.

Kino pomału do niego przywykł i przestał się czuć spięty w jego obecności, nawet kiedy byli w barze sami. Kino też był z natury małomówny i nie ciążyło mu milczenie. Mężczyzna pograżał się w lekturze, a Kino zachowywał się tak, jakby był sam: zmywał naczynia, przygotowywał sosy, wybierał płyty albo siadał i czytał wieczorne wydanie gazety razem z porannym.

Kino nie znał nazwiska mężczyzny, choć ten wiedział, jak Kino się nazywa. Bar też nazywał się „Kino”. Mężczyzna się mu nie przedstawił, a Kino specjalnie się nie dopytywał. Był po prostu stałym klientem, który pił piwo i whisky, w milczeniu czytał książkę i płacił gotówką. Nikomu nie sprawiał kłopotu. Kino nie musiał nic więcej o nim wiedzieć.

Przez siedemnaście lat Kino pracował w firmie produkującej sprzęt sportowy. W czasie studiów na Akademii Wychowania Fizycznego był bardzo dobrym biegaczem na średnie dystanse, ale na trzecim roku miał kontuzję ścięgna Achillesa i zrezygnował z udziału w drużynie sponsorowanej przez korporację. Po studiach dzięki wsparciu trenera został przyjęty jako zwykły pracownik do tej firmy. Zajmował się głównie butami do biegania. Jego praca polegała na tym, żeby umieścić w sklepach sportowych w całym kraju jak najwięcej produktów swojej firmy i namówić jak najwięcej czołowych sportowców do korzystania właśnie z ich butów. Była to średniej wielkości firma z centralą w Okayamie, mniej znana niż Mizuno czy Asics. Nie miała też mocy kapitałowej, żeby jak Nike czy Adidas podpisywać milionowe kontrakty na wyłączność z gwiazdami sportu. Nie dostawał pieniędzy na koszty reprezentacyjne, żeby pozyskać słynnych zawodników. Jeżeli chciał zaprosić zawodnika na kolację, musiał zaoszczędzić z funduszy na delegację albo płacić z własnej kieszeni.

Ale w jego firmie obuwie dla najlepszych sportowców wyrabiano ręcznie, wyjątkowo starannie, nie zważając na koszty, i wielu sportowców bardzo doceniało taką dbałość o jakość produktów. Motto prezesa, założyciela firmy, brzmiało: „Uczciwa praca daje owoce”. Takie zwyczajne podejście, niezwracanie uwagi na trendy rynkowe, pasowało do charakteru Kino. Nawet ktoś tak małomówny jak on i tak jak on trudno zjednujący sobie ludzi dawał sobie jakoś radę w dziale sprzedaży. Trenerzy mu ufali, a zawodnicy (choć nie było ich zbyt wielu) prywatnie lubili właśnie dzięki tym cechom.

Uważnie słuchał każdego zawodnika, kiedy ten tłumaczył mu, jakich butów potrzebuje, potem wracał do firmy i przekazywał wszystko osobie odpowiedzialnej za produkcję. Praca była dość ciekawa i miał poczucie, że robi coś wartościowego. Zarabiał niezbyt dużo, ale zajęcie to pasowało do jego usposobienia. Choć sam nie mógł już biegać, przyjemnie było mu patrzeć na obiecujących pełnych werwy zawodników biegających w pięknym stylu po bieżni na stadionie.

Zrezygnował z pracy nie dlatego, że nie dawała mu satysfakcji. Był to raczej efekt niespodziewanych problemów w małżeństwie. Dowiedział się, że najbliższy kolega z biura ma romans z jego żoną.

Kino spędzał więcej czasu w delegacjach niż w domu w Tokio. Z wielką treningową torbą wypchaną próbkami butów objeżdżał sklepy ze sprzętem sportowym w całym kraju, odwiedzał miejscowe uczelnie i firmy, które miały drużyny lekkoatletyczne. Tych dwoje spotykało się pod jego nieobecność. Kino długo nie wyczuwał, że coś jest nie tak. Myślał, że dobrze się mu z żoną układa, nigdy jej o nic nie podejrzewał. Gdyby kiedyś nie wrócił przypadkiem dzień wcześniej z delegacji, może nigdy by się nie zorientował.

Bez uprzedzenia zjawił się w ich wspólnym mieszkaniu w Kasai i zastał żonę nagą w łóżku z tym facetem. Kochali się w ich sypialni, w ich łóżku. Nie mogło być żadnych wątpliwości. Żona jakby przysiadła na mężczyźnie, więc kiedy Kino otworzył drzwi do pokoju, spojrzeli sobie prosto w oczy. Widział, jak jej kształtne piersi unoszą się i opadają. Miał wtedy trzydzieści dziewięć lat, żona trzydzieści pięć. Nie mieli dzieci. Kino odwrócił głowę, zamknął za sobą drzwi sypialni i wciąż z torbą na ramieniu, pełną rzeczy do prania z całego tygodnia, wyszedł i więcej nie wrócił. Następnego dnia zrezygnował z pracy.

Kino miał niezamężną ciotkę. Była starszą siostrą matki, miała ładną twarz. Od dzieciństwa okazywała mu wiele dobroci. Starszy od niej przyjaciel (a może należałoby powiedzieć kochanek), z którym była długo związana, hojnie obdarował ją niewielkim domkiem w Aoyamie. To było w dawnych dobrych czasach. Zamieszkała na piętrze, a na parterze otworzyła kawiarnię. Przed budynkiem był niewielki ogródek, ocieniała go wspinała wierzba płacząca z mnóstwem liści. Domek znajdował się w uliczce na

tyłach Muzeum Sztuki Nezu. Było to miejsce zupełnie nienadające się na lokal, ale ciotka miała niezwykle talent do przyciągania ludzi i kawiarnia nieźle prosperowała.

Jednak kiedy ciotka dobiegła sześćdziesiątki, zaczęła mieć kłopoty z biodrami i było jej coraz trudniej samodzielnie prowadzić lokal, więc wycofała się z interesu i postanowiła kupić mieszkanie w uzdrowisku z gorącymi źródłami na półwyspie Izu. Miała tam odpowiednie warunki do rehabilitacji. I dlatego zwróciła się do Kino z pytaniem: „Może chciałbyś przejąć kiedyś ten lokal?”. To było trzy miesiące przed odkryciem, że żona go zdradza. Kino podziękował ciotce za ofertę, ale powiedział, że w tej chwili nie ma takiego zamiaru.

Po odejściu z pracy zadzwonił do ciotki i zapytał, czy już sprzedała kawiarnię. Powiedziała, że dała ogłoszenie do agencji, ale na razie nikt nie był poważnie zainteresowany. Kino oznajmił, że gdyby to było możliwe, chciałby tam otworzyć bar. Mógłby od niej wynajmować lokal i płacić jej co miesiąc czynsz.

– A co z pracą w firmie? – zapytała ciotka.

– Niedawno oszedłem.

– Żona nie będzie miała nic przeciwko temu?

– Myślę, że niedługo się rozwiedziemy.

Kino nie wyjaśnił przyczyny, ciotka nie pytała. Po drugiej stronie słuchawki zapadło krótkie milczenie. Potem ciotka wymieniła sumę, którą chciałaby dostawać w formie czynszu. Była znacznie niższa, niż Kino się spodziewał.

– Tyle chyba będę mógł płacić. Pewnie dostanę trochę odprawy z firmy, więc myślę, że nie wpędzę cioci w kłopoty finansowe – powiedział.

– Nie przejmuj się takim rzeczami – rzuciła krótko ciotka.

Rzadko ze sobą rozmawiali (matka wolała, żeby nie był z ciotką w zbyt bliskich stosunkach), ale od dawna zdumiewająco dobrze się rozumieli. Wiedziała, że Kino dotrzymuje obietnic.

Wykorzystując połowę oszczędności, Kino przerobił wnętrze lokalu na bar. Wyposażył go w prostym stylu, zainstalował długi kontuar z grubych desek, kupił nowe krzesła. Nakleił tapety w spokojnych kolorach, zmienił oświetlenie na pasujące do miejsca, w którym pije się alkohol. Przyniósł z domu niewielką kolekcję płyt i ustawił na półce. Miał też nie najgorszy system audio: gramofon Thorensa i wzmacniacz Luxmana oraz niewielkie głośniki JLB 2-way. Kupił je, z trudem zgromadziwszy pieniądze jeszcze w okresie kawalerskim. Od dawna lubił słuchać starego jazzu z płyt gramofonowych. Było to jego jedyne hobby, którego nie podzielał nikt ze znajomych. Poza tym na studiach pracował jako barman w pubie w Roppongi, więc większość drinków potrafił zrobić z pamięci.

Postanowił nazwać bar „Kino”. Nic lepszego nie przyszło mu do głowy. W pierwszym tygodniu nie pojawił się ani jeden klient. Ale Kino był na to przygotowany, więc wcale się nie przejął. Nikomu ze znajomych nie powiedział, że otwiera bar. Nie reklamował się, nie umieścił nawet rzucającego się w oczy szyldu. Otworzył bar w bocznej uliczce i teraz po prostu czekał, a przyjdzie ktoś, kto go zauważy i kto lubi takie miejsca. Miał jeszcze trochę pieniędzy z odprawy, a mieszkająca oddzielnie żona nie stawiała mu żadnych żądań natury finansowej. Zamieszkała już z dawnym kolegą Kino, więc ich wspólne mieszkanie w Kasai stało się niepotrzebne. Postanowili je sprzedać i podzielić się pieniędzmi, które zostaną po spłaceniu kredytu. Kino zamieszkał nad barem. Przez pewien czas powinien sobie jakoś poradzić.

W barze bez klientów Kino mógł wreszcie do woli słuchać muzyki i czytać książki, które od dawna chciał przeczytać. Jak spragniona deszczu sucha ziemia naturalnie przyjmował samotność, ciszę i odosobnienie. Często nastawiał płytę z solówkami fortepianowymi Arta Tatum. Pasowała do jego obecnego nastroju.

Z jakiegoś powodu nie czuł gniewu czy żalu do żony ani do dawnego kolegi, z którym go zdradziła. Oczywiście na początku doznał silnego szoku i przez pewien czas nie był w stanie trzeźwo myśleć, ale wkrótce doszedł do wniosku, że na takie rzeczy nie ma rady. W sumie musiało do czegoś takiego dojść. Prowadził życie bezproduktywne, nie miał żadnych szczególnych osiągnięć. Nie mógł nikogo uszczęśliwić i oczywiście sam nie był szczęśliwy. Nie potrafił już nawet ocenić, czym jest szczęście. Nie umiał też wyraźnie odróżnić takich doznań jak ból i gniew czy rozpacz i rezygnacja. Ledwo był w stanie znaleźć sobie miejsce, do którego mógł się przywiązać, tak żeby gdzieś nie odfrunęło sobie jego serce, które straciło głębię i ciężar. Tym konkretnie miejscem okazał się bar o nazwie Kino znajdujący się w bocznej uliczce. Stał się – w rezultacie – zadziwiająco sympatycznym miejscem.

Jako pierwsza odkryła, jak miło jest w barze „Kino”, dzika młoda kotka, popielata z długim, pięknym ogonem. Spodobała jej się półka w kącie baru, zwijała się tam w kłębek i zasypiała. Kino w miarę możliwości zostawiał ją w spokoju. Pewnie tego sobie życzyła. Raz dziennie ją karmił i zmieniał jej wodę. Niczego więcej nie robił. Zainstalował też małe drzwiczki, żeby kotka mogła sobie wchodzić i wychodzić, kiedy chciała. Ale z jakiegoś powodu wolała wchodzić i wychodzić razem z ludźmi, głównymi drzwiami.

Może to kot przyniósł mu szczęście. Wkrótce, co prawda dopiero po jakimś czasie, w Kino zaczęli pojawiać się klienci. Bar w bocznej uliczce, niewielki nierzucający się w oczy sztyld, wspaniała stara wierzba, małomówny właściciel w średnim wieku, stare płyty obracające się na talerzu gramofonu, zmieniający się codziennie jadłospis składający się z dwóch lekkich dań, popielaty kot leżący sobie w kącie. Pojawili się goście, którym się w barze spodobało, i zaczęli tam regularnie bywać. Zdarzało się, że przyprawdzali nowych gości. Bar nie cieszył się może wielką popularnością, ale zaczął przynosić dochód, który pozwalał na pokrycie czynszu. Kino to wystarczało.

Ten ogolony na łyso młody mężczyzna pokazał się po raz pierwszy dwa miesiące po otwarciu. Minęły kolejne dwa miesiące, zanim Kino poznał jego nazwisko. Nazywał się Kamita. Piszę się *kami* jak bóg i *ta* jak pole. Wyjaśnił, że czyta się to Kamita, nie Kanda. Powiedział to komuś innemu w obecności Kino.

Tego dnia padał deszcz. Niewielki, taki że człowiek zastanawia się, czy brać parasol. W barze prócz Kamity było dwóch facetów w ciemnych garniturach. Pół do ósmej. Kamita jak zwykle siedział na końcu baru, popijając White Label z wodą i czytając książkę. Tamci dwaj pili przy stoliku butelkę Haut Medoc. Po wejściu do baru wyjęli z papierowej torby butelkę wina i zapytali: „Czy jeśli zapłacimy pięć tysięcy jenów korkowego, możemy tu wypić to wino?”. Nigdy wcześniej nic takiego się nie zdarzyło, ale nie było powodu odmawiać, więc Kino powiedział: „Proszę bardzo”. Odkorkował butelkę i podał im dwa kieliszki. Podał im też talerzyk orzeszków. Niewielka fatyga. Niestety, obaj dużo palili, toteż nie przypadli do gustu nielubiącemu dymu Kino. Nie miał nic do roboty, więc usiadł na stołku i słuchał longplaya Colemana Hawkinsa z *Joshua Fit the Battle of Jericho*. Solówka basowa Majora Holleya była wspaniała.

Na początku dwaj mężczyźni pili sobie zwyczajnie po przyjacielsku, ale wkrótce zaczęli się o coś kłócić. Kino nie wiedział, o co im poszło, ale wyglądało na to, że ich poglądy w jakiejś kwestii nieco się

różniły i próby znalezienia punktów wspólnych spełzły na niczym. Obaj coraz bardziej angażowali się emocjonalnie i niewielka kłótnia wkrótce przerodziła się w awanturę. W pewnej chwili jeden z nich wstał, stolik się przechylił, pełna niedopałków popielniczka i kieliszek spadły na podłogę. Kieliszek stłukł się na drobne kawałeczki. Kino przyniósł szczotkę, zamiótł podłogę, podał im nowy kieliszek i popielniczkę.

Było jasne, że Kamicie (którego nazwiska Kino jeszcze wtedy nie znał) nie podoba się to aroganckie zachowanie. Wyraz twarzy mu się nie zmienił, ale palce lewej dłoni uderzały lekko o bar, jak palce pianisty, któremu jakiś dźwięk nie daje spokoju.

Trzeba to jakoś rozwiązać, pomyślał Kino. To on musiał opanować sytuację. Podeszedł do stolika i uprzejmie poprosił:

– Najmocniej przepraszam, ale czy panowie mogliby mówić trochę ciszej?

Jeden z mężczyzn podniósł na niego wzrok. Było to nieprzyjemne spojrzenie. Potem wstał. Kino wcześniej nie zauważył, że facet jest taki olbrzymi. Nie był bardzo wysoki, ale miał potężną klatkę piersiową i grube mocarne ramiona. Z taką sylwetką mógłby uprawiać sumo. Od dzieciństwa nigdy nie przegrał w bitce. Był przyzwyczajony do wydawania innym rozkazów. Nie lubił, kiedy ktoś mu coś kazał. Kino widział kilku takich facetów na Akademii Wychowania Fizycznego. Rozsądne argumenty do nich nie przemawiały.

Drugi był dużo drobniejszy. Chudy, blady, wyglądał na chytrusa. Z tych, co są dobrzy w podżeganiu innych do zrobienia czegoś, na czym im zależy. Takie sprawiał wrażenie. On też się powoli podniósł. Stali więc na wprost Kino. Wyglądało na to, że postanowili odłożyć kłótnię na potem i razem stawić opór Kino. Panowała między nimi całkowita zgoda. Zupełnie jakby po cichu spodziewali się, że dojdzie do takiej sytuacji.

– Co się stawiasz i przerywasz nam rozmowę? – powiedział duży niskim, suchym głosem.

Choć ich garnitury wyglądały na drogie, z bliska było widać, że wcale nie zostały dobrze uszyte. Nie byli prawdziwymi gangsterami, ale z pewnością należeli do półświatka. W każdym razie nie zajmowali się chyba żadną pracą, którą można by się pochwalić. Duży był ostrzyżony na rekruta, a drugi związał ufarbowane na brązowo włosy w mały ogonek na czubku głowy. Kino wiedział, że może się zrobić nieprzyjemnie. Poczuł, że się poci pod pachami.

– Przepraszam – odezwał się ktoś za nim.

Kino odwrócił się i zobaczył, że Kamita nie siedzi już na stołku, tylko stoi za jego plecami.

– Proszę nie mieć pretensji do właściciela – powiedział Kamita, wskazując Kino. – Panowie trochę za głośno mówili, więc poprosiłem, żeby zwrócił panom uwagę. Bo nie mogłem się skupić na czytaniu.

Kamita mówił spokojniej i wolniej niż zwykle, ale jego głos brzmiał tak, jakby gdzieś w głębi coś się w nim powoli zaczynało gotować.

– „Nie mogłem się skupić na czytaniu” – powtórzył cicho drobny. Jakby sprawdzał, czy gramatycznie wszystko się w tym zdaniu zgadza.

– A ty co, domu nie masz? – zapytał wielki facet Kamitę.

– Mam. Mieszkam tu niedaleko.

– To idź se poczytać w domu.

– Lubię czytać tutaj – stwierdził Kamita.

Tamci spojrzeli na siebie.

– Daj no tę książkę – powiedział drobny. – Ja ci poczytam.

– Lubię sam sobie czytać po cichu. Poza tym nie podobałoby mi się, gdybyś nie umiał przeczytać trudniejszych słów.

– Śmieszny facet – powiedział wielki. – Można pęc ze śmiechu.

– Ja ty się nazywasz? – zapytał Ogonek.

– Pisz się jak „boskie pole” i wymawia się Kamita, nie Kanda – odparł Kamita i tak Kino po raz pierwszy poznał jego nazwisko.

– Zapamiętam sobie – powiedział wielki.

– Dobry pomysł. We wspomnieniach jest siła.

– Tak czy inaczej, wyjdźmy na dwór. Tam se pogadamy – powiedział drobny.

– Proszę bardzo. Gdzie sobie panowie życzą. Ale może najpierw zapłacimy, żeby nie sprawiać kłopotu właścicielowi.

– Dobra – zgodził się drobny.

Kamita poprosił Kino o rachunki i zapłacił swój, kładąc na kontuarze dokładną sumę z końcówką drobnymi. Ten z ogonkiem wyjął z portfela banknot dziesięciotysięczny i rzucił na stół.

– Czy to pokryje też ten stłuczony kieliszek?

– Tak, w pełni pokryje – odparł Kino.

– Co za dziadowski lokal – szydził wielki.

– Reszty nie trzeba, więc kup jakieś lepsze kieliszki – dodał ten z ogonkiem. – W tych dobre wino źle smakuje.

– Naprawdę dziadowski lokal – powtórzył wielki.

– Tak, to jest dziadowski lokal, bo przychodzą dziadowscy klienci – powiedział Kamita. – Dla panów się nie nadaje. Jest na pewno wiele innych, które się dla panów nadadzą. Co prawda nie wiem gdzie.

– Ten facet mówi śmieszne rzeczy – powiedział wielki. – Można pęc ze śmiechu.

– To niech pan sobie potem je przypomni i spokojnie się pośmieje – odparł Kamita.

– Co ty nam tu będziesz gadać, co mamy zrobić albo nie – powiedział ten z ogonkiem. Powoli oblizał wargi długim językiem jak wąż patrzący na zdobycz.

Wielki otworzył drzwi i wyszedł, ten z ogonkiem poszedł za nim. Kot musiał wyczuć niepokój w atmosferze, bo też za nimi wybiegł, mimo że padało.

– Czy poradzi pan sobie? – zapytał Kino Kamitę.

– Nie ma sprawy – odparł Kamita z bladym uśmiechem. – Niech pan tu po prostu poczeka, niech pan nic nie robi. To nie zajmie dużo czasu.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Deszcz ciągle padał. Chyba nieco bardziej niż przed chwilą. Kino usiadł na stołku, tak jak mu kazał Kamita, i czekał, aż upłynie czas. Nie zapowiadało się na to, że przyjdą jacyś nowi klienci. Z zewnątrz nie dobiegały żadne dźwięki, było dziwnie cicho. Książka Kamity leżała otwarta na kontuarze i czekała jak posłuszny pies na powrót właściciela. Po jakichś dziesięciu minutach otworzyły się drzwi i Kamita wszedł sam do środka.

– Czy mógłbym prosić o ręcznik? – zapytał.

Kino podał mu świeży.

Kamita wytarł mokrą głowę, potem osuszył twarz i szyję, a na koniec ręce.

– Dziękuję. Już w porządku. Ci dwaj już się tu nie pokażą. Nie sprawią panu więcej kłopotu.

– Co tam się działo?

Kamita lekko pokręcił głową. Jakby mówił, że lepiej nie wiedzieć. Potem wrócił na swoje miejsce, dopił whisky i zabrał się jak gdyby nigdy nic do dalszej lektury. Wychodząc, chciał zapłacić, lecz Kino mu przypomniał, że już wcześniej to zrobił.

– Rzeczywiście – powiedział jakby zawstydzony, postawił kołnierz płaszcza, nałożył bawełnianą czapkę z rondkiem i wyszedł.

Po jego odejściu Kino przeszedł się po okolicy. W uliczce panowała cisza. Nie było żywego ducha. Nie było też śladów walki ani krwi. Co tu się mogło stać? Wrócił do baru i czekał na klientów, ale do zamknięcia nikt więcej się nie pojawił, kot też nie wrócił. Nalał do szklanki podwójną porcję White Label, dodał tyle samo wody, dwa kawałki lodu i napił się. Whisky nie była doskonała. Po prostu smakowała jak powinna. Ale, tak czy inaczej, tego wieczoru musiał się napić trochę alkoholu.

W czasie studiów, idąc kiedyś boczną uliczką w Shinjuku, widział gangstera bijącego się z dwójką młodych salarymanów. Gangster był w średnim wieku i wyglądał dość nędznie, salarymani byli więksi i silniejsi. I pijani. Dlatego pogardliwie potraktowali gangstera. Ale on chyba znał się na boksie. W pewnej chwili zwinął dłonie w pięści i bez słowa ich rozgromił z osłepiającą szybkością. A kiedy już leżeli, skopał ich jeszcze skórzanymi butami. Może złamał im kilka żeber. Słysząc było takie głucho trzaski. A potem odszedł, jak gdyby nic się nie stało. Tak się bije zawodowiec, pomyślał wtedy Kino. Nie gadał bez potrzeby. Obmyślił sobie kolejne ruchy. Rozgromił ich błyskawicznie, zanim zdążyli się przygotować. A potem zadał jeszcze decydujący cios leżącym. I odszedł. Amatorzy nie mieli szans.

Kino wyobraził sobie, jak Kamita tak samo w kilka sekund nokautuje tamtych dwóch.

Właściwie Kamita miał w sobie coś przywodzącego na myśl boksera. Ale Kino nie miał jak się dowiedzieć, co zaszło tej deszczowej nocy. Kamita też mu pewnie nie powie. Coraz więcej tajemnic.

W tydzień po tym wydarzeniu Kino przespał się z klientką. Była pierwszą kobietą, z którą uprawiał seks po rozstaniu z żoną. Miała trzydzieści lat albo była zaraz po trzydziestce. Można by się kłócić o to, czy zaliczała się do piękności, ale miała długie proste włosy, mały nosek i było w niej coś atrakcyjnego. Jej zachowanie i sposób mówienia miały w sobie coś leniwego, z jej twarzy trudno było wyczytać uczucia. Przedtem była już w barze kilka razy. Zawsze towarzyszył jej mężczyzna chyba w tym samym wieku co ona. Nosił okulary w szylkretowej oprawie i kozią bródkę w stylu beatników. Miał długie włosy i chodził bez krawata, więc pewnie nie był zwykłym pracownikiem korporacji na etacie. Ona zawsze chodziła w wąskich sukienkach, które pięknie podkreślały jej szczupłą figurę. Siadali przy barze i czasami rozmawiając po cichu, pili drinki albo sherry. Nigdy nie zostawali długo. Kino wyobrażał sobie, że wpadali na drinka przed seksem. A może po. Nie potrafił ocenić. Ale w ich sposobie picia alkoholu było coś kojarzącego się z seksem. Z długim i intensywnym seksem.

Twarze obojga zadziwiająco mało wyrażały i Kino nigdy nie widział, żeby kobieta się śmiała.

Czasami zwracała się do Kino. Zawsze mówiła coś na temat muzyki, którą akurat puszczał. Wymieniała nazwiska muzyków albo tytuły utworów. Powiedziała, że też lubi jazz i kolekcjonuje płyty gramofonowe.

– Ojciec często słuchał w domu takiej muzyki. Ja osobiście lubię nieco nowsze utwory, ale kiedy

słucham tych, ogarnia mnie tęsknota.

Kino nie potrafił z jej tonu ocenić, czy tęskni za muzyką, czy za ojcem. No, ale oczywiście nie pytał.

Prawdę mówiąc, Kino starał się raczej unikać rozmów z kobietą, bo towarzyszący jej mężczyzna wyglądał, jakby mu się te przyjazne stosunki nie podobały. Raz Kino rozmawiał z nią dłużej o muzyce (o sklepach w centrum ze starymi płytami, o tym, jak dbać o płyty) i od tego czasu mężczyzna za każdym razem rzucał mu zimne, podejrzliwe spojrzenia. Kino starał się na co dzień trzymać z daleka od tego typu kłopotliwych sytuacji. Wśród emocji, których ludzie doznają, zazdrość i duma są chyba najgorsze. Kino wiele razy znalazł się w trudnej sytuacji z powodu jednej albo drugiej.

Może ja mam w sobie coś, co działa jak bodziec na takie ciemne strony ludzkiej psychiki, myślał czasem.

Ale tego wieczoru kobieta przyszła do baru sama. Nie było innych gości. Od dłuższego czasu padał deszcz. Przez otwarte drzwi do wnętrza wpłynęło nocne powietrze przesycone zapachem deszczu. Kobieta usiadła przy barze, zamówiła brandy i poprosiła Kino, żeby nastawił Billie Holiday.

– Najlepiej coś wczesnego.

Kino nastawił starą płytę wytwórni Columbia, na której był utwór *Giorgia on My Mind*. Słuchali jej w milczeniu. Zapytała, czy mogliby też wysłuchać drugiej strony, więc posłusznie odwrócił płytę.

Nieśpiesznie wypiła trzy brandy i wysłuchiwała kilku starych płyt. *Moonglow* Errolla Garnera i *I Can't Get Started* Buddy'ego DeFranco. Na początku Kino myślał, że musi być umówiona z tym mężczyzną co zwykle, ale zbliżała się pora zamknięcia, a on się nie pojawiał. Chyba jednak na niego nie czekała, bo ani razu nie spojrzała na zegarek. Słuchała sama muzyki, w milczeniu nad czymś rozmyślała i popijała brandy. Zdawało się, że milczenie jej specjalnie nie ciąży. Brandy było trunkiem pasującym do milczenia. Można lekko kołysać kieliszkiem, podziwiać kolor, delektować się aromatem i tak zabijać czas.

Miała na sobie czarną sukienkę z krótkimi rękawami, na ramiona zarzuciła cienki granatowy zapinany sweter, w uszach lśniły kolczyki ze sztucznymi perełkami.

– Dzisiaj jest tu pani sama? – zdecydował się zapytać Kino, kiedy nadeszła pora zamknięcia baru.

– On dziś nie przyjdzie. Jest daleko stąd – powiedziała, wstając ze stołka. Podeszła do śpiącego kota i łagodnie pogłaskała go po grzbiecie czubkami palców. Kot spał dalej, nie zwracając na nic uwagi.

– Mamy zamiar się już więcej nie spotykać – dodała, jakby się zwierzała. A może mówiła do kota.

Tak czy inaczej, Kino i tak nie wiedział, co powiedzieć. Nic nie mówiąc, sprzątał więc za kontuarem. Umył deskę do krojenia, umył przybory kuchenne i schował do szuflady.

– Jak by to ująć... – kobieta przestała głaskać kota i postukując obcasami, podeszła do kontuaru – ... naszego związku nie da się nazwać zwyczajnym.

– Nie da się nazwać zwyczajnym – powtórzył Kino bez powodu.

Kobieta dopiła resztkę brandy z kieliszka.

– Chciałabym coś panu pokazać.

Bez względu na to, co to było, Kino wolałby tego nie oglądać. To było coś, czego *nie powinien oglądać*. Od początku o tym wiedział. Ale nie mógł znaleźć słów, których należało teraz użyć.

Kobieta zsunęła sweter i położyła na stołku. Potem podniosła ręce i odsunęła zamek z tyłu sukienki. Odwróciła się do Kino plecami. Pod białym stanikiem miała kilka jakby siniaków. Były bladobrazowe i ich nieregularny rozrzut przypominał gwiazdy w zimie. Ciemną, wygasającą grupę gwiazd. To mogły

być pozostałości po wysypce spowodowanej chorobą zakaźną. Albo ślady po oparzeniach.

Bez słowa długo pokazywała mu obnażone plecy. Świeża biel wyglądającego na nowy stanika jakoś złowieszczo kontrastowała z ciemnymi śladami. Kino wpatrywał się w jej plecy bez słowa jak ktoś, komu zadano pytanie, lecz on nie może pojąć jego treści. Nie mógł od nich oderwać wzroku. Wkrótce kobieta zapięła suwak i odwróciła się do Kino. Zarzuciła na ramiona sweter i, żeby zyskać na czasie, poprawiła włosy.

– Wypalone papierosami – powiedziała zwięźle.

Kino zabrakło na chwilę słów. Ale coś musiał powiedzieć.

– Kto mógł zrobić pani coś takiego? – wyjąkał z trudem.

Kobieta milczała. Wyglądało na to, że nie zamierza odpowiedzieć. Kino też specjalnie tego nie oczekiwał.

– Czy mogę prosić o jeszcze jeden kieliszek brandy? – zapytała.

Kino nalał jej. Wypiła łyk i raczyła się ciepłem schodzącym w dół przetyku.

– Wie pan co?

Kino przestał wycierać kieliszki, podniósł głowę i spojrzał na nią.

– Mam ich więcej – powiedziała głosem bez wyrazu. – W miejscach, które raczej trudno komuś pokazać.

Kino nie mógł sobie przypomnieć, co nim kierowało, że zdecydował się rozpocząć tej nocy związek z tą kobietą. Od początku wyczuwał w niej coś niezwykłego. Coś cichym głosem ostrzegało jego instynkt. Lepiej nie wdawać się z tą kobietą w bliższą znajomość. A do tego te oparzenia po papierosach na plecach. Kino był z natury ostrożny. Jeżeli koniecznie chciał iść z kimś do łóżka, mógł skorzystać z usług profesjonalnych. Wystarczyło zapłacić. Ta kobieta specjalnie go nie pociągała.

Ale tej nocy ona wyraźnie bardzo pragnęła iść z kimś do łóżka – konkretnie z Kino. Jej oczy nie miały głębi, tylko źrenice były dziwnie rozszerzone. Dostrzegł w nich zdecydowane, nieodwracalne lśnienie. Kino nie mógł się przeciwstawić ich mocy. Nie miał aż tyle siły.

Zamknął bar i razem weszli na górę. W świetle lampy w sypialni szybko zdjęła sukienkę, bieliznę i rozsunęła nogi. Potem pokazała mu te miejsca, które „trudno pokazać”. Kino odruchowo odwrócił wzrok. Ale musiał znowu spojrzeć. Nie mógł ani nie chciał pojąć, czym kieruje się serce mężczyzny, który tak okrutnie postępuje, i czym kieruje się serce kobiety, która tak długo to znosi. Był to dziki krajobraz nieurodzajnej planety oddzielonej o lata świetlne od świata, w którym żył. Kobieta wzięła go za rękę i powiodła ją ku bliznom po oparzeniach. Prowadziła ją kolejno po wszystkich. Miała je zaraz obok sutków i zaraz obok waginy. Jego prowadzone przez nią palce dotykały ciemnych zgrubień. Jakby ołówkiem łączył kolejne punkty i tworzył rysunek. Zdawało mu się, że ten kształt jest do czegoś podobny, ale w końcu z niczym mu się nie skojarzył. Potem kobieta rozebrała Kino i kochali się na macie. Bez słów, bez gry wstępnej, nie mieli nawet czasu zgasić światła ani wyciągnąć materaca. Jej długi język sięgał mu prawie do gardła, paznokcie wbijały się w plecy.

Jak para dzikich umierających z głodu zwierząt łapczywie pożerali się nawzajem pod lampą kilka razy. W różnych pozycjach, na rozmaite sposoby, prawie bez odpoczynku. Kiedy zaczęło się rozwidniać, weszli pod kołdrę i zasnęli jak pochłonięci przez ciemność. Kino obudził się trochę przed południem, a kobiety już nie było. Czuł się, jakby miał strasznie realny sen. Lecz oczywiście to nie był sen. Na

plecach miał głębokie ślady jej paznokci, na ramionach ślady zębów, a penis pulsował tęnym bólem jak wyżęty. Na poduszce wiło się kilka długich czarnych włosów, a prześcieradło przesiąkło silnym, nieznanym mu wcześniej zapachem.

Potem kilka razy przyszła do baru jako klientka. Zawsze towarzyszył jej mężczyzna z bródką. Siadali przy kontuarze, prowadząc ciche rozmowy, wypijali po drinku i wychodzili. Kobieta zamieniała z Kino parę słów, głównie na temat muzyki. Mówiła zupełnie obojętnym tonem, jakby wcale nie pamiętała, co zaszło między nimi pewnej nocy. Lecz w głębi jej oczu lśnił blask głębokiego pragnienia. Kino je dostrzegał. Było je tam niewątpliwie widać jak światło latarni w głębi zupełnie ciemnego tunelu. Ten skondensowany blask wyraźnie przypominał Kino ból paznokci wbijanych w plecy, uczucie, że jego penis jest ściskany jak w imadle, ruchliwy długi język, dziwny zapach pozostawiony na prześcieradle. Mówiły mu, że nie będzie mógł o tym wszystkim zapomnieć.

Kiedy kobieta rozmawiała z Kino, jej towarzysz uważnie i szczegółowo obserwował jego wyraz twarzy i zachowanie jak mól książkowy wprawiony w czytaniu między wierszami. Ci dwoje robili wrażenie, że spowija ich coś lepkiego. Jakby łączyła ich jakaś ponura, tylko im znana tajemnica. Kino nadal nie potrafił ocenić, czy przychodzą do baru przed seksem, czy po. Ale nie było wątpliwości, że albo jedno, albo drugie. A poza tym, o dziwo, żadne z nich nie paliło.

Ta kobieta pewnie znowu kiedyś tu przyjdzie sama, prawdopodobnie w deszczowy wieczór. Kiedy jej towarzysz z bródką będzie „daleko stąd”. Kino o tym wiedział. Mówił mu o tym głęboki blask w jej oczach. Usiądzie przy barze, wypije w milczeniu kilka brandy i poczeka, aż Kino zamknie bar. Potem pójdzie z nim na górę, zdejmie sukienkę, rozsunie nogi przy zapalonym świetle i pokaże mu nowe ślady oparzeń. Znow będą się kochać gwałtownie jak dzikie zwierzęta. Nie będą mieli czasu o niczym pomyśleć aż do białego rana. Kino nie wiedział, kiedy do tego dojdzie. Ale *kiedyś* dojdzie. Ona zdecyduje kiedy. Na tę myśl czuł suchość w gardle. Był to rodzaj pragnienia, którego nie da się ugasić, choćby wypił mnóstwo wody.

Pod koniec lata rozwód został wreszcie oficjalnie orzeczone i Kino spotkał się z żoną. Zostało kilka spraw, które musieli we dwoje omówić, a jej prawnik powiedział Kino, że żona chce z nim porozmawiać bez świadków. Spotkali się więc w barze Kino przed otwarciem.

Szybko omówili sprawy (Kino nie wyraził sprzeciwu wobec żadnych proponowanych przez nią warunków). Podpisali dokumenty i przybili pieczętki. Żona miała na sobie nową niebieską sukienkę, a włosy krótsze niż kiedykolwiek przedtem. Wyglądała na weselszą i zdrowszą. Ramiona i podbródek, które wcześniej się zaokrągląły, teraz ładnie wyszczuplały. Zaczęła nowe, prawdopodobnie bogatsze życie. Rozejrzała się po barze i powiedziała, że bardzo tu ładnie. Cicho, czysto, spokojna atmosfera, bardzo w twoim stylu. Potem na chwilę zapadło milczenie. *Ale nie ma tu nic, od czego serce by zadrżało...* Kino przypuszczał, że właśnie to chciała powiedzieć.

– Napijesz się czegoś? – zapytał.

– Jeśli masz czerwone wino, trochę się napiję.

Kino wyjął dwa kieliszki i nalał zinfandela z Doliny Napa. Pili w milczeniu. Nie mogli przecież wznosić toastu za uprawomocniony rozwód. Przyszedł kot i jak nigdy sam wskoczył Kino na kolana. Kino pogłaskał go za uszami.

– Muszę cię przeprosić – powiedziała żona.

– Za co? – zapytał Kino.

– Za to, że cię zraniłam. Chyba trochę cię to zraniło?

– No tak – powiedział Kino po chwili. – Ja też jestem jednak człowiekiem, więc można mnie zranić.

Na razie nie wiem, czy trochę, czy bardzo.

– Chciałam się z tobą spotkać, żeby cię przeprosić.

Kino skinął głową.

– No to przeprosiłaś, ja przyjąłem przeprosiny. Więc możesz się już nie przejmować.

– Zamierzałam wcześniej wszystko ci uczciwie wyznać, ale nie mogłam się na to zdobyć.

– Ale, tak czy inaczej, i tak skończylibyśmy tak jak teraz, prawda?

– Myślę, że tak – powiedziała żona. – Ale tak długo zwlekałam z powiedzeniem ci prawdy, że doszło do najgorszej możliwej sytuacji.

Kino w milczeniu podniósł kieliszek do ust. Prawdę mówiąc, powoli zaczynał zapominać, co się wtedy stało. Nie mógł sobie przypomnieć kolejności różnych wydarzeń. Jakby pomieszały się kartki z notatkami.

– To nie jest niczyja wina – powiedział. – Mogłem nie wracać o dzień wcześniej do domu. Albo cię wcześniej zawiadomić. Wtedy nie doszłoby do takiej sytuacji.

Żona się nie odzywała.

– Od kiedy miałaś z nim romans? – zapytał.

– Chyba lepiej o tym nie mówić.

– To znaczy lepiej, żebym nie wiedział?

Żona milczała.

– No tak, może i tak – przyznał Kino. Głaskał dalej kota. Kot głośno mruczał. Tego też nigdy przedtem nie robił.

– Nie mam prawa tego mówić – zaczęła kobieta, która dawniej była jego żoną – ale myślę, że powinieneś szybko zapomnieć o różnych rzeczach i znaleźć sobie kogoś nowego.

– Sam nie wiem.

– Na pewno jest gdzieś kobieta, która cię uszczęśliwi. Myślę, że nie będzie ci trudno kogoś takiego znaleźć. Ja tego nie potrafiłam i zachowałam się okrutnie. Jest mi z tego powodu strasznie przykro. Ale myśmy od początku byli niedopasowani. Myślę, że możesz być szczęśliwy bardziej zwyczajnie.

Niedopasowani, pomyślał Kino.

Kino spojrzał na jej nową niebieską sukienkę. Ponieważ siedzieli twarzami do siebie, nie wiedział, czy z tyłu ma suwak, czy guziki. Ale nie mógł przestać myśleć o tym, co by zobaczył, gdyby opuścił ten suwak albo odpiął guziki. To ciało już nie należało do niego. Nie mógł już na nie patrzeć ani go dotykać. Mógł sobie tylko wyobrażać. Kiedy zamykał oczy, niezliczone brązowe ślady po oparzeniach pełzały po jej gładkich białych plecach jak robaki i poruszały się we wszystkie strony. Potrząsnął kilka razy głową, chcąc odegnąć te nieszczęsne obrazy. Żona chyba źle zrozumiała znaczenie tego gestu.

Delikatnie położyła dłoń na jego ręce.

– Przepraszam – powiedziała. – Naprawdę cię przepraszam.

Nadeszła jesień i najpierw zniknął kot, a potem zaczęły się pojawiać węże.

Minęło parę dni, zanim się zorientował, że kot zniknął. Kot – nadal bezimienny – przychodził do baru tylko wtedy, kiedy miał ochotę, a bywało, że długo się w ogóle nie pokazywał. Koty ceniły sobie wolność. A tego chyba karmiono też gdzie indziej. Dlatego Kino nie martwił się, kiedy go nie było przez tydzień czy nawet dziesięć dni. Ale kiedy nie przyszedł przez dwa tygodnie, Kino trochę się zaniepokoił. Może miał wypadek? Kiedy nieobecność kota sięgnęła trzech tygodni, Kino instynktownie zrozumiał, że pewnie więcej nie wróci. Polubił go, a i kot chyba ufał Kino, który go karmił, przygotował mu legowisko i w miarę możliwości zostawiał go w spokoju. Kot odwdzięczał się za tę sympatię albo brak antypatii. Zdawało się, że pełni w barze rolę amuletu. Tak długo, jak spał spokojnie zwinięty na półce, nic złego nie mogło się zdarzyć. Takie Kino miał wrażenie.

Zaraz po zniknięciu kota wokół domu zaczęły się pojawiać węże. Najpierw widział ciemnobrązowego. Dość długiego. Pełznął sobie powoli, wijąc się w cieniu wierzby w ogródku przed domem. Kino zobaczył go, kiedy otwierał drzwi z torbą zakupów pod pachą. Wąż to rzadki widok w centrum Tokio. Trochę się zdziwił, ale szczególnie się nie przejął. Zaraz obok znajdował się duży ogród Muzeum Sztuki Nezu, w którym było mnóstwo roślin. Nie zdziwiłby się, gdyby były tam węże.

Ale kiedy dwa dni później otworzył rano drzwi, żeby wziąć gazetę, zobaczył w tym samym miejscu innego węża. Ten był niebieskawy. Mniejszy, miał w sobie coś obślizgłego. Zatrzymał się na widok Kino i lekko uniósłszy głowę, spojrzał na niego (a przynajmniej tak to wyglądało). Kiedy Kino wahał się, co zrobić, wąż opuścił głowę i szybko gdzieś się skrył. Kino nie mógł się oprzeć wrażeniu, że było w tym coś złowieszczonego. Zdawało mu się, że ten wąż go *zna*.

Trzeciego zobaczył po trzech dniach też prawie w tym samym miejscu. Znów pod wierzbą w ogródku. Ten był krótszy od tamtych dwóch, czarniawy. Kino nie znał się na gatunkach węży, ale ten zrobił na nim najgroźniejsze wrażenie. Wyglądał na jadowitego, choć Kino nie był pewien. Widział go tylko przez chwilę. Kiedy wąż wyczuł jego obecność, od razu zniknął w zaroślach. Trzy węże w jednym tygodniu to jednak za dużo. Może coś się w tej okolicy dzieje.

Kino zadzwonił do ciotki w Izu. Powiedział jej pokrótce, co słychać w barze, a potem zapytał, czy widziała kiedyś węża w okolicy domu w Aoyamie.

– Węża? – zawołała zdziwiona. – Takiego pełzającego?

Opowiedział jej o trzech kolejnych wężach, które zauważył przed domem.

– Długo tam mieszkałam, ale wiesz, chyba nigdy nie widziałam węża – powiedziała ciotka.

– Czyli trzy węże w ogrodzie w jednym tygodniu to coś nienormalnego?

– Tak, myślę, że to nie jest normalne. Może to zapowiada nadejście wielkiego trzęsienia ziemi albo coś w tym rodzaju? Bo mówią, że zwierzęta wcześniej wyczuwają nadejście wielkich zmian i zachowują się inaczej niż zwykle.

– Skoro tak, to może powinienem przygotować awaryjny zapas jedzenia – powiedział Kino.

– Może powinieneś. Jak się mieszka w Tokio, to wiadomo, że prędzej czy później znów przyjdzie trzęsienie ziemi.

– Ale czy węże tak się przejmują trzęsieniem ziemi?

Ciotka powiedziała, że nie wie, czym się węże przejmują. Kino też oczywiście nie wiedział.

– Ale węże to z natury mądre zwierzęta – dodała ciotka. – W starożytnych mitach często pokazują ludziom drogę. To jest, o dziwo, wspólne dla mitów wszystkich kultur. Ale człowiek nie wie, czy to jest

dobra, czy zła droga, póki się nią nie pójdzie. A raczej w wielu przypadkach coś jest dobre, ale jednocześnie złe.

– Dwuznaczne – powiedział Kino.

– Tak, tak, węże to zawsze były dwuznaczne stworzenia. A największy i najmądrzejszy spośród nich chowa gdzieś swoje serce, żeby nie zginąć. Dlatego jeśli chce się go zabić, trzeba wyczekać na odpowiedni moment, znaleźć jego bijące serce i przeciąć je na dwoje. To oczywiście nie jest prosta sprawa.

Kino był pełen podziwu dla wiedzy ciotki.

– Ostatnio na kanale NHK nadawali program porównujący mity świata i mówił o tym jakiś profesor. W telewizji często mówią pożyteczne rzeczy. Nie wszystko jest beznadziejne. Jak będziesz miał czas, też sobie pooglądaj telewizję.

Po rozmowie z ciotką jedno stało się jasne: pojawienie się w ogrodzie w jednym tygodniu trzech różnych węży nie było normalnym zjawiskiem.

O dwunastej Kino zamykał bar, ryglował drzwi i szedł na górę. Brał kąpiel, czytał trochę, przed drugą gasił światło i zasypiał. Czuł, że o tej porze otaczają go węże. Że niezliczone węże owijają się wokół domu. Czuł ich sekretną obecność. O północy ta okolica cichła i nie było słychać żadnych dźwięków prócz – czasami – karetek pogotowia. Nie było nawet słychać pełzania węży. Zablokował deską drzwiczki zainstalowane dla kota. Żeby węże nie mogły się dostać do domu.

Wyglądało na to, że przynajmniej w tej chwili nie zamierzają mu nic zrobić. Dwuznacznie otaczają jedynie ten niewielki dom. Może dlatego ta popielata kotka przestała przychodzić? Kobieta z bliznami po oparzeniach też się od pewnego czasu nie pokazywała. Kino bał się, że przyjdzie kiedyś sama w deszczowy dzień, a jednocześnie w głębi serca sekretnie tego pragnął. To też była jedna z dwuznaczności.

Pewnego wieczoru przed dziesiątą pojawił się Kamita. Zamówił piwo, wypił podwójną whisky White Label i zjadł gołąbki. Nigdy nie przychodził tak późno i nie siedział tak długo. Czasami podnosił wzrok znad książki i gapił się na ścianę przed sobą. Zdawało się, że nad czymś głęboko rozmyśla. Czekał, aż przyjdzie pora zamknięcia i on będzie ostatnim gościem.

– Proszę pana – zaczął oficjalnym tonem – niezmiernie mi przykro, że doszło do takiej sytuacji.

– Do *takiej sytuacji*? – powtórzył mimowolnie Kino.

– Do sytuacji, że musi pan zamknąć ten bar. Choćby tymczasowo.

Kino zamurowało, więc patrzył tylko na Kamitę. Zamknąć bar?

Kamita rozejrzał się po pustym barze. Potem spojrzął na Kino i powiedział:

– Zdaje się, że pan jeszcze nie bardzo rozumie, co mówię.

– Tak, nie bardzo pojmuję, o co chodzi.

Kamita mówił dalej, jakby konfidencjonalnie:

– Mnie się tu bardzo podobało. Można było spokojnie poczytać, muzyka też była w moim guście. Cieszyłem się, że tu powstał taki bar. Ale niestety wygląda na to, że wielu rzeczy *brakuje*.

– *Brakuje*? – powtórzył Kino. Nie rozumiał, co konkretnie te słowa oznaczają. Do głowy przychodziła mu tylko miseczka do ryżu z trochę wyszczerbionym brzeżkiem.

– Ten popielaty kot już tu pewnie nie wróci – powiedział Kamita, ignorując pytanie Kino. – Przynajmniej w najbliższym czasie.

– Dlatego że to miejsce jest *wybrakowane*?

Kamita nie odpowiedział.

Kino rozejrzał się uważnie po barze, idąc za przykładem Kamity, ale nie zauważył nic innego niż zwykle. Tylko poczuł, że jest jakoś puściej, że bar stracił żywotność i barwy. Po zamknięciu każdy lokal wygląda na pusty, ale mimo wszystko dziś było tu inaczej.

Kamita mówił dalej:

– Pan nie należy do ludzi, którzy sami z siebie robią coś złego. Ja o tym dobrze wiem. Ale są na tym świecie sytuacje, kiedy nie wystarczy *nie robić* czegoś niesłusznego. Takie luki mogą zostać sprytnie wykorzystane przez innych. Rozumie pan, o czym mówię?

Kino nie rozumiał i powiedział, że nie rozumie.

– Niech pan się nad tym dobrze zastanowi – ciągnął Kamita, patrząc mu prosto w oczy. – To ważny problem wymagający głębokiego zastanowienia. Chociaż pewnie niełatwo będzie panu znaleźć odpowiedź.

– Czy chodzi panu o to, że powstał ważny problem nie dlatego, że zrobiłem coś niesłusznego, tylko dlatego że *nie zrobiłem* czegoś słusznego? Czegoś dotyczącego baru czy mnie.

Kamita skinął głową.

– Ściśle mówiąc, pewnie tak było. Ale nie tylko pan jest temu winien. Sam mogłem się wcześniej zorientować. To też wina mojej nieuwagi. Na pewno nie tylko ja, ale *każdy* się tu dobrze czuł.

– To co ja mam teraz zrobić? – zapytał Kino.

Kamita stał w milczeniu z rękami w kieszeniach płaszcza. Potem powiedział:

– Zamknąć na pewien czas bar i wyjechać daleko. W tej chwili nie pozostaje panu nic innego. Jeżeli zna pan jakiegoś ważnego mnicha buddyjskiego, może pan poprosić, żeby odczytał sutry i porozklejał karteczki z modlitwami odstraszającymi zło. Ale w dzisiejszych czasach trudno kogoś takiego znaleźć. Więc lepiej się stąd oddalić przed nadejściem następnego dużego deszczu. Przepraszam, że pytam, ale czy ma pan pieniądze na długą podróż?

– Zależy, na jak długą, ale na pewien czas mi wystarczy – powiedział Kino.

– To dobrze. A o tym, co będzie później, pomyśli pan sobie później.

– Ale kim pan właściwie jest?

– Ja się nazywam Kamita – powiedział Kamita. – Pisze się jak „boskie pole”, ale nie wymawia się Kanda. Od dawna tu mieszkam.

Kino zdecydował się i zapytał:

– Chciałbym zadać panu jedno pytanie. Czy widział pan kiedyś w tej okolicy węże?

Kamita nie odpowiedział na jego pytanie, tylko mówił dalej:

– Rozumie pan? Pojedzie pan daleko i będzie pan jak najczęściej zmieniał miejsce pobytu. I jeszcze jedno: proszę co tydzień w poniedziałek i czwartek koniecznie wysłać widokówkę. Dzięki temu będzie wiadomo, że jest pan bezpieczny.

– Widokówkę?

– Dowolną widokówkę z tamtych okolic.

– Ale dokąd mam je wysłać?

– Najlepiej do ciotki na Izu. Nie wolno panu pisać nadawcy ani żadnej treści. Proszę tylko umieścić adresata. To bardzo ważne, więc proszę pod żadnym pozorem nie zapomnieć.

Kino patrzył na niego zdziwiony.

– Pan dobrze zna moją ciotkę?

– Tak, dobrze znam szanowną ciocię. Prawdę mówiąc, już dawno mnie prosiła o przysługę. Miałem pilnować, żeby nic złego pana nie spotkało. Ale wygląda na to, że zawiodłem jej oczekiwania.

Kim jest ten człowiek? Ale tak długo jak Kamita sam tego nie wyjawia, Kino nie miał jak się dowiedzieć.

– Zawiadomię pana, kiedy będzie pan mógł wrócić. Do tego czasu proszę się trzymać z dala od tego miejsca. Rozumie pan?

Tego wieczoru Kino spakował się na wyjazd. „Lepiej się stąd oddalić przed nadejściem następnego dużego deszczu”. Była to bardzo nagła wiadomość. Kamita niczego mu nie wyjaśnił, nie podał zrozumiałego uzasadnienia. Ale Kino wierzył mu bez zastrzeżeń. To była szalona historia, lecz z jakiegoś powodu nie miał wątpliwości, co powinien zrobić. W słowach Kamity była tajemnicza siła przekonywania, zwyciężająca logikę. Ubrania i przybory toaletowe zmieściły się w średniej wielkości torbie na ramię. Kiedy pracował w firmie produkującej sprzęt sportowy, pakował się do tej torby, jeżdżąc w delegacje. Dobrze wiedział, co będzie mu potrzebne, a co niepotrzebne w długiej podróży.

Rano przymocował pinezką do drzwi wejściowych kartkę: „Bar będzie przez pewien czas nieczynny. Przepraszam”. Kamita powiedział „daleko”, ale Kino nie miał pomysłu, dokąd pojechać. Nie wiedział nawet, czy na północ, czy na południe. Postanowił więc wyruszyć trasą, którą często jeździł, sprzedając obuwie sportowe. Pojechał autobusem pośpiesznym do Takamatsu na wyspie Shikoku. Po objechaniu wyspy zamierzał ruszyć na Kyushu.

Zatrzymał się w tanim hotelu koło dworca i spędził w Takamatsu trzy dni. Włączył się po mieście, obejrzał kilka filmów. W ciągu dnia wszystkie kina były puste i wszystkie filmy nudne. O zmierzchu wracał do hotelu i włączał telewizor. Za radą ciotki oglądał głównie programy edukacyjne, ale nie znalazł w nich żadnych przydatnych informacji. Drugi dzień po przyjeździe wypadł w czwartek, więc kupił w sklepie całodobowym widokówkę, przykleił znaczek i wysłał do ciotki. Tak jak mu kazał Kamita, napisał tylko jej nazwisko i adres.

Wieczorem trzeciego dnia nagle przyszło mu do głowy, żeby sobie wynająć prostytutkę. Telefon podał mu taksówkarz. Trafiła mu się młoda, około dwudziestoletnia dziewczyna, miała ładne, szczupłe ciało. Ale seks z nią był od początku do końca nijaki. Było to tylko zaspokajanie pożądania, ale właściwie nie bardzo mu się udało je zaspokoić. A wręcz pragnienie zaspokojenia wzrosło.

„Niech pan się nad tym dobrze zastanowi – powiedział Kamita. – To ważny problem wymagający głębokiego zastanowienia”.

Lecz choć głęboko się zastanawiał, nie rozumiał, na czym właściwie ów problem polega.

Tej nocy padał deszcz. Był to charakterystyczny dla jesieni długi deszcz, niezbyt gęsty, ale taki, który nigdy nie ustaje. Jak czyjeś monotonne zwierzenia z wieloma powtórzeniami nie miał w sobie przerw ani

różnorodności. Kino nie mógł sobie nawet przypomnieć, kiedy zaczął padać. Wywoływał zimne i wilgotne uczucie bezsilności. Kino nie miał nawet ochoty iść gdzieś pod parasolem na kolację. Lepiej nic nie jeść. Okno przy łóżku pokryły krople, ciągle przybywało nowych. Kino obserwował drobne zmiany deseni na szybie, a jego myśli błądziły w przestrzeni. Za tymi deseniami rozciągały się bez celu ciemne ulice. Nalał sobie do szklanki whisky z piersiówki, dolał tyle samo wody mineralnej i napił się. Bez lodu. Nie chciało mu się wychodzić na korytarz do automatu po lód. Ta letnia temperatura trunku dobrze pasowała do uczucia ociężałości, które go ogarnęło.

Zatrzymał się w tanim hotelu koło dworca Kumamoto na wyspie Kyushu. Niski sufit, wąskie łóżko, mały telewizor, mała wanna, maleńka lodówka. Wszystko w pokoju było niewielkie. Będąc tam, czuł się nieomal jak niezdarny olbrzym. Ale ta ciasnota specjalnie mu nie przeszkadzała i spędził cały dzień zamknięty w pokoju. Padał deszcz, więc z wyjątkiem jednego wyjścia do pobliskiego sklepu całodobowego nigdzie nie chodził. W sklepie kupił piersiówkę whisky, wodę mineralną i krakersy. Leżał na łóżku i czytał, a kiedy czytanie go znużyło, oglądał telewizję, a gdy i telewizja go znużyła, wracał do lektury.

To był trzeci dzień w Kumamoto. Miał jeszcze dość pieniędzy na koncie i gdyby chciał, mógłby się zatrzymać w lepszym hotelu, ale zdawało mu się, że w tej chwili pasuje do niego takie miejsce. Jeśli spokojnie siedział w takiej niewielkiej przestrzeni, nie musiał niepotrzebnie się zastanawiać i wszystko miał na wyciągnięcie ręki. Czuł z tego powodu nieoczekiwaną radość.

Gdybym tylko jeszcze mógł posłuchać muzyki, niczego by mi nie brakowało, myślał.

Teddy Wilson, Vic Dickenson, Buck Clayton – czasami miał straszną ochotę posłuchać takiego starego jazzu. Solidna technika, proste akordy, czysta radość z samej gry, wspaniały optymizm. Teraz potrzebna mu była właśnie tego typu muzyka, dziś już nieistniejąca. Ale jego kolekcja płyt była daleko. Przywołał w myślach wnętrze baru Kino po zamknięciu, ciemne i ciche. Duża wierzbka w głębi bocznej uliczki. Klienci, którzy odchodzą zrezygnowani na widok kartki o zamknięciu baru. Co się mogło stać z kotem? Nawet jeśli wrócił, na pewno był rozczarowany, że drzwiczki zostały zablokowane. I czy te tajemnicze węże dalej cicho otaczają dom?

Naprzeciwko jego okna na siódmym piętrze znajdowało się okno niewielkiego biurowca. To był niezbyt elegancki, wąski i wysoki budynek. Od rana do wieczora Kino mógł obserwować przez szybę ludzi pracujących na piętrze naprzeciwko. W niektórych oknach żaluzje były spuszczone, więc widok miał tylko fragmentaryczny i nie mógł się zorientować, co to za firma. Faceci w krawatach wchodzili i wychodzili, kobiety uderzały w klawiatury komputerów, odbierały telefony i segregowały dokumenty. Nie był to szczególnie interesujący widok. Twarze i ubrania pracowników były jednolicie nijakie. Kino przyglądał im się długo i bez znużenia tylko z tej przyczyny, że nie miał nic innego do roboty. Najbardziej nieoczekiwane, czy zadziwiające, było to, że ci ludzie czasami wyglądali na bardzo zadowolonych. Niektórzy nawet wybuchali serdecznym śmiechem. Jak im się udawało mieć taki dobry humor, mimo że cały dzień pracowali w tym pozbawionym wszelkiego uroku biurze i wykonywali takie nieciekawe prace (a przynajmniej tak się wydawało Kino)? Czy kryła się w tym jakaś ważna tajemnica, której on nie potrafi zrozumieć? Na tę myśl poczuł lekki niepokój.

Niedługo musiał się przenieść gdzie indziej. Kamita powiedział mu, żeby „jak najczęściej zmieniał miejsce pobytu”. Ale z jakiegoś powodu Kino nie mógł się ruszyć z tego ciasnego pokoju hotelowego w Kumamoto. Nie przychodziło mu też do głowy żadne miejsce, do którego chciałby pojechać, nie było żadnych widoków, które chciałby obejrzeć. Świat wydawał się wielkim morzem bez żadnych punktów orientacyjnych, a Kino był małą łódką, która straciła mapę morską i kotwicę. Kiedy rozkładał mapę

Kyushu i zastanawiał się, dokąd pojechać, ogarniały go lekkie mdłości, jakby dostawał choroby morskiej. Leżał na łóżku, czytając, a czasami podnosił głowę i obserwował ludzi w biurówcu naprzeciwko. Wraz z upływem czasu doznawał uczucia, że jego ciało traci ciężar, a skóra staje się przezroczysta.

Poprzedniego dnia był poniedziałek, więc Kino kupił w hotelowym sklepiku widokówkę z zamkiem Kumamoto, napisał długopisem nazwisko i adres ciotki na Izu. Nakleił znaczek. Potem odwrócił widokówkę i nieobecny wzrokiem długo wpatrywał się w zamek. Było to bardzo konwencjonalne zdjęcie, jak większość zdjęć na widokówkach. Bryła zamku dumnie wznosząca się tle błękitnego nieba i białych chmur. Z tyłu wydrukowano wyjaśnienie: „Zamek Kumamoto, znany też jako Zamek Miłorzębu. Jeden z trzech najsłynniejszych zamków w Japonii”. Choć długo się wpatrywał, nie mógł dostrzec nic, co łączyłoby go z tym zamkiem. Pod wpływem impulsu odwrócił widokówkę i napisał do ciotki:

Jak się Ciocia miewa? Czy nie dokuczają Cioci biodra? Ja jeszcze ciągle jeżdżę sam z miejsca na miejsce. Czasami zdaje mi się, że stałem się w połowie przezroczysty. Niedługo może będzie mi widać wnętrzości jak u świeżo złowionej kałamarnicy. Ale prócz tego mam się ogólnie nieźle. Zamierzam niedługo wpaść na Izu. Kino.

Kino nie potrafił zrozumieć, czym się kierował, pisząc coś takiego. Kamita surowo mu tego zabronił. „Nie wolno panu napisać nic prócz adresata. Proszę o tym nie zapomnieć”, mówił. Ale Kino nie mógł się opanować. Muszę się jakoś połączyć z rzeczywistością, myślał. Jeśli tego nie zrobię, przestanę być sobą. Stanę się mężczyzną, którego *nie ma*. Jego ręka nieomal automatycznie zapełniła białe pole widokówki drobnymi zdecydowanymi literami. Potem, zanim zmienił zdanie, pośpiesznie wrzucił kartkę do skrzynki w pobliżu hotelu.

Kiedy się obudził, cyfry na elektronicznym zegarze przy łóżku wskazywały, że jest druga piętnaście. Ktoś pukał do drzwi. Nie było to silne pukanie, ale krótkie i intensywne, jakby doświadczony cieśla wbijał gwóźdź. I ten ktoś wiedział, że Kino dobrze je słyszy. Wyrwało go w środku nocy z głębokiego snu, z przelotnej chwili błogosławionego odpoczynku, by nieomal okrutnie uczynić go całkowicie, w pełni świadomym.

Kino wiedział, kto puka. Pukanie domagało się, żeby wstał z łóżka i otworzył drzwi. Twardo i uparcie. Ten ktoś nie mógł otworzyć drzwi z zewnątrz. Musiały zostać otwarte od wewnątrz przez Kino. Uświadomił sobie na nowo, że ta wizyta była czymś, czego najbardziej pragnął, a jednocześnie tym, czego się najbardziej obawiał. Tak, dwuznaczność oznacza w sumie to, że powstaje próżnia między dwiema krańcowościami. „Chyba trochę cię to zraniło?” – zapytała żona. „Ja też jestem jednak człowiekiem, więc można mnie zranić” – odpowiedział Kino. Ale to nieprawda. A przynajmniej w połowie kłamstwo. *Nie zostałem wystarczająco zraniony, kiedy powinienem być zraniony*, przyznał Kino. Kiedy powinienem odczuć prawdziwy ból, zdusiłem w sobie silne doznania. Ponieważ nie chciałem zaakceptować bolesnych doznań, unikałem spojrzenia prawdzie w oczy i w rezultacie mam teraz takie puste, pozbawione treści serce. Węże opanowały to miejsce i starają się ukryć tam swoje chłodno bijące serca.

„Na pewno nie tylko ja, ale *każdy* się tu dobrze czuł” – powiedział Kamita. Kino w końcu zrozumiał, co tamten chciał powiedzieć.

Naciągnął kołdrę na głowę, zamknął oczy, zatkał uszy i uciekł do swojego ciasnego świata. Przykazał sobie: nie patrz, nie słysz. Lecz nie mógł wyciszyć tego dźwięku. Gdyby nawet uciekł na koniec świata, zakleił uszy gliną, tak długo jak by żył, tak długo jak zostałyby mu choć odrobina świadomości, ten

dźwięk by go dosięgnął. Nie pukano do drzwi pokoju hotelowego, a do drzwi jego serca. Ludzie nie mogą uciec od takiego dźwięku. A od świtu dzieliło go jeszcze wiele godzin (zakładając, że świt w ogóle jeszcze nadejdzie).

Nie wiedział, jak wiele czasu minęło, ale nagle się zorientował, że pukanie ustało. Wokół panowała cisza jak po ciemnej stronie księżyca. Mimo to Kino siedział dalej nieruchomo z głową pod kołdrą. Musiał być czujny. Siedział cicho jak mysz, wyęczał słuch i próbował wyczuć w ciszy jakiś złowieszczy znak. To coś za drzwiami tak łatwo nie zrezygnuje. Nie musi się śpieszyć. Nie ma księżyca. Na niebie unoszą się tylko ciemne gasnące gwiazdy. Jeszcze przez pewien czas świat będzie do nich należał. *Oni* znają różne sposoby. Żądania mogą przybrać rozmaite formy. Ciemne korzenie mogą urosnąć i dosięgnąć każdego krańca ziemi. Cierpliwie i nieśpiesznie znajdą słabe punkty i potrafią rozkruszyć nawet litą skałę.

Wkrótce, tak jak się spodziewał, pukanie znów się rozległo. Ale tym razem dochodziło z innego kierunku. Dźwięk też był inny. Bliższy, jakby dosłownie przy samym jego uchu. Jakby ten *ktoś* był teraz tuż za oknem. Prawdopodobnie przyłgnał do ściany na siódmym piętrze budynku, przykleił twarz do okna i stuka *puk, puk* w mokrą od deszczu szybę. Nie mogło być inaczej.

Rytm stukania się nie zmieniał. Dwa razy. Raz po raz. Krótka przerwa i znowu dwa razy. To się na okrągło powtarzało. Dźwięk się dziwnie wzmacniał i słabł. Jak szczególne, pełne emocji bicie serca.

Zasłony były odsunięte. Przed zaśnięciem przyglądał się bez celu deseniom tworzonym na szybie przez krople deszczu. Wyobrażał sobie mniej więcej, co by zobaczył teraz za ciemną szybą, gdyby wystawił głowę spod kołdry. Nie, nie wyobrażał sobie. Musi powstrzymać takie czynności umysłu jak wyobrażanie sobie.

Tak czy inaczej, nie wolno mi *tego* zobaczyć. Nawet jeśli jest puste, to jest ciągle jeszcze moje serce. Zostało w nim jeszcze – choćby niewiele – ludzkiego ciepła. Kilka osobistych wspomnień jak wodorosty owinięte wokół drewnianych pali na plaży czekało bez słowa na przypływ. Z kilku myśli popłynęłaby krew, gdyby je przeciąć. Na razie nie może jeszcze pozwolić swemu sercu błądzić gdzieś w nieznanym miejscu.

Pisze się jak „boskie pole” i wymawia się Kamita, nie Kanda. Mieszkam tu niedaleko.

„Zapamiętam sobie – powiedział wielki.

– Dobry pomysł. We wspomnieniach jest siła” – odparł Kamita.

Może Kamita był w jakiś sposób powiązany z tą starą wierzbą w ogrodzie przy domu, pomyślał nagle Kino. Ta wierzba chroniła jego i mały domek. Nie bardzo rozumiał, jak to się logicznie łączy, ale kiedy tak pomyślał, wszystko zaczęło mieć sens.

Kino przywołał w myślach wierzbę z pełnymi zielonych listków gałęziami zwisającymi prawie do ziemi. Dzięki nim latem w małym ogródku panował chłodny cień. W deszczowe dni gałązki wierzby lśniły srebrem niezliczonych kropelek. W bezwietrzne były pogrążone w głębokiej, cichej medytacji. Kiedy wiał wiatr, kołysała bez celu swoim niestałym sercem. Przylatywały małe ptaszki, opowiadały coś sobie wysokimi, przenikliwymi głosami, zręcznie przysiadły na drobnych, *giętkich* gałązkach, a niebawem znów odlatywały. Po ich zniknięciu gałązki przez pewien czas wesoło się kołysały.

Kino zwinął się pod kołdrą jak robak, zacisnął powieki i myślał tylko o wierzbie. Po kolei i konkretnie przywoływał w myślach kolejno jej kolor, kształt i ruchy. I modlił się o nadejście świtu. Musiał tylko wytrzymać do rana, doczekać, aż się rozwidni, obudzą się wrony i inne małe ptaki i zaczną swe codzienne poczynania. Musiał zaufać ptakom całego świata. Wszystkim ptakom ze skrzydłami

i z dziobem. Do tego czasu nawet przez chwilę jego serce nie może być puste. Pustka i rodząca się z niej próżnia przyciąga *ich*.

Kiedy sama wierzba stała się niewystarczająca, Kino zaczął myśleć o chudej popielatej kotce i o tym, że chętnie jadła prażone wodorosty. Myślał o Kamicie pochłoniętym czytaniem książki przy barze, o młodych biegaczach na średnie dystanse powtarzających w nieskończoność te same ćwiczenia w czasie treningu, o pięknej solówce Bena Webstera w *My Romance* (na płycie są dwie rysy). *We wspomnieniach jest siła*. Potem przywołał obraz swojej byłej żony z krótkimi włosami i w nowej niebieskiej sukience. Bez względu na wszystko Kino pragnął, żeby w nowym miejscu mogła wieść życie w szczęściu i zdrowiu. Żeby nie doznała żadnych ran.

Spotkała się ze mną, żeby mnie przeprosić, a ja przyjąłem jej przeprosiny. Muszę się nauczyć nie tylko zapominać, ale także wybaczać.

Wyglądało jednak na to, że czas nie płynie tak jak należy. Pachnący świeżą krwią ciężar pragnień i zardzewiała kotwica żalu blokowały jego naturalny nurt. Czas nie był więc lecącą prosto strzałą. Deszcz ciągle padał, wskazówki zegara bez przerwy się wahały, ptaki spały jeszcze pogrążone w głębokim śnie, pracownik poczty bez twarzy w milczeniu segregował widokówki, kształtne piersi żony unosiły się gwałtownie w górę i w dół, a ktoś uparcie pukał w szybę. Bardzo regularnie, jakby zapraszał do głębokiego labiryntu sugestii. *Puk, puk, puk, puk*. I znowu *puk, puk*. Nie odwracaj oczu, patrz prosto na mnie, szeptał mu ktoś do ucha. Tak wygląda twoje serce.

Gałęzie wierzby kołysały się miękko w słońcu na początku lata. W ciemnym pokoju w głębi serca Kino wyciągała się ku niemu czyjaś ciepła ręka i próbowała dotknąć jego dłoni. Z zaciśniętymi powiekami myślał o jej ciepłej skórze, o jej miękkości. To było coś, o czym od dawna nie pamiętał. Coś, co od bardzo dawna było od niego oddalone. *Tak, zostałem zraniony. Bardzo głęboko zraniony*. Powiedział to sam do siebie. I zapłakał. W tym ciemnym, pustym pokoju.

W tym czasie deszcz nieustannie nasączał świat zimną wilgocią.

Gdy się obudził, stwierdził, że zmienił się w łóżku w Gregora Samsę[11].

Leżąc na plecach, wpatrywał się w sufit. Minęło trochę czasu, zanim wzrok przywykł do panującego w pokoju półmroku. Sufit wyglądał zupełnie zwyczajnie, ot sufit jak inne sufity. Pewnie kiedyś pomalowano go na biało albo jasnokremowo, na jakiś tego typu kolor. Jednak z powodu kurzu czy brudu, który latami się na nim osadzał, przywodził teraz raczej na myśl nieświeże mleko. Nie miał ozdób ani żadnych konkretnych cech. Niczego się nie domagał i o niczym nie informował. Zdawało się, że zasadniczo efektywnie wypełnia swoją strukturalną rolę jako sufit i nie pragnie niczego więcej.

Na jednej ze ścian (po jego prawej stronie) znajdowało się wysokie okno, ale zostało zabite deskami. Usunięto firanki, które pewnie kiedyś je osłaniały, a do ramy okiennej gwoździami przybito w poprzek kilka grubych desek. Nie wiadomo, czy celowo, czy też nie, pomiędzy deskami pozostawiono kilkucentymetrowe szpary, przez które dostawało się do pokoju poranne słońce i tworzyło na podłodze oślepiająco jasne równoległe linie. Nie wiedział, dlaczego aż tak solidnie to okno zablokowano. Żeby nikt nie mógł się dostać do pokoju? A może żeby nie mógł się wydostać (czyżby mogło chodzić o niego?). Albo za chwilę mają nadejść wielka burza czy tornado?

Leżąc ciągle na wznak, poruszał lekko głową i wodził oczami po pokoju, badając jego wnętrze. Prócz łóżka nie było tu niczego, co dałoby się nazwać meblem. Nie było komody, stołu ani krzeseł. Na ścianie nie wisały obrazy, zegar ani lustro. Nie dostrzegł też żadnej lampy. Poza tym, o ile dobrze widział, na podłodze nie było dywanu ani chodnika. Wszędzie tylko goła drewniana klepka. Ściany pokrywała stara spłowiała tapeta w jakiś drobny wzorek, ale z powodu słabego oświetlenia – a może jasne oświetlenie niewiele by zmieniło – nie dało się dostrzec, co przedstawiał.

W ścianie naprzeciw okna, czyli po jego lewej stronie, znajdowały się drzwi, a w nich częściowo zaśnieżona mosiężna klamka w kształcie gałki. Kiedyś pewnie używano tego pomieszczenia jako zwykłego pokoju. Dało się wyczuć coś z tamtej atmosfery. Ale usunięto wszelkie ślady poprzednich mieszkańców. Pośrodku pokoju zostało jedynie łóżko, na którym Samsa teraz leżał. Lecz na łóżku nie było pościeli. Brak prześcieradła, kołdry i poduszki. Tylko stary goły materac.

Samsa nie miał pojęcia, gdzie się właściwie znajduje i co ma dalej począć. Ledwo pojmował, że jest teraz *człowiekiem* zwanym Gregorem Samsą. Skąd o *tym* wiedział? Może ktoś mu to wyszeptał do ucha podczas snu?

– Nazywasz się Gregor Samsa.

W takim razie, kim właściwie był, zanim stał się Gregorem Samsą? *Czym* był?

Lecz kiedy zaczął nad tym rozmyślać, poczuł, że jego świadomość wypełnia ciężka mgła. Jakby kłębił mu się w głowie rój komarów. Zbliżał się z lekkim brzęczeniem do miękkiej części mózgu, tworząc coraz większą i bardziej zwartą kolumnę. Samsa zrezygnował z dalszych rozważań. W tej chwili myślenie było dla niego zbyt dużym obciążeniem...

Przede wszystkim musiał się nauczyć poruszać swoim ciałem. Nie mógł w nieskończoność tu leżeć i beczynnie gapić się w sufit. Czuł się za bardzo bezbronny. Gdyby w tym stanie napotkał wroga – na przykład zaatakowałyby go napastliwe ptaki – nie miałyby żadnych szans na przeżycie.

Na początek spróbował poruszyć palcami. Miał po pięć długich palców na dwóch rękach – razem dziesięć. Było w nich wiele stawów i z trudem wydedukował, jak nimi poruszać. Do tego ciało mu jakby ścierpło (zdawało się zanurzone w lepkiej cieczy o dużym ciężarze właściwym) i nie mógł efektywnie przekazać impulsów do jego krańców.

Mimo to zamknął oczy, skupił się i z uporem, stosując metodę prób i błędów, stopniowo nauczył się

swobodnie operować palcami rąk. Pojął w końcu, jak działają stawy, choć zajęło mu to dużo czasu. Gdy poruszał końcami palców, stopniowo zelżało uczucie, że całe ciało jest ścierpnięte, aż w końcu całkiem ustąpiło. Ale jego miejsce powoli zajął dotkliwy ból, niespodziewany jak złowieszcze ciemne skały ukazujące się w czasie odpływu.

Dopiero po długim czasie zorientował się, że ból jest wywołany głodem. Przemownym głodem, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczył, a przynajmniej nie pamiętał, żeby doświadczył. Czuł się tak, jakby nie jadł nic od tygodnia. Jakby powstała w nim jaskinia z próżnią w środku. Kości mu trzeszczały, zdawało się, że mięśnie przechodzą przez wyzmaczkę, wnętrzności wiją się w konwulsjach.

Nie mogąc znieść bólu, Samsa podniósł się na łokciach. Kręgosłup wydał kilka przeraźliwych trzasków. Jak długo właściwie leżał na tym łóżku? Wszystkie części ciała wyrażały głośny protest przeciwko wstawaniu, przeciwko zmianie dotychczasowej pozycji. Zebrał w sobie siły i starając się jakoś przemóc ból, podniósł się i usiadł na łóżku.

Co za niezdarne, bezkształtne ciało! – pomyślał, oglądając pobieżnie swoje nagie członki i dotykając tych, których nie mógł zobaczyć. Nie tylko bezkształtne. Do tego zupełnie bezbronne. Śliska biała skóra, tylko rzadko porośnięta włosami, niczym nieosłonięty miękki brzuch, narząd rozrodczy o przedziwnym kształcie, zaledwie po parze chudych rąk i nóg, niebieskie wątle żyły widoczne pod skórą, niepewna cienka i chuda szyja wyglądająca, jakby mogła się w każdej chwili złamać, duża, niesymetryczna głowa, pokrywające ją kudłate, sztywne, długie włosy i zaskakująco wystające na boki uszy wyglądające jak muszle. *Czy to jestem naprawdę ja?* Czy w takim niedorzecznym ciele (któremu nie dano pancerza do ochrony ani żadnych możliwości ataku) da się przeżyć na tym świecie? Dlaczego nie stał się rybą? Dlaczego nie stał się słonecznikiem? To by jeszcze miało jakiś sens. A przynajmniej o wiele większy sens niż zostanie Gregorem Samsą. Nie mógł się oprzeć takiemu przekonaniu.

Zdecydowanie opuścił nogi na ziemię i dotknął podszwami podłogi. Nieosłonięta podłoga była znacznie zimniejsza, niż się spodziewał. Aż dech mu zapało. A potem po kilku strasznie nieudanych próbach i poobijaniu sobie różnych miejsc udało mu się w końcu stanąć. Stał tak przez chwilę, ściskając ręką ramę łóżka. Głowa wydała mu się dziwnie ciężka i nie mógł utrzymać jej w pionie. Spod pach popłynął mu pot, narząd rozrodczy skurczył się od nadmiernego napięcia. Musiał wziąć kilka głębokich oddechów, by rozluźnić zeszywniałe ciało.

Kiedy nieco przywykł do stania na podłodze, przyszedł czas na naukę chodzenia. Jednak chodzenie na dwóch nogach było wysiłkiem na miarę tortur i wywoływało gwałtowny ból. Posuwanie się metodą stawiania przed sobą na zmianę to lewej, to prawej nogi było pod każdym względem działaniem irracjonalnym i sprzecznym z prawami natury, a fakt, że oczy miał umieszczone tak wysoko i niestabilnie, powodował, że się kulił ze strachu. Na początku strasznie trudno mu było zrozumieć, jak stawy biodrowe współdziałają z kolanowymi, i uchwycić równowagę. Przy każdym kroku kolana drżały mu ze strachu, że się przewróci, i musiał się rękami opierać o ścianę.

No, ale nie mógł przecież wiecznie tkwić w tym pokoju. Jeżeli nie znajdzie gdzieś czegoś porządnego do zjedzenia, ten przemowny głód pewnie prędzej czy później pochłonie i zniszczy jego ciało.

Dotarcie do drzwi zajęło mu dużo czasu, posuwał się niepewnie, trzymając się ściany. Nie znał się ani na mierzeniu czasu, ani na jego jednostkach. Ale, *tak czy inaczej*, było to dużo czasu. Dobitnie uświadamiało mu to natężenie odczuwanego bólu. Przewyciężając go, poruszał się jednak i uczył się kolejno, jak posługiwać się stawami i mięśniami. Szedł mozolnie, ruchy miał niezdarne. Potrzebował oparcia. Ale od biedy mógłby ująć za inwalidę.

Położył rękę na klamce i spróbował pociągnąć. Drzwi ani drgnęły. Popychanie też nic nie dało. Następnie spróbował przekręcić gałkę w prawo. Z lekkim skrzypnięciem drzwi otworzyły się do wewnątrz. Nie były zamknięte na klucz. Wystawił trochę głowę przez szparę. W przedpokoju nie było żywego ducha. Wokół panowała cisza jak w morskiej głębinie. Najpierw wysunął do przedpokoju lewą nogę i trzymając się jedną ręką futryny, wychylił na zewnątrz górną połowę ciała, a potem dołączył prawą nogę. Przesuwając ręce po ścianie, nieśpiesznie ruszył boso korytarzem. W przedpokoju było czworo drzwi łącznie z tymi, którymi wyszedł. Wszystkie podobne, z ciemnego drewna. Co się za nimi znajdowało? Czy ktoś tam był? Miał wielką ochotę je otworzyć i zajrzeć. Może wtedy nieco wyjaśniłaby się ta niezrozumiała sytuacja. Może udałoby się znaleźć początek nitki prowadzącej logicznie do kłębka. Lecz minął drzwi, starając się tłumić odgłos kroków. Zanim zaspokoi ciekawość, musi zaspokoić głód. Musi jak najprędzej wypełnić czymś treściwym tę nieubłaganą pustkę, która w nim powstała.

Nagle zorientował się, dokąd ma się kierować, żeby znaleźć to coś *treściwego*. *Muszę iść za tym zapachem*, pomyślał, rozdymając nozdrza. Był to zapach ciepłego jedzenia. Zapach jakiejś potrawy zmienił się w drobinki i płynął ku niemu bezszelestnie. Drobinki woni irytująco drażniły śluzówkę w nosie. Zmysł węchu momentalnie przekazał informacje do mózgu, w rezultacie namacalne przeczucie i gwałtowne pragnienie jak doświadczeni inkwizytorzy zaczęły centymetr po centymetrze torturować narządy trawienne. Usta wypełniła ślina.

Lecz żeby dotrzeć do źródła tego zapachu, musiał najpierw zejść po schodach. Nawet chodzenie po płaskiej powierzchni było dla niego aktem pokuty, a zejście po siedemnastu stromych stopniach stanowiło istny koszmar. Kurczowo trzymając się rękami poręczy, zaczął schodzić. Przy schodzeniu na każdym stopniu musiał przenieść ciężar ciała na kostkę u nogi, przez co kilka razy prawie stracił równowagę i o mało nie spadł na sam dół. Za każdym razem, gdy przyjmował nienaturalną pozycję, wszystkie kości i mięśnie gwałtownie protestowały.

Podczas schodzenia Samsa myślał głównie o rybach i słonecznikach. Gdyby był rybą albo słonecznikiem, prawdopodobnie nie musiałby schodzić po takich schodach i mógłby w spokoju przeżyć całe życie. Więc dlaczego oddaje się takiej nienaturalnej i ekstremalnie niebezpiecznej czynności? To nie miało sensu.

Kiedy w końcu jakoś zszedł po siedemnastu stopniach, wyprostował się, zebrał w sobie resztę sił i ruszył w kierunku, z którego dochodził zapach jedzenia. Minął wysoki hol i wszedł przez otwarte drzwi do jadalni. Na dużym owalnym stole ustawiono półmiski z potrawami. Wokół stało pięć krzeseł, ale nie było żywego ducha. Potrawy jeszcze lekko parowały. W szklanym wazonie stojącym pośrodku stołu ułożono tuzin białych lilii. Przygotowano nakrycia i białe serwetki dla czterech osób, ale nikt ich nawet nie tknął. Robiło to wrażenie, jakby przygotowano śniadanie i wszyscy mieli właśnie do niego zasiąść, kiedy zdarzyło się coś nieoczekiwanego, wszyscy się zerwali i gdzieś zniknęli. Od tej chwili minęło niewiele czasu.

Co się mogło zdarzyć? Dokąd ci ludzie poszli? Albo dokąd ich zabrano? Czy wrócą tu na śniadanie?

Lecz Samsa nie mógł sobie pozwolić na długie rozmyślenia na ten temat. Padł na najbliższe krzesło i nie używając noża, łyżki, widelca ani serwetki, zaczął rękami zjadać kolejno potrawy z półmisek. Urywał kawałki chleba i wpychał do ust, nie smarując masłem ani dżemem. Pożarł w całości gotowanego serdelka, schrupał jajko, nie mając dość cierpliwości, żeby zdjąć całą skorupkę, chwycił rękami kiszzonego ogórka i wgryzł się w niego. Nabrał w dłoń ciepłego purée ziemniaczanego i wepchnął do ust. Starał się trochę przeżuwać różne rzeczy, a to, co nie całkiem przeżuł, połykał, popijając wodą z dzbanka.

Nie zastanawiał się nad smakiem. Nie odróżniał smacznego od niesmacznego, ostrego od kwaśnego. Przede wszystkim musiał wypełnić tę próżnię, która w nim powstała. Jadł w zapamiętaniu, jakby to był wyścig z czasem. Nawet raz ugryzł się niechcący w palec podczas oblizywania go. Resztki jedzenia pokrywały stół, jeden półmisek spadł na podłogę i potłukł się w drobne kawałeczki, ale Samsa nawet tego nie zauważył.

Stół wyglądał strasznie. Zupełnie jakby przez otwarte okno wleciało stado wron i bijąc się o jedzenie, rozdziobało wszystko i odleciało. Kiedy w końcu Samsa zjadł, ile mógł, i zrobił sobie przerwę, z potraw nie zostało prawie nic. Jedyną nietkniętą rzeczą był wazon lilii. Gdyby nie przygotowano tu tak dużo jedzenia, być może zjadłby i te lilie. Był aż tak głodny.

Później długo siedział otępiąły. Oddychał głęboko, aż unosiły mu się ramiona, dłonie położył na stole i przymkniętymi oczami wpatrywał się w białe kwiaty lilii. Powoli jak przypływ ogarnęło go uczucie zaspokojenia. Pustka w ciele stopniowo się wypełniała, czuł, że obszar próżni się zmniejsza.

Ujął metalowy dzbanek i nalał kawy do białej filiżanki. Silny zdecydowany aromat kawy coś mu przypomniał. Nie było to wspomnienie bezpośrednie, a pośrednie, takie, które przebyło kilka etapów. Miało w sobie dziwną dwuwarstwową czasowość, jakby z przyszłości spoglądał na to, co w tej chwili przeżywał, a jednocześnie jakby patrzył na wspomnienia. Przeżycia i wspomnienia tworzyły obwód zamknięty, przypływały i odpływały. Nalał do kawy dużo śmietanki, zamieszał palcem i wziął łyk. Kawa wystygła, ale jeszcze miała w sobie odrobinę ciepła. Zatrzymał ją w ustach, a po chwili ostrożnie, powoli przełknął. Kawa nieco go uspokoiła.

Następnie nagle poczuł zimno. Zaczął się mocno trząść. Pewnie przedtem z powodu przemożnego głodu nie zwracał uwagi na inne doznania fizyczne. Lecz kiedy zaspokoił głód, zorientował się, że rano w pokoju jest chłodno. Ogień w kominku zgasł. W dodatku Samsa był nagi i bosy.

Uświadomił sobie, że musi się czymś okryć. Było mu jednak trochę za zimno. Poza tym nie mógł się tak pokazać ludziom na oczy. A jeśli ktoś przyjdzie? Ludzie, którzy tu niedawno byli – ci, którzy mieli zjeść śniadanie – mogli niedługo wrócić. Gdyby ich tak przywitał, pewnie wyniknąłby z tego jakiś problem.

Z jakiegoś powodu był tego świadomy. Nie było to przypuszczenie ani wiedza, ale czysta świadomość. Nie wiedział, skąd i którędy do niego dotarła. Może to jedno ze wspomnień z tego zamkniętego obiegu.

Wstał i wyszedł z jadalni do holu. Zasadniczo potrafił już stać i chodzić na dwóch nogach, niczego się nie trzymając, choć robił to nadal bardzo niezdarnie i powoli. W holu stał metalowy stojak na parasole, a w nim prócz czarnych parasoli było kilka lasek. Wybrał czarną dębową, żeby się na niej wesprzeć przy chodzeniu. Solidna twardość rączki uspokoiła go i dodała odwagi. Może mu się przydać jako broń, gdyby zaatakowały go ptaki. Podeszedł do okna i wyjrzał spomiędzy firanek.

Dom stał przy niezbyt szerokiej ulicy. Prawie nie było na niej ludzi i zdawała się nieprzyjemnie pusta. Czasami ktoś przechodził szybkim krokiem. Wszyscy bez wyjątku w ubraniach o różnych kolorach i kształtach. W większości mężczyźni, ale były też ze dwie kobiety. W zależności od płci ludzie ubierali się inaczej. Na nogach mieli buty z grubej skóry. Niektórzy nosili dobrze wyglansowane buty z długimi cholewami. Podeszwy postukiwały szybkim twardym rytmem o kocie łby ulicy. Wszyscy nosili nakrycia głowy. I wszyscy chodzili na dwóch nogach, jakby to było oczywiste, nikt też nie miał na wierzchu narządów rozrodczych. Samsa stanął przed długim lustrem w przedpokoju i porównał się do widzianych

na ulicy przechodniów. Jego sylwetka wyglądała bardzo nędznie i słabo. Brzuch miał zalany sosami, do włosów łonowych jak kawałki waty przylgnęły okruszki. Pozdejmował je z siebie i wytarł brzuch.

Muszę znaleźć jakieś ubranie, pomyślał znowu.

Potem jeszcze raz wyjrzał przez okno i sprawdził, czy nie ma ptaków. Nie zauważył ani jednego. Na parterze znajdowały się: hol, jadalnia, kuchnia i salon. Jednak nigdzie nie dostrzegł nic przypominającego ubranie. Prawdopodobnie ludzie nie przebierają się na parterze. Całe ubranie musi być gdzieś na piętrze.

Zdecydował się i ruszył schodami w górę. O dziwo, wchodzenie po schodach okazało się znacznie łatwiejsze niż schodzenie. Szedł, trzymając się poręczy, nie czuł prawie strachu ani bólu i choć co pewien czas robił sobie odpoczynek, wejście po siedemnastu stopniach zajęło mu stosunkowo niewiele czasu.

Można powiedzieć, że miał szczęście, bo żaden pokój nie był zamknięty na klucz. Kiedy przekręcał gałkę w prawo i popychał, drzwi się otwierały. Na piętrze znajdowały się cztery pokoje. Wszystkie z wyjątkiem tego wyziębionego i ogołoczonego, w którym się obudził, były przyjemnie urządzone. Miały łóżka z czystą pościelą, komody, biurka, lampy i dywany w skomplikowane wzory. Panowały w nich ład i czystość. Na półkach stały w pięknych rzędach książki, na ścianach wisiały olejne pejzaże w ramach. Wszystkie przedstawiały białe nadmorskie klify. Na intensywnie granatowym niebie unosiły się obłoczki jak z waty cukrowej. W wazonach stały kolorowe kwiaty. Okna nie były zabite deskami. Przez firanki świeciło spokojnie słońce, nie szczędząc swych promieni. Każde łóżko wyglądało, jakby do niedawna ktoś na nim leżał. Na dużych białych poduszkach pozostały jeszcze ślady wgnieceń po głowach.

W szafie w największym pokoju znalazł szlafrok, który na niego pasował. Chyba uda mu się jakoś nim owinąć. Inne ubrania były zbyt skomplikowane i nie wiedział, jak należy je włożyć ani jak ze sobą zestawić. Miały za dużo guzików, nie był pewien, gdzie jest przód i tył, góra i dół. Nie wiedział też, co się wkłada pod spód, a co jest ubraniem wierzchnim. Tak wiele musiał się nauczyć na temat odzieży. W porównaniu z innymi strojami szlafrok był odzieniem prostym i praktycznie pomyślanym, nie miał zbyt wielu ozdób i powinno mu się udać w niego ubrać. Uszyto go z lekkiego, miękkiego materiału, był miły w dotyku. Granatowy. Znalazł też kapcie w tym samym kolorze, które chyba stanowiły komplet ze szlafrokiem.

Włożył szlafrok na nagie ciało i metodą prób i błędów udało mu się zawiązać z przodu pasek. Potem stanął przed dużym lustrem w szlafroku i kapciach. Było to o wiele lepsze od chodzenia na golasa. Jeżeli dokładnie przyjrzy się strojom innych ludzi, powoli uda mu się pewnie odkryć, jak należy się właściwie ubierać. A tymczasem ten szlafrok musi mu wystarczyć. Nie wydawał się szczególnie ciepły, ale tak długo jak Samsa nie wychodził z domu, ochroni go nieco od zimna. Przede wszystkim uspokajało Samse, że jego miękka skóra nie była już zupełnie bezbronna na wypadek ataku ptaków.

Kiedy odezwał się dzwonek u drzwi, Samsa ucinął sobie akurat drzemkę, leżąc pod pierzyną w największym pokoju (w którym stało też największe łóżko). Pod puchową pierzyną było mu ciepło jak w uchu. Coś mu się śniło. Nie pamiętał co. Ale był to jakiś sympatyczny, wesoły sen. Wtedy właśnie w całym domu rozległ się dźwięk dzwonka, który odpędził gdzieś sen i wciągnął Samse z powrotem do wychłodzonej rzeczywistości.

Wstał, ściągnął pasek szlafroka, włożył granatowe kapcie, wziął czarno malowaną laskę i trzymając się poręczy, powoli ruszył po schodach. Schodzenie było znacznie łatwiejsze niż za pierwszym razem, ale nadal groziło upadkiem. Musiał być czujny. Szedł ostrożnie stopień po stopniu, patrząc pod nogi. Przez

cały ten czas rozlegał się dzwonek, głośny i natarczywy. Osoba, która go naciskała, musiała być z natury niecierpliwa, a jednocześnie uparta.

Dotarł w końcu na dół, ściskając w rękę laskę, i otworzył drzwi. Otworzyły się, gdy przekręcił gałkę i pociągnął je ku sobie.

Za drzwiami stała mała kobietka. Bardzo mała. Pewnie ledwo sięgnęła dzwonka. Kiedy się przyjrzał, dostrzegł jednak, że nie była wcale mała, tylko miała zgarbione plecy i przez to cała jej sylwetka zdawała się bardzo pochylona. Dlatego wyglądała na małą, mimo że nie była drobnej budowy. Włosy związała z tyłu gumką, żeby nie opadały jej na twarz. Były ciemnokasztanowe i niezwykle bujne. Nosiła szeroką długą spódnicę za kostki i zniszczony tweedowy żakiet. Szyję owinęła bawełnianym szalikiem w paski. Nie włożyła czapki ani kapelusza. Do tego solidne długie sznurowane buty. Miała pewnie niewiele ponad dwadzieścia lat. Zostało w niej jeszcze coś dziewczęcego. Duże oczy, mały nosek, wargi wyginały się lekko w jedną stronę jak cienki księżyc. Czarne i proste brwi nadawały jej twarzy podejrzliwy wyraz.

– Czy tu mieszkają państwo Samsa? – zapytała, przechylając głowę i patrząc na Samsę spode łba. Poruszyła silnie całym ciałem, jakby się wiła. Niby ziemia podczas gwałtownego trzęsienia ziemi.

Po krótkim wahaniu Samsa zdecydowanie odparł:

– Tak. – Skoro on był Gregorem Samsą, to mieszkanie prawdopodobnie należało do rodziny Samsów, więc chyba mógł tak powiedzieć.

Ale dziewczynie ta odpowiedź nie bardzo się spodobała. Skrzywiła się lekko. Pewnie dosłyszała w jego głosie cień wahania.

– Czy tu *naprawdę* mieszkają państwo Samsa? – zapytała ostro. Przesłuchiwała go jak doświadczony odźwierny na widok ubogo ubranego obcego.

– Jestem Gregor Samsa – odparł, jak mógł najspokojniej. Był to niezaprzeczalny fakt.

– Skoro tak, to bardzo dobrze – powiedziała. Potem podniosła z ziemi dużą czarną płócienną torbę, która wyglądała na ciężką. Musiała być używana od wielu lat, bo była tu i tam poprzecierana. Pewnie ją po kimś odziedziczyła. – No to rzucę okiem – oznajmiła i nie czekając na odpowiedź, weszła do środka.

Samsa zamknął drzwi. Dziewczyna zatrzymała się i omiotła podejrzliwym wzrokiem jego szlafrok i kaptcie. A potem chłodno zauważyła:

– Zdaje się, że pana obudziłam.

– Nie, nic nie szkodzi – powiedział Samsa. Jej ponure spojrzenie dało mu odczuć, że jego strój jest niewłaściwy i nie pasuje do sytuacji.

– Przepraszam za ten strój, ale są ku temu pewne przyczyny – powiedział.

Dziewczyna nic nie odrzekła, tylko zacisnęła usta.

– No i? – rzuciła po chwili.

– No i? – powtórzył Samsa.

– No i gdzie jest ten zamek?

– Zamek?

– Chodzi mi o zepsuty zamek. – Wcale nie starała się ukryć irytacji w głosie. – Podobno jakiś zamek jest zepsuty i wezwano mnie do naprawy.

– Aha – powiedział Samsa. – Zepsuty zamek.

Zastanawiał się w desperacji, ale kiedy skupiał świadomość na jednej rzeczy, w głębi mózgu znów

zaczynał się kłębić rój komarów.

– Nic nie wiem o żadnym zamku – powiedział. – Pewnie chodzi o któryś na górze.

Dziewczyna mocno się skrzywiła, przechyliła głowę i spojrzała spode łba na Samsę.

– Pewnie? – powtórzyła, a jej głos nabrał jeszcze większego chłodu. Jedną brew uniosła wysoko do góry. – Któryś?

Samsa poczuł, że się rumieni. Bardzo się wstydził, że nie wie nic o zepsutym zamku. Odchrząknął, ale nie zdobył się na żadne słowa.

– Panie Samsa, czy pana rodziców nie ma w domu? Wydaje mi się, że lepiej, żebym ich bezpośrednio zapytała.

– Chyba wyszli coś załatwić – odpowiedział Samsa.

– Wyszli? – powtórzyła zdesperowana. – Co mogą mieć do załatwienia w tym *zamieszaniu*?

– Nie bardzo wiem, ale kiedy rano wstałem, już nikogo nie było – odrzekł Samsa.

– O rany – powiedziała dziewczyna. Potem głęboko westchnęła. – Przecież uprzedziłam, że przyjdę o tej porze naprawić zamek.

– Bardzo przepraszam.

Dziewczyna skrzywiła usta. Potem powoli opuściła podniesioną brew i spojrzała na laskę w lewej dłoni Samsy. – Ma pan chorą nogę, panie Gregorze?

– Tak, trochę – powiedział Samsa wymijająco.

Dziewczyna znowu poruszyła silnie całym ciałem, jakby się wiała. Samsa nie wiedział, jakie jest znaczenie i cel tych ruchów. Ale instynktownie spodobały mu się te skomplikowane skręty.

– Nie ma rady – odezwała się zrezygnowana. – Rzucę okiem na te zamki na piętrze. No bo przyszedłam tu przecież specjalnie w takim strasznym zamieszaniu przez całe miasto, przez most. Prawie z narażeniem życia. Nie mogę przecież powiedzieć tylko: „Aha, rozumiem, nie ma ich w domu. To wpadnę kiedy indziej” i sobie iść. Prawda?

W takim strasznym zamieszaniu? Samsa nie całkiem pojmował sytuację. Co jest właściwie takie straszne? Postanowił jednak nie pytać. Lepiej nie zdradzać się ze swoją niewiedzą.

Zgięta w pół pod ciężarem torby w prawej dłoni dziewczyna powlokła się po schodach, nieomal pełną jak owad. Samsa ruszył powoli za nią, trzymając się poręczy. Sposób, w jaki szła, wzbudzał w nim jakieś nostalgiczne współczucie.

Dziewczyna stanęła na podeście piętra i omiotła wzrokiem czworo drzwi.

– *Pewnie któryś z tych zamków jest zepsuty, tak?*

Samsa znowu się zarumienił.

– Tak, któryś z nich – powiedział. A potem niepewnie dodał: – Zdaje mi się, że to mogą być te drzwi w głębi po lewej. – Chodziło mu o drzwi ogołoczonego z mebli pokoju, w którym się tego ranka obudził.

– *Zdaje się* – powtórzyła pozbawionym wyrazu głosem przypominającym wygasłe ognisko – *mogą być*. – Odwróciła się i spojrzała na Samsę.

– Chyba tak – dodał Samsa.

– Gregorze Samsa, bardzo przyjemnie się z panem rozmawia. Ma pan bogate słownictwo i używa

trafnych określeń – oznajmiła sucho. Potem znowu westchnęła i zmieniła ton: – Mniejsza o to. Sprawdźmy ten zamek w drzwiach w głębi po lewej.

Podeszła do drzwi i przekręciła gałkę. Popchnęła drzwi. Otworzyły się. Pokój wyglądał tak samo, jak kiedy z niego rano wyszedł. Z mebli było tylko łóżko. Stało w pokoju jak samotna wyspa pośrodku oceanu. Na łóżku leżał jedynie niezbyt czysty materac. To na nim obudził się jako Gregor Samsa. To nie był sen. Goła podłoga robiła zimne wrażenie. Okno zabite deskami. Lecz dziewczyna nie okazała zdziwienia. Zareagowała tak, jakby tego typu rzeczy nie należały w tym mieście do rzadkości.

Schyliła się, otworzyła czarną torbę, wyciągnęła z niej płachtę z kremowej flaneli i rozłożyła na podłodze. Następnie wybrała kilka narzędzi i ułożyła je rządkiem na płachcie. Jak doświadczony oprawca, który starannie przygotowuje w obecności żalostnej ofiary złowieszcze narzędzia tortur.

Najpierw wybrała kawałek drutu średniej grubości, wsunęła go do dziurki od klucza i wprawnymi ruchami poruszyła w różnych kierunkach. Przez ten czas jej oczy były zmrużone i uważne. Wyteęzała też słuch. Następnie wzięła nieco cieńszy drut i powtórzyła te same czynności. Skrzywiła usta z niezadowoleniem, tak że przybrały zimny kształt łuku chińskiego miecza. Wzięła dużą latarkę i z surowym wyrazem oczu zbadła drobne części zamka.

– Czy ma pan może klucz do tego zamka? – zapytała Samsę.

– Nie wiem, gdzie jest – odpowiedział uczciwie.

– Och, panie Gregorze Samsa, czasami odechciewa mi się żyć – rzekła dziewczyna, spoglądając na sufit.

Potem jednak przestała zwracać na niego uwagę, wybrała śrubokręt spomiędzy rozłożonych na flaneli narzędzi i zaczęła wymontowywać zamek. Ostrożnie i powoli, żeby nie porysować śrubek. Kilka razy przerywała pracę i poruszała gwałtownie ciałem, skręcając się wężowym ruchem. Kiedy obserwował od tyłu te jej *skręty*, poczuł, że jego ciało zaczyna przedziwnie reagować. Nie wiadomo dlaczego powoli się rozgrzało i poczuł, że rozdymają mu się nozdrza. Czuł suchość w gardle, a kiedy przełknął ślinę, posłyszał głośny dźwięk. Z jakiegoś powodu zaczęły go swędzieć płatki uszu. Do tego narząd rozrodczy, który przedtem ciężko zwisał, stwardniał, stał się gruby i długi, stopniowo unosił się ku górze. Przez to na przodzie szlafroka powstało wybrzuszenie. Lecz Samsa nie miał pojęcia, co to oznacza.

Dziewczyna zaniósła wymontowany zamek do okna i dokładnie go obejrzała w świetle wpadającym spomiędzy desek. Z ponurą miną i zaciśniętymi skrzywionymi wargami grzebała w nim jakimś cienkim metalowym narzędziem, potrząsała mocno i słuchała dobywających się dźwięków. Potem wzięła głęboki oddech, wzruszyła ramionami i odwróciła się do Samsy.

– W środku zupełnie zepsuty – powiedziała. – Jednak miał pan rację. Jest do niczego.

– To dobrze.

– Wcale nie tak dobrze – rzekła dziewczyna. – Nie mogę go tu na poczekaniu naprawić. To szczególny typ zamka. Muszę go zabrać do domu, żeby ojciec albo bracia zobaczyli. Może im się uda naprawić. Ja nie dam sobie z nim rady. Jeszcze się uczę i umiem naprawiać tylko zupełnie zwyczajne zamki.

– Aha – powiedział Samsa. Miała ojca i kilku braci. I wszyscy byli ślusarzami.

– Miał tu przyjść ojciec albo któryś z braci, no ale jak pan wie, zaczęły się *te niepokoje*. Dlatego mnie przysłali. Bo w całym mieście są punkty kontrolne.

Potem westchnęła ciężko jakby całym ciałem.

– Jak on jest dziwnie zepsuty – powiedziała. – Nie wiem, kto to zrobił, ale wygląda na to, że ktoś

zmiądzzył wszystko w środku jakimś specjalnym metalowym narzędziem.

Dziewczyna znowu skręciła się wężowym ruchem. Kiedy się tak wiła, jej ramiona unosiły się i obracały jakby w jakimś szczególnym stylu pływackim. Te ruchy fascynowały i podniecały Samsę.

– Czy mogę pani zadać pytanie? – spytał bez namysłu.

– Pytanie? – dziewczyna spojrzała na niego podejrzliwie. – No, nie wiem, ale proszę pytać.

– Dlaczego pani czasami tak się skręca?

Dziewczyna patrzyła na niego z na wpół otwartymi ustami.

– Skręcam się? – Zastanawiała się nad tym przez chwilę. – O to panu chodzi? – Wykonała parę wężowych ruchów.

– Uhm – powiedział Samsa.

Wpatrywała się w niego przez pewien czas, a w oczach miała sztylety. A potem obojętnie powiedziała:

– Stanik mam źle dopasowany. To wszystko.

– Stanik? – powtórzył Samsa. To słowo nie łączyło się z żadnym wspomnieniem.

– Tak, stanik. Chyba wiesz, co to takiego – powiedziała, jakby wypluwając słowa. – Czy też dziwi cię, że garbuska nosi stanik? Że wstydu nie ma?

– Garbuska? – powtórzył Samsa. To słowo też zniknęło gdzieś wessane w niejasną pustkę w jego świadomości. Zupełnie nie rozumiał, o co jej chodzi. Ale coś musiał powiedzieć.

– Nie, wcale tak nie uważam – bronił się cicho.

– Przecież ja też mam dwie piersi i muszę je podtrzymać stanikiem. Nie jestem krową i nie chcę, żeby mi dyndały podczas chodzenia jak wymiona.

– Oczywiście. – Samsa pokiwał głową, chociaż nie bardzo rozumiał, o co chodzi.

– Ale ponieważ wyglądam, jak wyglądam, żaden stanik dobrze na mnie nie pasuje. Bo moja sylwetka trochę różni się od sylwetek innych kobiet. Dlatego muszę się tak czasem zwijać i skręcać, żeby wrócił na swoje miejsce. Kobietom jest w życiu znacznie trudniej, niż sobie wyobrażasz. Pod różnymi względami. Takie gapienie się z tyłu sprawia ci przyjemność? Bawi cię to?

– Nie, nie bawi. Tylko tak nagle się zastanowiłem, dlaczego pani to robi.

Samsa przypuszczał, że stanik to jakiś przyrząd, który podtrzymuje biust, a garbuska to słowo określające szczególny typ jej sylwetki. Musiał się jeszcze wiele na tym świecie nauczyć.

– Słuchaj, czy ty się ze mnie naśmiewasz? – zapytała podejrzliwie.

– Nie naśmiewam się.

Dziewczyna przechyliła głowę i spojrzała na niego. Zrozumiała, że wcale się z niej nie naśmiewa i chyba nie ma złych intencji.

Pewnie jest trochę niedorozwinięty, pomyślała. Ale był dobrze wychowany i całkiem przystojny. Koło trzydziestki. Zdecydowanie za chudy, uszy miał za duże i był blady, ale dobrze ułożony.

Potem zauważyła, że jego szlafrok odstaje na wysokości podbrzusza.

– Co to jest? – zapytała bardzo chłodnym tonem. – Dlaczego, do diabła, to tak odstaje?

Samsa spojrzał na bardzo duże wybrzuszenie szlafroka. Z jej tonu domyślił się, że jest to zjawisko, którego nie powinno się innym pokazywać.

– Aha, pewnie zastanawiasz się, jak by to było się pieprzyć z garbuską? – powiedziała znów, jakby wypluwała słowa.

– Pieprzyć się? – powtórzył. Tego słowa też nie pamiętał.

– Pewnie myślisz, że skoro mam plecy zgarbione do przodu, akurat świetnie byłoby robić to od tyłu, co? – mówiła. – Na świecie jest wielu zбочonych typków. Myślą, że taka dziewczyna od razu im da. Ale bardzo mi przykro, nic z tego nie będzie, mój panie.

– Nie bardzo wiem, o co chodzi. Jeżeli sprawiłem pani jakąś przykrość, bardzo przepraszam. Najmocniej. Proszę mi wybaczyć. Nie miałem złych zamiarów. Przez pewien czas chorowałem i nie wszystko jeszcze rozumiem.

Dziewczyna znowu westchnęła.

– Już dobrze, rozumiem – powiedziała. – Masz coś trochę *nie tak* z głową. Ale twojemu fiutkowi nic nie dolega. I co tu z tobą zrobić?

– Przepraszam.

– Nie ma za co – rzuciła zrezygnowana. – Mam w domu czterech braci idiotów, więc od dzieciństwa się napatrzyłam na takie rzeczy za wszystkie czasy. Specjalnie mi pokazywali, dla żartu. *Chamskie gbury*. Dlatego w pewnym sensie jestem do tego przyzwyczajona.

Przysiadła na podłodze, zebrała narzędzia, zawięła zepsuty zamek w kremową flanelę i starannie schowała wszystko do czarnej torby. Podniosła ją.

– Wezmę ten zamek do domu. Przekaż to rodzicom. Albo go naprawimy u siebie, albo trzeba będzie wstawić nowy. Ale teraz przez pewien czas może będzie trudno o nowy zamek. Powiedz to rodzicom, jak wrócą. Rozumiesz? Zapamiętasz?

Samsa powiedział, że zapamięta.

Ruszyła w dół po schodach, Samsa powoli za nią. Schodząc tak, tworzyli wielki kontrast. Jedno prawie na czworakach, drugie nienaturalnie przechylone do tyłu, a mimo to szli mniej więcej w podobnym tempie. W tym czasie Samsa starał się jakoś pozbyć „wybrzuszenia”, ale nie chciało zniknąć. Serce mu waliło, szczególnie kiedy patrzył, jak dziewczyna schodzi po schodach. A pompowana przez nie energicznie świeża gorąca krew uparcie podtrzymywała „wybrzuszenie”.

– Tak jak wcześniej mówiłam, miał tu przyjść ojciec albo jeden z braci – powiedziała przy drzwiach. – Ale w mieście jest pełno uzbrojonych żołnierzy, gdzieś na straży stoją wielkie czołgi. Szczególnie mosty kontrolują. Wielu ludzi pozgarniali. Więc oni, mężczyźni, nie mogli wyjść z domu. Bo jakby ktoś się przyczepił i ich zgarnął, nie wiadomo, kiedy by wrócili. Jest strasznie niebezpiecznie. No to ja przyszedłam naprawić. Przeszłam sama całą Pragę. No bo mnie pewnie nikt nie zaczepi. Czasem i ja się do czegoś przydaję.

– Czołgi – powtórzył Samsa nieprzytomnie.

– Bardzo dużo czołgów. Z działami i karabinami maszynowymi – powiedziała, wskazując na „wybrzuszenie”. – Twoja armata też jest wspaniała, ale tamte są większe, twardsze i bardziej brutalne. Mam nadzieję, że twoja rodzina też wróci bezpiecznie do domu. Naprawdę nie wiesz, dokąd poszli?

Samsa potrząsnął głową. Nie wiedział, dokąd poszli.

– Czy mógłbym jeszcze kiedyś się z panią zobaczyć? – zapytał bez namysłu.

Dziewczyna powoli przechyliła głowę i podejrzliwie spojrzała na Samę.

– Chcesz się ze mną znów zobaczyć?

– Tak, chciałbym znów się z panią zobaczyć.

– Z takim stojącym fiutkiem?

Samsa znów spojrział na wybrzuszenie.

– Nie bardzo umiem to wytłumaczyć, ale to nie ma związku z tym, co czuję. Myślę, że to problem z sercem.

– Coś takiego – powiedziała dziewczyna z podziwem. – *Problem z sercem*. To bardzo ciekawy pogląd. Pierwsze słyszę.

– Bo ja nic nie mogę na to poradzić.

– Więc to nie ma nic wspólnego z pieprzeniem?

– Nie myślę o pieprzeniu. Naprawdę.

– To, że fiutek ci się zrobił taki duży i twardy, nie ma nic wspólnego z myśleniem o pieprzeniu, tylko jest wywołane sercem. Krótko mówiąc, o to ci chodzi, tak?

Samsa przytaknął.

– Mógłbyś przysiąc przed Bogiem? – zapytała.

– Bogiem – powtórzył Samsa. Tego słowa też nie pamiętał. Milczał przez chwilę.

Dziewczyna bezsilnie pokręciła głową. A potem znowu skrzyła się węzowym ruchem, poprawiając stanik. – Mniejsza o Boga. Bóg chyba wyjechał z Pragi parę dni temu. Może miał jakąś ważną sprawę. Zapomnijmy więc o Bogu.

– Czy będę mógł się jeszcze z panią spotkać? – powtórzył pytanie Samsa.

Dziewczyna uniosła brew. Miała taki wyraz twarzy, jakby patrzyła na daleki, zamglony krajobraz.

– Mówisz, że chcesz się ze mną znowu spotkać?

Samsa przytaknął w milczeniu.

– A co będziemy robić, jak się spotkamy?

– Porozmawiamy sobie spokojnie.

– Na przykład o czym? – zapytała.

– O wielu różnych rzeczach.

– Będziemy tylko rozmawiać.

– Chciałbym panią zapytać o wiele rzeczy – powiedział Samsa.

– O jakie rzeczy?

– O to, jak ten świat jest zbudowany. O panią. O siebie.

Dziewczyna zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Ale nie chodzi ci tylko o to, żeby mi to wsadzić?

– Nie chodzi mi o to – odparł dobitnie Samsa. – Po prostu wydaje mi się, że mamy wiele do omówienia. Czołgi, Boga, staniki, zamki.

Na chwilę zapadła głęboka cisza. Słysząc było, jak ktoś przechodzi przed domem, ciągnąc za sobą załadowany wózek. Był to dziwnie duszący, złowieszczy odgłos.

– Sama nie wiem – powiedziała dziewczyna, kręcąc powoli głową. Ale jej ton nie był już tak oziębły jak wcześniej. – Jak dla mnie, jesteś ze zbyt dobrej rodziny. Twój rodzice na pewno się nie ucieszą, że ich ukochany syn spotyka się z kimś takim jak ja. Do tego w mieście jest teraz pełno obcych czołgów i żołnierzy. Nikt nie wie, co się może stać, co będzie dalej.

Samsa też oczywiście nie wiedział, co się może stać. Nie znał przyszłości, ale prawie nie pojmował też teraźniejszości ani przeszłości. Nie umiał się nawet ubrać.

– W każdym razie pewnie za parę dni tu wpadnę – powiedziała dziewczyna. – Przyniosę zamek. Naprawiony, jeśli uda się naprawić, a jeśli nie, przyjdę go po prostu zwrócić. No i poprosić o zapłatę za usługę ślusarską. Jeżeli wtedy tu będziesz, to pewnie znów się spotkamy. Chociaż nie wiem, czy uda nam się spokojnie porozmawiać o tym, jak świat jest zbudowany. Ale tak czy inaczej, lepiej ukrywać to wyrzucenie przed rodzicami. W świecie normalnych ludzi nie pochwała się dumnego paradowania z czymś takim.

Samsa skinął głową. Nie bardzo wiedział, jak uda mu się to ukryć przed ludźmi, ale mógł się nad tym zastanowić później.

– To jednak zagadkowa rzecz – powiedziała bardzo ostrożnie dziewczyna. – Świat może się lada chwila zawalić, a ludzie się przejmują rozwalonym zamkiem, inni w poczuciu obowiązku przychodzą go naprawić. Na dobrą sprawę to przedziwne. Nie uważasz? Ale może to i dobrze. Może to jest właśnie słuszne. Może ludzie nie upadają na duchu dlatego, że właśnie w poczuciu obowiązku pracownicy dbają o takie drobiazgi, mimo że świat ma się zawalić.

Przechyliła mocno głowę i przyglądała się Samsie. Jedną brew miała wysoko uniesioną. Potem się odezwała:

– Może nie powinnam się wtrącać, ale do czego właściwie służył ten pokój na piętrze? Twój rodzice zamontowali taki solidny zamek w pokoju bez żadnych mebli, ale kiedy się zepsuł, tak się tym przejęli. Dlaczego? I dlaczego zabili okno takimi grubymi deskami? Coś tam trzymali w zamknięciu?

Samsa milczał. Jeżeli ktoś, coś było w tym pokoju zamknięte, musiał to być on sam. Ale dlaczego musieli go tam zamknąć?

– No pewnie nie ma sensu ciebie o to pytać – powiedziała dziewczyna. – Ja już polecę. Jak za długo nie będę wracała, rodzina zacznie się martwić. Módl się o to, żebym bezpiecznie przeszła przez miasto. Żeby żołnierze przepuścili nieszczęsną garbuskę. Żeby nie było wśród nich żadnego zboczeńca chcącego sobie popieprzyć. Wystarczy, że rozpieprzą to miasto.

Samsa obiecał, że będzie się modlił, chociaż nie bardzo wiedział, co to zboczeniec chcący sobie popieprzyć i co znaczy modlić się.

Dziewczyna podniosła ciężką czarną torbę i jakby zgięta w pół otworzyła drzwi.

– Czy jeszcze się spotkamy? – zapytał Samsa po raz trzeci.

– Jeżeli się ciągle myśli, że chce się z kimś spotkać, na pewno kiedyś się to uda – powiedziała. Teraz w jej głosie był cień łagodności.

– Proszę uważać na ptaki! – zawołał Gregor Samsa w stronę jej pleców.

Dziewczyna odwróciła się i skinęła głową. Jej wykrzywione usta wyglądały, jakby się leciutko uśmiechały.

Samsa przyglądał się spomiędzy firanek, jak dziewczyna ślusarz odchodzi nisko pochyłona po

brukowanej kocimi łbami ulicy. Jej chód na pierwszy rzut oka wyglądał nieporadnie, ale szła cały czas szybko. Wszystkie jej ruchy zdawały się Samsie czarujące. Wyglądała jak krętek przesuwany się gładko po powierzchni wody. Wydawało się to o wiele bardziej sensowne niż niepewne chodzenie na dwóch nogach.

Zniknęła mu z oczu i niedługo jego narząd rozrodczy znów stał się miękki i mały. Gwałtowne *wybrzuszenie* nie wiadomo kiedy zniknęło. Narząd zwisał mu teraz między nogami bezbronny i nieszkodliwy jak owoc. Jądra też odpoczywały sobie spokojnie w woreczku. Poprawił pasek szlafroka, usiadł na krześle w jadalni i wypił do końca zimną kawę.

Wszyscy gdzieś sobie stąd poszli. Nie wiedział, co to za ludzie, ale pewnie byli jego rodziną. Z jakiegoś powodu nagle stąd zniknęli. Może już nie wrócą? Świat zaczął się walić – Gregor Samsa nie wiedział, co to oznacza. Nie miał pojęcia. Obcy żołnierze, kontrole, czołgi... Wszystko było zagadką.

Wiedział tylko, że jego serce pragnie ponownego spotkania z tą garbuską. *Bardzo* chciał się z nią spotkać. Chciał z nią sobie spokojnie porozmawiać. Chciałby razem z nią powoli rozwiązać zagadki tego świata. Chciałby z różnych stron obserwować, jak poprawia stanik, wykręcając się i wijąc. I gdyby to było możliwe, chciałby dotknąć jej ciała w różnych miejscach. Poczuć bezpośrednio pod palcami ciepło jej skóry. I chciałby razem z nią wejść i zejść po różnych schodach świata.

Na myśl o niej, na wspomnienie jej postaci poczuł lekkie ciepło w sercu. I zaczął się powoli cieszyć, że nie jest rybą ani słonecznikiem. Niewątpliwie chodzenie na dwóch nogach, noszenie ubrania oraz jedzenie nożem i widelcem okazało się strasznie uciążliwe. Było też na tym świecie mnóstwo rzeczy, których musiał się nauczyć. Ale gdyby nie stał się człowiekiem, tylko rybą czy słonecznikiem, pewnie nigdy nie poczułby w sercu takiego ciepła. Tak mu się zdawało.

Siedział przez dłuższy czas z zamkniętymi oczami. Rozkoszował się spokojnie tym ciepłem, zupełnie jakby siedział przy ognisku. Potem zdecydował się, wstał, wziął czarną laskę i ruszył po schodach. Wejdzie na piętro i jakoś nauczy się, jak się należy odpowiednio ubierać. To musiał zrobić najpierw.

Ten świat czekał, aż się nauczy.

Telefon budzi mnie po pierwszej. W środku nocy dzwonek zawsze brzmi natarczywie. Jakby ktoś brutalnie próbował zniszczyć świat jakimś groźnym metalowym narzędziem. Jako przedstawiciel rodzaju ludzkiego muszę go powstrzymać. Dlatego wstaję, idę do salonu i podnoszę słuchawkę.

Niski męski głos przekazuje mi wiadomość, że pewna kobieta na zawsze odeszła z tego świata. Głos należy do jej męża. A przynajmniej ten człowiek tak twierdzi. I mówi: „Żona popełniła w zeszłą środę samobójstwo. Pomyślałem, że tak czy inaczej, muszę pana zawiadomić”. *Tak czy inaczej*. Nie słyszę w jego głosie ani krztyny uczucia. Mówi, jakby odczytywał telegram. Między słowami prawie nie ma przerw. Powiadomienie – to wszystko. Fakt bez ozdobników. Kropka.

Co odpowiedziałem? Musiałem coś powiedzieć, ale nie mogę sobie przypomnieć co. W każdym razie na dłuższą chwilę zapadło milczenie. Zdawało się, że obydwaj przyglądamy się z przeciwnych stron głębokiej dziurze, która utworzyła się na środku drogi. A potem on bez słowa odłożył słuchawkę. Jakby delikatnie kładł na podłodze kruche dzieło sztuki. Stałem przez pewien czas, bezsensownie ściskając w rękę swoją słuchawkę. W białym podkoszulku i niebieskich bokserkach.

Nie miałem pojęcia, jak się o mnie dowiedział. Czyżby ona powiedziała mu o mnie jako o „dawnym chłopaku”? Ale po co? I skąd wziął mój domowy numer (przecież był zastrzeżony)? A przede wszystkim *dłaczego w ogóle dzwonił do mnie?* Dlaczego jej mąż zadał sobie trud, żeby mnie zawiadomić o jej śmierci? Trudno sobie wyobrazić, że poprosiła o to w testamencie. Chodziliśmy ze sobą bardzo dawno temu. I ani razu się od tego czasu nie widzieliśmy. Nie rozmawialiśmy nawet przez telefon.

Ale to nieważne. Bardziej martwiło mnie, że niczego mi nie wytłumaczył. Uważał, że musi mnie zawiadomić o samobójstwie żony. I gdzieś zdobył mój telefon. Lecz uznał, że nic więcej nie musi mi mówić. Pragnął, żebym znalazł się w zawieszeniu pomiędzy wiedzą a niewiedzą. Ale dlaczego? Czy chciał mnie zmusić do zastanowienia się nad *czymś?*

Na przykład nad czym?

Nie miałem pojęcia. Przybywało tylko znaków zapytania. Jakby dziecko przybijało w zeszycie jeden stempelek za drugim, jak popadnie.

Dlatego nadal nie wiedziałem, dlaczego popełniła samobójstwo ani w jaki sposób odebrała sobie życie. Nie miałem jak się dowiedzieć, nawet gdybym chciał. Nie wiedziałem, gdzie mieszkała, nie wiedziałem nawet, że wyszła za mąż. Naturalnie nie znałem też jej nowego nazwiska (jej mąż się nie przedstawił). Ciekawe, jak długo byli małżeństwem. I czy mieli dziecko (dzieci)?

Ale nie kwestionowałem tego, co powiedział. Nie ogarnęły mnie wątpliwości. Po rozstaniu ze mną dalej sobie żyła na tym świecie, w kimś się zakochała (prawdopodobnie), wyszła za niego, a w zeszłą środę z jakiegoś powodu jakimś sposobem odebrała sobie życie. *Tak czy inaczej*. W jego głosie było niewątpliwie coś związanego ze światem zmarłych. W nocnej ciszy udało mi się wyraźnie dosłyszeć to powiązanie. Dostrzegłem wyraźne lśnienie bardzo naprężonej nici. Dlatego słusznie postąpił, dzwoniąc po pierwszej w nocy, choć nie wiem, czy wybrał tę porę celowo. O pierwszej w południe pewnie by się to tak nie udało.

Kiedy wreszcie odłożyłem słuchawkę i wróciłem do łóżka, żona nie spała.

– Kto dzwonił? Ktoś zmarł? – zapytała.

– Nikt nie zmarł. Pomyłka – odparłem. Mówiłem możliwie sennym i rozleniwionym głosem.

Oczywiście nie uwierzyła mi. W moim głosie było echo śmierci. Wibracje wywołane przez dopiero co zmarłą osobę łatwo się przenoszą. Przeradzają się w drobne drgania, które przekazywane są przez łącza telefoniczne, zmieniają brzmienie słów i wprawiają świat w takie samo drżenie. Lecz żona nic nie

powiedziała. Leżąc w ciemności, wsłuchiwalismy się w ciszę, każde z nas zatopione we własnych myślach.

W ten sposób stała się trzecią z moich dawnych dziewczyn, która wybrała drogę samobójstwa. Jakby się zastanowić – a właściwie nie trzeba się nawet zastanawiać – to wysoki procent śmiertelności. Trudno uwierzyć. W moim życiu było niewiele kobiet. Nie mogę pojąć, dlaczego jedna po drugiej w tak młodym wieku odbierały sobie życie, dlaczego czuły, że *muszą* odebrać sobie życie? Mam nadzieję, że nie z mojej winy. Że nie mam z tym nic wspólnego. Mam nadzieję, że nie uważały mnie za świadka, za kronikarza. Naprawdę mam taką nadzieję. Do tego nie wiem, jak to powiedzieć, ale ona – ta trzecia (brak imienia jest kłopotliwy, więc tutaj nazwę ją M) nie była ani trochę w typie samobójczyni. Przecież zawsze strzegli jej i pilnowali muskularni marynarze z całego świata.

Nie mogę konkretnie opowiedzieć, jaką była kobietą, gdzie i kiedy się poznaliśmy i co razem robiliśmy. Bardzo mi przykro, ale gdybym dokładnie wszystko wyjaśnił, mogłaby się z tego zrobić afera. Prawdopodobnie zaszkodziłoby to innym (jeszcze) żyjącym. Dlatego mogę tu tylko napisać, że dość dawno temu byłem z nią przez pewien czas blisko związany, a w pewnym momencie z pewnego powodu się rozstaliśmy.

Prawdę mówiąc, uważam, że poznałem M, kiedy miałem czternaście lat. W rzeczywistości tak nie było, ale tutaj chciałbym zrobić takie założenie. Spotkaliśmy się, mając czternaście lat, w gimnazjalnej klasie. Zdaje się, że to była biologia. Lekcja o amonitowatych czy trzonopłetwoksształtnych, w każdym razie o czymś takim. Siedziała obok mnie. Powiedziałem: – Zapomniałem gumki do ścierania. Nie masz zapasowej, żeby mi pożyczyć? – a ona złamała własną gumkę i dała mi połowę. Z uśmiechem. Zakochałem się w niej dosłownie od pierwszego wejrzenia. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej pięknej dziewczyny. A przynajmniej wtedy tak mi się wydawało. Tak chciałbym myśleć o M. Że w ten sposób poznaliśmy się na lekcji w gimnazjum. Za przemożnym, lecz sekretnym pośrednictwem amonitowatych czy trzonopłetwoksształtnych. Bo kiedy tak myślę, różne rzeczy nabierają sensu.

Miałem czternaście lat, byłem zdrowy jak coś prosto z taśmy produkcyjnej i oczywiście przy każdym powiewie ciepłego zachodniego wiatru dostawałem erekcji. Bo w tym wieku już tak jest. Ale jej widok nie wywoływał u mnie erekcji. Absolutnie przewyższała wszelkie zachodnie wiatry. Nie... była po prostu tak wspaniała, że znikają przy niej nie tylko zachodnie, ale wszystkie inne wiatry wiejące z dowolnych kierunków. W obecności tak idealnej dziewczyny nie mogłem przecież mieć jakiegokolwiek odrażającej erekcji. Pierwszy raz w życiu spotkałem dziewczynę, która robiła na mnie takie wrażenie.

Czuję, że tak poznałem M. Naprawdę było inaczej, ale jeśli w ten sposób myślę, wszystko logicznie do siebie pasuje. Miałem czternaście lat, ona też miała czternaście lat. Był to dla nas właściwy wiek na takie przypadkowe spotkanie. *Naprawdę* tak powinniśmy byli się spotkać.

Ale potem M nie wiadomo kiedy gdzieś znika. Gdzie jest? Tracę ją. Z jakiegoś powodu na chwilę się zagapiam, a ona w tym czasie odchodzi. Dopiero co tu była, a nagle się orientuję, że jej nie ma. Pewnie skusił ją jakiś sprytny marynarz i zabrał do Marsylii albo na Wybrzeże Kości Słoniowej. Moje rozczarowanie jest głębsze niż morza, które razem przepłynęli. Głębsze niż głębia, w której kryją się kałamarnice olbrzymie czy inne morskie potwory. Całkowicie zniechęcam się do siebie. Tracę wiarę we wszystko. Jak to?! Przecież tak kochałem M. Była dla mnie taka ważna. Tak jej potrzebowałem. Dlaczego się zagapiłem?

Ale można też powiedzieć, że od tego czasu M jest wszędzie. Wszędzie ją dostrzegam. Kryje się w różnych miejscach, różnych czasach, różnych ludziach. Jestem tego świadomy. Włożyłem połówkę

gumki do plastikowej torebki i zawsze miałem ją przy sobie. Zupełnie jak jakiś talizman. Jak kompas wskazujący kierunek. Jeżeli tylko będę go miał w kieszeni, kiedyś uda mi się gdzieś na tym świecie znaleźć M. Wierzyłem w to. Mimo że nabrała się na słodkie słówka znającego życie marynarza, który zabrał ją na wielki statek, i odpłynęli gdzieś daleko. Bo należała do osób, które zawsze chcą w coś uwierzyć. Które bez wahania przełamują na pół nową gumkę i dzielą się z kimś.

Próbuję w różnych miejscach, od różnych ludzi zbierać po trochu związane z nią okruchy. Ale oczywiście są to jedynie okruchy. Choćbym zebrał nie wiem ile, pozostaną okruchami. Jądro jej istoty zawsze mi się wymyka, jest jak fatamorgana. Pracowicie dążę ku horyzontowi, ale odsuwa się w nieskończoność. Na morzu też. Docieram do Bombaju, do Kapsztadu, do Reykjavíku, aż na Bahamy. Objazdzam kolejno wszystkie miasta portowe. Ale kiedy docieram do każdego, okazuje się, że ona zniknęła. Łóżko w nieładzie, została w nim jeszcze odrobina jej ciepła. Na krześle wisi jej wzorzysty szalik. Na stole leży książka otwarta na stronie, którą czytała. W łazience wiszą jeszcze wilgotne pończochy. Sprytni marynarze z całego świata wywęszyli mnie, gdzieś ją błyskawicznie zabrali i ukryli. Oczywiście wtedy już nie mam czternastu lat. Jestem bardziej opalony i zaprawiony w bojach. Mam gęstszy zarost i potrafię odróżnić przenośnię od porównania. Ale część mnie ma nadal czternaście lat. I ten czternastoletni ja, który na zawsze pozostanie częścią mnie, cierpliwie czeka, aż łagodny zachodni wiatr muśnie jego niepokalany penis. M na pewno będzie tam, gdzie wieje taki wiatr.

Taka była M w moich oczach.

Była kobietą, która nie mogła usiedzieć na miejscu.

Ale nie była typem samobójczyni.

Sam nie bardzo wiem, co próbuję tu powiedzieć. Pewnie staram się zapisać samą esencję niebędącą faktami. Ale zapisanie samej esencji niebędącej faktami jest jak umówienie się z kimś po ciemnej stronie księżycy. Jest zupełnie ciemno, nie ma żadnych punktów orientacyjnych. A do tego powierzchnia jest za duża. Próbuję powiedzieć, że *powinienem był się zakochać* w M, kiedy miała czternaście lat. Ale naprawdę zakochałem się w niej znacznie później i (niestety) nie miała już wtedy czternastu lat. Spotkaliśmy się w nieodpowiednim czasie. Tak jakbyśmy pomylili umówiony dzień. Miejsce i godzina się zgadzały, ale dzień był nie ten.

Lecz M nadal miała w sobie czternastoletnią dziewczynę. Ta dziewczyna kryła się w niej w całości – nie częściowo, jak w moim przypadku. Kiedy uważnie wyteżądałem wzrok, udawało mi się dostrzec, gdy przychodziła i odchodziła. Podczas seksu, gdy trzymałem M w ramionach, stawała się staruszką albo dziewczynką. W ten sposób zawsze żyła we własnym czasie. W takich chwilach bez namysłu tak mocno ją obejmowałem, aż sprawiałem jej ból. Być może za mocno. Ale musiałem. Nie chciałem jej nikomu oddać.

Jednak znów przyszła chwila, kiedy M straciłem. Przecież marynarze z całego świata podążali jej tropem. Sam nie mogłem jej obronić. Każdemu się zdarza odwrócić na chwilę wzrok. Człowiek musi spać i chodzić do łazienki. Trzeba myć wannę. Trzeba siekać cebulę i obierać fasolkę. No i trzeba sprawdzać ciśnienie w oponach. W ten sposób się od siebie oddaliliśmy. A raczej ona ode mnie odeszła. Był tam oczywiście niewątpliwy cień marynarza. Jeden z tych pojedynczych cieni, które ciemne i niezależne pełzną po ścianach budynków. Wanna, cebula czy ciśnienie w oponach to tylko okruchy metafor, które ten cień rozrzucał jak pinezki.

Odeszła – i nikt pewnie nie zrozumie, jak wtedy cierpiałem, w jak głęboką rozpacz wpadłem. No bo

jak miałyby zrozumieć? Ja sam nie bardzo pamiętam. Jak bardzo się dręczyłem? Jak bardzo bolało mnie serce? Gdyby było na tym świecie jakieś urządzenie pozwalające dokładnie zmierzyć smutek, można by go wyrazić liczbami i zachować na później. Najlepiej gdyby to urządzenie mieściło się w dłoni. Zawsze o tym myślę, sprawdzając ciśnienie w oponach.

I w końcu umarła. Dowiaduję się tego w nocy przez telefon. Nie znam miejsca, metody, powodu ani celu, ale wiem, że zdecydowała się odebrać sobie życie i zrealizowała to. I (prawdopodobnie) spokojnie odeszła z tego realnego świata. Choćby zebrali się wszyscy marynarze z całej kuli ziemskiej i choćby mówili najsprytniej słodkie słówka, nie da się już uratować – ani porwać – jej ze Świata Zmarłych. Jeżeli o północy wytężysz słuch, na pewno tobie też uda się dosłyszeć żałobną pieśń marynarzy.

Zdawało mi się, że wraz z jej śmiercią utraciłem na zawsze czternastoletniego siebie. Ten okres, kiedy miałem czternaście lat, zostaje wyrwany z korzeniami z mojego życia, tak jak wśród baseballistów numer koszulki byłego gracza nigdy więcej nie jest używany w drużynie. Wsadzony do solidnego sejf, zamknięty skomplikowanym szyfrem i wrzucony na dno morza będzie tam leżał przez następny miliard lat. Będą go milcząco chroniły amonitowate i trzonopłetwoksształtne. Cudowny zachodni wiatr też już całkiem przestał wiać. Marynarze z całego świata serdecznie boleją nad jej śmiercią. I antymarynarze też.

Na wieść o jej śmierci czuję się jak drugi z kolei wśród najbardziej samotnych mężczyzn na świecie.

Najbardziej samotny jest na pewno jej mąż. Ustępuję mu ten tytuł. Nie wiem, co to za człowiek. Nie mam żadnej wiedzy na jego temat: ile ma lat, co robi, czego nie robi. Wiem o nim tylko jedną rzecz: ma niski głos. Ale niski głos nie przybliżył mi żadnych konkretnych dotyczących go faktów. Czy może jest marynarzem? Albo kimś występującym przeciwko marynarzom? Jeśli to drugie, to jest moim sojusznikiem. A jeśli to pierwsze, to... to też mu jednak współczuję. Myślę, że chciałbym mu jakoś pomóc.

Ale nie mam jak się do niego zbliżyć. Nie znam jego nazwiska ani nie wiem, gdzie mieszka. A może on już stracił i nazwisko, i miejsce zamieszkania? Jest przecież najbardziej samotnym mężczyzną na świecie. Podczas spaceru siadam przy rzeźbie jednoróżców (park, w którym stoi ta rzeźba, jest na mojej trasie spacerowej) i patrząc na chłodną fontannę, rozmyślam o tym człowieku. Próbuję sobie po swojemu wyobrazić, jak to jest być najbardziej samotnym człowiekiem na świecie. Wiem już, jak jest być drugim po najbardziej samotnym. Ale nie wiem, jak jest być najbardziej samotnym. Między byciem pierwszym najbardziej samotnym i drugim najbardziej samotnym jest głęboka przepaść. Prawdopodobnie. Nie tylko głęboka, ale strasznie szeroka. Nie da się nawet nad nią przelecieć. Na dnie leży wysoka góra utworzona ze szkieletów ptaków, które podczas lotu opadły z sił.

Pewnego dnia nagle stajesz się jednym z mężczyzn bez kobiet. Ten dzień przychodzi nieoczekiwanie bez żadnego ostrzeżenia, bez żadnej wskazówki, bez przeczucia, złego znaku, nikt nawet nie zapukał ani znacząco nie chrząknął. Mijas zakręt i orientujesz się, że już tam *jesteś*. Ale nie możesz się cofnąć. Gdy raz miniesz ten zakręt, to miejsce staje się twoim jedynym światem. I nazywany w nim jesteś jednym z „mężczyzn bez kobiet”. Bardzo chłodno i w liczbie mnogiej.

Tylko mężczyzna bez kobiety potrafi zrozumieć, jak ciężko, jak boleśnie jest stać się jednym z mężczyzn bez kobiet. Traci się cudowny zachodni wiatr. Na zawsze odebrany zostaje wiek czternastu lat (miliard lat to nieomal na zawsze). Z oddali słychać melancholijne, żałobne pieśni marynarzy. Kryje się człowiek na ciemnym dnie morza z amonitowatymi i trzonopłetwoksształtymi. Dzwoni się do kogoś po pierwszej w nocy. Ktoś do ciebie dzwoni po pierwszej w nocy. Spotykasz się z kimś nieznanym w nieokreślonej przestrzeni gdzieś między wiedzą a niewiedzą. Płaczesz na wyschniętej szosie, mierząc

ciśnienie w oponach.

W każdym razie przed posągiem jednorożców modłę się, żeby kiedyś jej mąż przyszedł do siebie. Modłę się też, żeby nie zapomniał, co jest naprawdę ważne – czasami nazywamy to esencją – ale żeby udało mu się zapomnieć o większości dodatkowych faktów. Żeby zapomniał nawet, że o nich zapomniał. Z całego serca mu tego życzę. To nie byle co, prawda? Żeby drugi najsmutniejszy człowiek na świecie współczuł najsmutniejszemu (którego w życiu nie widział na oczy) i modlił się za niego.

Ale dlaczego zadał sobie trud, żeby do mnie zadzwonić? Wcale go nie potępiam, mam tylko po prostu ciągle zasadnicze wątpliwości. Skąd o mnie wiedział? Dlaczego się mną przejmował? Odpowiedź jest pewnie prosta. Ona mu coś o mnie powiedziała. Nic innego nie przychodzi mi do głowy. Nie mam pojęcia, co mogła mu o mnie powiedzieć. Co dla niej znaczyłem, co w sobie miałem wartościowego jako dawny chłopak, żeby aż komuś o mnie opowiadać (szczególnie mężowi). Czy to było coś ważnego, co wiązało się z jej śmiercią? Czy moje istnienie rzuciło się jakimś cieniem na jej życie i przyczyniło się do śmierci? Może przypadkiem powiedziała mu, że mój penis miał piękny kształt. Wczesnym popołudniem w łóżku często go podziwiała. Ważyła go delikatnie na dłoni, jakby podziwiała klejnot z indyjskiej korony, jak w tej legendzie. „Ma śliczny kształt” – mówiła. Nie wiem, czy to prawda.

Czy z tej przyczyny mąż M do mnie zadzwonił? Bo chciał o pierwszej w nocy wyrazić szacunek dla kształtu mojego penisa? Niemożliwe. Coś takiego nie wchodzi w rachubę. A poza tym w moim penisie nie ma nic niezwykłego. W najlepszym razie można go określić jako zwyczajny. Właściwie estetyczne oceny M często mnie zaskakiwały. Miała jakiś dziwny system wartości różniący się od systemów wartości innych ludzi.

Może (mogę sobie tylko wyobrazić) powiedziała mu o tym, jak dała mi w gimnazjum połowę gumki do ścierania. Opowiedziała bez żadnego ukrytego celu czy złej woli – po prostu niewielkie, zwyczajne wspomnienie. No, ale oczywiście jej męża, gdy to usłyszał, ogarnęła zazdrość. Na pewno był o wiele bardziej gwałtownie zazdrosny o to, że dała mi tę gumkę, niż o dwa autobusy marynarzy, z którymi się wcześniej zadawała. To przecież naturalne. Dwa autobusy muskularnych marynarzy nie mają znaczenia. Poza tym mieliśmy wtedy oboje po czternaście lat, a ja dostawałem erekcji, gdy tylko powiał zachodni wiatr. Przełamanie nowej gumki i danie komuś połowy mogło mieć poważne skutki. Takie jak wielkie tornado dla tuzina staroświeckich stodół.

Od tego czasu, zawsze gdy przechodzę obok tego posągu jednorożców, przysiadam i rozmyślam nad mężczyznami bez kobiet. Dlaczego akurat tam? Dlaczego koło jednorożców? Może przypadkiem one też są mężczyznami bez kobiet? Nigdy przecież nie widziałem pary jednorożców. Oni – to na pewno *oni* – zawsze są sami i energicznie wystawiają ku niebu ostre rogi. Może my, mężczyźni powinniśmy ich uczynić naszymi reprezentantami, reprezentantami mężczyzn bez kobiet, symbolami samotności, którą dźwigamy na swoich barkach? Może powinniśmy przypiąć znaczki w kształcie jednorożca do piersi albo czapek i chodzić cicho po ulicach całego świata. Bez orkiestry, bez sztandarów, bez confetti. Prawdopodobnie. (Za często używam słowa „prawdopodobnie”. Prawdopodobnie).

Bardzo łatwo jest zostać mężczyzną bez kobiety. Wystarczy głęboko pokochać jakąś kobietę, a potem wystarczy, żeby ona gdzieś zniknęła. W większości wypadków (jak wiecie) uprowadza ją jakiś szczywany marynarz. Uwodzi kobietę obłudnymi słówkami, a potem wywozi do jakiejś Marsylii czy na Wybrzeże Kości Słoniowej. Prawie nic nie możesz na to poradzić. Albo marynarze nie mają z tym nic wspólnego, a ona sama odbiera sobie życie. Na to też prawie nic nie możesz poradzić. Nawet marynarze nie mogą.

W każdym razie w ten sposób zaczynasz należeć do grupy *mężczyzn bez kobiet*. Dzieje się to w jednej

chwili. A kiedy raz zostaniesz mężczyzną bez kobiety, twoje ciało głęboko przesiąknie kolorem tej samotności. Jak w dywan o pastelowych barwach wsiąka plama czerwonego wina. Choćbyś miał dużą wiedzę na temat prowadzenia domu, jej usunięcie prawdopodobnie okaże się straszliwie trudne. Z upływem czasu nieco zblednie, ale pewnie pozostanie plamą do końca twojego życia. Ma prawa jako plama, czasami nawet ma prawo do publicznego wypowiedania się jako plama. Będziesz musiał żyć z jej łagodnym blednięciem i wieloznacznym kształtem.

W tym świecie inaczej brzmią dźwięki. Inaczej odczuwa się pragnienie. Inaczej rosną włosy. Inaczej zachowują się pracownicy Starbucksów. Solówka Clifforda Browna też brzmi inaczej. Inaczej zamykają się drzwi w metrze. Inna jest nawet odległość spacerem z Omotesandō do Aoyama Itchōme. I nawet jeżeli potem los ześle ci nową kobietę, jeśli będzie wspaniałą kobietą (a raczej: im wspaniałsza będzie, tym bardziej), w tej samej chwili zaczniesz myśleć o tym, że ją utracisz. Sugestywne cienie marynarzy, dźwięk obcych języków, którymi mówią (grecki? estoński? tagalog?) wywołują w tobie niepokój. Nazwy egzotycznych portów całego świata napawają cię strachem. A to dlatego, że wiesz już, jak to jest być mężczyzną bez kobiety. Jesteś perskim dywanem w pastelowych barwach, a samotność nigdy nieznikającą plamą z portwajnu. Tak więc samotność przychodzi z Francji, a ból rany ze Środkowego Wschodu. Dla mężczyzn bez kobiet świat jest bezmiernym i bolesnym chaosem, ciemną stroną księżyca.

Chodziłem z M jakieś dwa lata. Niezbyt długo. Ale to były ciężkie dwa lata. Można powiedzieć, że to tylko dwa lata. Albo że aż dwa długie lata. To oczywiście zależy od punktu widzenia. *Chodziliśmy ze sobą*, ale spotykaliśmy się tylko dwa albo trzy razy w miesiącu. Ona miała swoje życie, ja swoje. Poza tym, niestety, nie mieliśmy już wtedy po czternaście lat. I te różne życia w końcu nas zniszczyły. Choć trzymałem ją z całych sił w ramionach i mówiłem, że nie pozwolę odejść. Ciemne i gęste cienie marynarzy rozsypują dokoła ostre pinezki metafor.

Jedną z tych rzeczy, które najlepiej pamiętam, jest to, że przepadała za „elevator music”, czyli muzyką, jaka często rozlega się w windach. To muzyka w typie orkiestry Percy’ego Faitha, Mantovaniego, Raymonda Lefevre’a, Franka Chacksfielda albo Francisa Lai, 101 Strings Orchestra, Paula Mauriata, Billy’ego Vaughna. Do nieprzytomności kochała taką – jak ja ją nazywałem – nieszkodliwą muzyczkę. Niezwykle melodyjne i eleganckie smyczki, przyjemnie się wznoszące tony dętych drewnianych, dęte blaszane z tłumikami, łagodnie kojący serce dźwięk harfy. Czarująca melodia, która nigdy nie zawodzi, grupy akordów jak słodkie ciasteczka, nagrania, w których dobrze słyhać echo.

Jeżdżąc samotnie samochodem, często słuchałem rocka albo bluesa. Grupy Derek and the Dominos, Otisa Reddinga albo Doorsów. Ale M *za nic* mi nie pozwalała nastawiać takiej muzyki. Zawsze przynosiła w papierowej torbie pół tuzina taśm z muzyką, jaką puszczała w windach, i po kolei je nastawiała. Jeździliśmy na różne przejażdżki samochodem, a ona bezgłośnie poruszała ustami, wtórując *13 jour en France* Francisa Lai. Tymi ponętymi ślicznymi wargami lekko umalowanymi szminką. Miała chyba z dziesięć tysięcy taśm z taką muzyką. I posiadała ogromną wiedzę na temat nieszkodliwej muzyki z całego świata. Mogłaby nieomal otworzyć Muzeum Muzyki z Wind.

To samo było podczas seksu. Zawsze uprawialiśmy go z muzyką z wind w tle. Ileż to razy wysłuchałem *A Summer Place* Percy’ego Faitha, gdy się z nią kochałem? Wstyd mi się do tego przyznać, ale ciągle jeszcze, gdy słyszę ten utwór, odczuwam seksualne podniecenie. Mój oddech staje się urywany, twarz płonie. Pewnie na całym świecie nie udałoby się znaleźć drugiego faceta, który podnieca się na dźwięki przygrywki do *A Summer Place* w wykonaniu Percy’ego Faitha. A nie, może jej mężowi zdarza się to samo? Musi tu być i dla niego miejsce. Czyli na całym świecie jest pewnie (łącznie ze mną) dwóch

facetów, których podniecają pierwsze takty *A Summer Place*. Lepiej tak to powiedzieć.

Przeźren.

– Ja lubię taką muzykę – powiedziała kiedyś M. – To kwestia przestrzeni.

– Kwestia przestrzeni?

– Po prostu kiedy słucham takiej muzyki, zdaje mi się, że jestem w naprawdę wielkiej przestrzeni. Nic tam nie ma. Nic jej nie dzieli. Nie ma ścian, nie ma sufitu. I będąc tam, nie muszę o niczym myśleć, nic mówić, nic robić. Wystarczy, że tam jestem. Zamykam oczy i zdaję się na falę pięknej melodii smyczków. Nie ma tam bólu głowy, uczucia zimna, miesiączki ani owulacji. Wszystko jest po prostu piękne, pełne spokoju, płynie gładko. Niczego więcej nie trzeba.

– Jakbyś była w raju?

– Tak – mówi M. – W raju na pewno w tle brzmi muzyka Percy’ego Faitha. Słuchaj, mógłbyś mnie jeszcze pogłaskać po plecach?

– Oczywiście, proszę bardzo.

– Świetnie głaszczesz po plecach.

Patrzmy na siebie porozumiewawczo z Henrym Mancinim, tak by tego nie zauważyła. Z lekkim uśmiechem.

Oczywiście tracę też muzykę z wind. Zawsze myślę tak, jadąc sam samochodem. I o tym, czy kiedy będę czekał na zmianę światła, przypadkiem jakaś obca dziewczyna nie wsiądzie nagle do mojego samochodu, nawet na mnie nie spojrzy, tylko włoży do magnetofonu kasetę z *Zimową sonatą* Francisa Lai. Nawet czasem mi się to śni. Ale oczywiście nic takiego się nie zdarza. Przede wszystkim w radiu samochodowym nie ma już magnetofonu. Teraz podczas jazdy słucham muzyki z podłączonego do USB iPod’a. I nie mam na nim Francisa Lai ani 101 Strings Orchestra. Są za to Gorillaz i Black Eyed Peas.

Tak to jest utracić kobietę. Pewnego dnia strata jednej kobiety oznacza też stratę wszystkich kobiet. I tak stajemy się mężczyznami bez kobiet. Tracimy też Percy’ego Faitha, Francisa Lai i 101 Strings Orchestra. Tracimy amonitowate i trzonopłetwoksztatne. I oczywiście jej czarujące plecy. Słuchając *Moon River* pod dyktando Henry’ego Manciniego, głaskałem M po całych plecach w rytmie walca. Mój przyjaciel z dzieciństwa czeka za zakrętem rzeki...[12] Ale to wszystko już gdzieś poznikało. Został tylko kawałek starej gumki do ścierania i słyszane w oddali żałosne pieśni marynarzy. No i oczywiście jednorożce przy fontannie samotnie wyciągające ku niebu swoje rogi.

Mam nadzieję, że M jest teraz w raju – albo w jakimś podobnym miejscu – i słucha sobie *A Summer Place*. Że spowija ją łagodnie ta pełna przestrzeni niczym nieograniczona muzyka. Że nie rozlega się tam nic w rodzaju Jefferson Airplane (Pan Bóg pewnie nie jest taki okrutny. Taką mam nadzieję). I dobrze byłoby, gdyby słuchając skrzypcowego pizzicato w *A Summer Place*, czasami mnie wspomniała. Ale nie można za wiele wymagać. Modlę się o to, żeby żyła tam sobie spokojnie i szczęśliwie z wieczną i niezmienną muzyką z wind, nawet beze mnie.

Modlę się o to z głębi serca jako jeden z mężczyzn bez kobiet. Bo nic prócz modlitwy mi chyba nie pozostało. W tej chwili. Prawdopodobnie.

- [1] Kafuku w dosłownym tłumaczeniu oznacza „szczęście domowe”.
- [2] Przełożył Jarosław Iwaszkiewicz.
- [3] Region Japonii, w którym położone są miasta Osaka, Kioto i Kobe.
- [4] Powieść autora Sōsekiego Natsume o chłopaku z prowincji, który przyjeżdża do Tokio.
- [5] Hanshin Tigers – jedna z najstarszych drużyn baseballowych w Japonii. Siedzibą drużyny jest Nishinomiya położona między Osaką a Kobe.
- [6] Chodzi o podobną potrawę (ryba, warzywa, jajka i inne składniki, duszone w sosie na bazie sosu sojowego), która w Tokio jest znana jako *oden*, a w rejonie Kansai jako *Kantōdaki*.
- [7] Drink składający się z mieszanki jasnego i ciemnego piwa.
- [8] Tłum. Wiesław Kotański. Fujiwara no Atsutada, żył w latach 906–943.
- [9] W Japonii często zamiast podpisów używa się pieczętek z nazwiskiem.
- [10] W Japonii nie ma zwyczaju dawania napiwków.
- [11] Parafraza pierwszego zdania *Przemiany* Franza Kafki – „Gdy Gregor Samsa obudził się pewnego rana z niespokojnych snów, stwierdził, że zmienił się w łożku w potwornego robaka” (przeł. Juliusz Kydryński).
- [12] Aluzja do tekstu piosenki *Moon River* autorstwa Johnny’ego Mercera: „waitin’ ‘round the bend / My Huckleberry friend”.

